ZABIJANIE DZIECI NIENARODZONYCH

Profesor Bogdan Chazan ostro o aborcyjnych planach rządu Tuska

Jak polscy prawnicy niszczą Rzeczpospolitą

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 7/565 12–18 LUTEGO 2024
CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

JOANNA BOJAŃCZYK O ANNIE WINTOUR – REDAKTOR NACZELNEJ AMERYKAŃSKIEJ EDYCJI „VOGUE"

Jezus Chrystus oskarżony o „przemocowość"?

U KRESU SIŁ

Walka na szczytach władz Ukrainy o strategię wojenną. Co to oznacza dla Polski?

NA OKŁADCE OD PRAWEJ: PREZYDENT UKRAINY WOŁODYMYR ZEŁENSKI I WAŁERIJ ZAŁUŻNY, ZDYMISJONOWANY GŁÓWNODOWODZĄCY SIŁ ZBROJNYCH UKRAINY

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000 07 >
Nakład: 52 000 egzemplarzy

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

ZBRODNIA GALICYJSKA – ZAPOMNIANE LUDOBÓJSTWO UPA NA POLAKACH

Masowe mordy w cieniu Wołynia – Ukraińscy nacjonaliści mieli zabijać „tylko" mężczyzn. W rzeczywistości mordowali także kobiety i dzieci. Ofiarą zbrodni padło ponad 30 tys. Polaków

Piastówna na tronach wikingów – Córka Mieszka I była królową Szwecji, Danii, Norwegii i Anglii. Stała się bohaterką wielu sag, których treść przekazywano sobie z pokolenia na pokolenie

Podziemne państwo „pacanów" – Pod butem sowieckiej dyktatury powstało państwo w państwie, osobny przestępczy świat, brutalny i bezwzględny, z własnym prawem i własną „moralnością"

Pomylona ekspedycja Stanleya – Głośna wyprawa ratunkowa do Afryki, której przewodził najsłynniejszy odkrywca XIX w., szybko zamieniła się w jedną wielką farsę

Męczennica rewolucji – Dzięki swojej siostrze Ludwik XVI mógł umrzeć jak święty. Jej heroizm – okazywany do samego końca – sprawił, że Kościół uznał ją za służebnicę Bożą

Tambowscy chłopi przeciw Leninowi – Jednym z najokrutniejszych rozdziałów „czerwonego terroru" było zdławienie w 1921 r. chłopskiego powstania w guberni tambowskiej

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 7b8aff7cae

Dobra amerykańska inwestycja?

PAWEŁ LISICKI

Czy Polsce grozi bezpośrednia konfrontacja z Rosją? Można odnieść wrażenie, przynajmniej słuchając wielu ekspertów i polityków, że tak. Tego rodzaju scenariusze snują ministrowie obecnego rządu, na czele z samym premierem. Najwyraźniej wspomina o tym obecny szef Ministerstwa Obrony Narodowej, Władysław Kosiniak-Kamysz. W niedawnym wywiadzie stwierdził w odniesieniu do potencjalnej wojny z Rosją: „Zakładam każdy scenariusz, a najbardziej poważnie traktuję te najgorsze". Wniosek jest prosty: polski minister uważa, że wojna jest najpoważniejszym – w domyśle najbardziej prawdopodobnym – scenariuszem.

Podobnie, choć z pewnymi zastrzeżeniami, wypowiadają się inni politycy PO: jeśli Rosja pokona Ukrainę, twierdzą, to następnym celem będzie Polska. Atmosferę zagrożenia wzmagają codzienne niemal informacje o postawieniu w stan gotowości polskiego lotnictwa w związku z rosyjskimi nalotami na Ukrainę.

Podobne tezy stawia wielu ekspertów, którzy mówią, że jeśli pozwoli się Moskwie odetchnąć, to ta się nie zatrzyma i za kilka lat znowu uderzy na Zachód. Dlaczego miałaby tak zrobić? Tu eksperci są równie zgodni: bo musi, bo taka jest, bo taka zawsze była i zawsze będzie. Jest swego rodzaju metafizycznym agresorem.

Nie zamierzam tych głosów lekceważyć, ale z kilku powodów nie przekonują mnie one. Jeśli chodzi o koalicję rządzącą i jej dramatyczne niekiedy oświadczenia, to w dziwny sposób mają się one nijak do prowadzonej przez Donalda Tuska polityki wewnętrznej. W obliczu poważnego i bezpośredniego zagrożenia dla państwa normalny rząd powinien dążyć do rozładowania napięcia, do porozumienia, do skupienia wokół siebie wszystkich sił politycznych. Tymczasem na razie gabinet Tuska doprowadził – i dalej prowadzi – do największego chaosu, z jakim mamy do czynienia od 1989 r. Kolejne instytucje państwa są praktycznie rozbijane lub paraliżowane, a brutalność wojny wewnętrznej przekracza to, co znamy z przeszłości.

Poza tym w obliczu zagrożenia naród skupia się wokół wartości dla niego świętych i niepodważalnych, które dla Polaków zawsze były takie same: Bóg, Honor, Ojczyzna. Tymczasem głównymi i deklarowanymi celami rządu Tuska są zaimplementowanie w Polsce ideologii genderowej, powszechna dopuszczalność aborcji i poddanie gospodarki ideologii klimatycznej. Nie jestem może wielkim strategiem, ale wszystkie te poczynania z pewnością przyczyniają się do osłabienia polskiej armii i woli narodowej, a nie do ich wzmocnienia. Swego rodzaju wisienką na torcie (jeśli to w ogóle właściwy zwrot) była informacja, że wojsko polskie rozważa przyjmowanie w swe szeregi transwestytów. To jest odpowiedź na groźbę rosyjskiej inwazji?

Nie zamierzam też przekreślać z góry opinii ekspertów, ale przypominam, że ci sami ludzie, którzy teraz opowiadają o „pieredyszkach", „pauzach" itd., wieszcząc nieuchronność wojny, jeszcze kilkanaście miesięcy temu przepowiadali wielkie zwycięstwo Ukrainy i zachęcali do tworzenia bliżej nieokreślonego projektu konfederacji (sojuszu?) polsko-ukraińskiego. Nie mogę wreszcie nie zauważyć, że wiele tych opinii stanowi jedynie przeniesienie na polski rynek koncepcji, które od lat promują amerykańscy analitycy, reprezentujący tzw. neokonserwatyzm.

Ten czynnik amerykański, szczerze mówiąc, wydaje mi się kluczowy. Wprost mówił zresztą o tym w Davos David Cameron, minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii i były premier tego kraju. Przyznał on, że wojna na Ukrainie jest najlepszą możliwą amerykańską inwestycją od lat, bo w zamian za miliardy wydane na Ukrainę udało się według niego znacząco osłabić potencjał wojenny Rosji. Nie chodzi mi przy tym o prawdziwość tego wniosku – sam uważam, że akurat potencjał wojenny Rosji jest teraz znacznie większy niż w lutym 2022 r. – ale o sposób rozumowania. Wielkością, która w rozumowaniu brytyjskiego polityka chwalącego Amerykanów się nie pojawia, jest oczywiście Ukraina, a przede wszystkim masowo ginący tam żołnierze. Byłaby zatem, można mniemać, pionkiem i bierką.

I to jest, obawiam się, rzecz kluczowa, która sprawia, że z taką ostrożnością i nieufnością podchodzę do zapowiedzi nieuchronnego rzekomo ataku Rosji. Bo gdyby było inaczej, gdyby Zachód naprawdę bał się o siebie, nie dałoby się zrozumieć braku działań dyplomatycznych, które miałyby doprowadzić do powstrzymania konfliktu. Gdyby nad Zachodem wisiała bezpośrednia groźba wojny, zachodni dyplomaci dwoiliby się i troili, żeby temu zapobiec.

Tymczasem z wyjątkiem ostatnio amerykańskiego dziennikarza Tuckera Carlsona z Władimirem Putinem nie rozmawia nikt. Mimo że gołym okiem widać nieskuteczność dotychczasowej polityki – dozbrajanie Ukrainy i sankcje gospodarcze na Rosję – nie dzieje się nic. Tak jak w 2021 r., tak obecnie dyplomacja nie działa. Czy to oznacza, że jeśli Ukraina przestanie dawać radę, to trzeba będzie w imię realizacji wielkiej strategii osłabiania Rosji znaleźć dla niej zmiennika? Czy chodzi o kolejną dobrą amerykańską inwestycję? Kto miałby wystąpić w tej roli? ©℗

eprasa.pl 7b8aff7cae

FOT. UKRAINIAN PRESIDENTIAL PRESS SERVICE/AFP/EAST NEWS

TEMAT TYGODNIA

14 ŁUKASZ WARZECHA
UKRAINA NIE WYGRA
Polska musi dostosować politykę

18 ROZMOWA Z GEN. LEONEM KOMORNICKIM
SYTUACJA STAJE SIĘ BEZ WYJŚCIA

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
STAN ZAMACHU: WOJNA POZYCYJNA
Komu służy chaos w Polsce

24 ROZMOWA Z PROF. TOMASZEM GRZEGORZEM GROSSE
POLSKA W ROZKROKU

26 PIOTR SEMKA
WYBORCZA GORĄCZKA W KRAJU OGRANICZONEGO STANU WYJĄTKOWEGO

29 ROZMOWA Z KS. MICHAŁEM OLSZEWSKIM
NIE DAMY SIĘ ZASTRASZYĆ

32 ŁUKASZ ZBORALSKI
ZAMACH NA SZKOLNY SPORT

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK
MIĘDZY NIEBEM A ŚMIERCIĄ
Wojna powietrzna na małym ekranie

36 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
ZAGADKI ZYLSKIEJ

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

44 MIKOŁAJ DROZDOWICZ
JAK PRAWNICY NISZCZĄ RZECZPOSPOLITĄ
Naród czy elity?

47 MARIUSZ JAGÓRA
ZALAĆ ŚWIAT MIGRANTAMI

50 BOGDAN CHAZAN
Z ABORCJĄ NA SZTANDARZE

52 PAWEŁ CHMIELEWSKI
CHRYSTUS PRZEMOCOWIEC?

HISTORIA

54 MAREK KLECEL
Z SOWIECKIEGO LWOWA DO NIEMIECKIEJ WARSZAWY
Twarde realia konspiracji

58 PIOTR SEMKA
JAK SPORT ODBUDOWAŁ IRLANDIĘ

ŚWIAT

62 MACIEJ PIECZYŃSKI
NADZIEJA ROSYJSKICH PACYFISTÓW
Wybory Putina

65 CEZARY GMYZ
ZMIERZCH STARYCH PARTII

EKONOMIA

68 JACEK PRZYBYLSKI
PODWYŻKI! ZNÓW BĘDĄ PODWYŻKI!
Proinflacyjny eksperyment na rynku pracy

STYL

72 JOANNA BOJAŃCZYK
ŻELAZNA LADY MODY
Biografia naczelnej amerykańskiej edycji „Vogue"

FELIETONY:

SEMKA (5), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (57), PRZYBYLSKI (61), GABRYEL, WARZECHA (71), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KRATIUK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 7b8aff7cae

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Dziękuję Ci, Profesorze!

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego wydało komunikat o odwołaniu z dniem 31 marca prof. Grzegorza Berendta z funkcji dyrektora Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Mam zaszczyt być członkiem Rady Muzeum II Wojny Światowej. W poprzednich latach rada nigdy nie kwestionowała jego wybitnej wiedzy i kwalifikacji.

Jest autorem ok. 90 publikacji naukowych i ponad 30 popularnonaukowych, trzech samodzielnych monografii i współautorem siedmiu książek. Nic dziwnego, że przewodniczący rady muzeum prof. Tadeusz Wolsza i sześciu jej członków postanowili zaprotestować przeciw niezrozumiałej decyzji ministerstwa. „Jako członkowie Rady Muzeum, powołani na kadencję 2022–2026, która sprawuje nadzór nad wypełnianiem przez Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku jego powinności wobec zbiorów i społeczeństwa, uważamy, iż jest to decyzja niesprawiedliwa i szkodliwa" – brzmi kluczowy fragment oświadczenia. „Działalność Dyrektora była przez nas oceniana bardzo pozytywnie. Jego decyzje były przemyślane i obiektywne, co powinno cechować osobę na takim stanowisku. Olbrzymia wiedza merytoryczna i umiejętność prowadzenia pracy organizacyjnej zapewniły mu uznanie nie tylko wśród muzealników polskich, ale i na całym świecie [...]. Rezygnacja z tak świetnego historyka oraz doświadczonego Dyrektora negatywnie wpłynie na pracę całego gdańskiego zespołu".

Oprócz szefa rady dokument podpisało sześciu jej członków: dr hab. Sławomir Cenckiewicz, dr Karol Nawrocki, Jarosław Sellin, dr hab. Piotr Niwiński, ks. dr Jarosław Wąsowicz i ja. Projekt listu prof. Wolsza rozesłał do wszystkich 14 członków rady. Według mojej najlepszej wiedzy – w chwili, gdy piszę te słowa – odpowiedziało tylko siedmiu. Nie chcę oceniać tego milczenia. Nie pamiętam jednak, by na którymkolwiek z zebrań obecnej rady ktokolwiek zgłaszał obiekcje do sposobu, w jaki dyrektor Berendt wypełniał swe obowiązki.

Już w październiku zeszłego roku „Gazeta Wyborcza" w Gdańsku umieściła prof. Berendta na liście osób, które zdaniem redakcji powinny być usunięte ze stanowisk jako „pisowscy propagandziści". Był to wyjątkowo nieuczciwy atak. Grzegorz Berendt wiele razy podkreślał, że nie jest i nie chce być wojownikiem w politycznych sporach. Nigdy nie odmawiał dialogu. Owszem, reprezentował muzeum w procesie, który wytoczyli tej placówce Paweł Machcewicz i jego koledzy domagający się, by po ich odejściu w ekspozycji muzeum nie można było przeprowadzać żadnych zmian. Było to jednak żądanie, na które żadna placówka muzealna nie może się zgodzić.

Do historii przejdzie uroczystość z 3 listopada 2022 r., której pan profesor przewodniczył. Godny pochówek szczątków polskich żołnierzy, które znaleziono na Westerplatte. Bez ciebie, Grzegorzu, polscy bohaterowie nadal spoczywaliby bezimiennie w ziemi Westerplatte. Żadne afronty nie odbiorą ci Twoich zasług. ©℗

Całe oświadczenie publikujemy na stronie dorzeczy.pl.

FOT. TUCKER CARLSON NETWORK

PUTIN ZAATAKOWAŁ POLSKĘ

Władimir Putin udzielił pierwszego wywiadu zachodniemu dziennikarzowi od czasu inwazji na Ukrainę. W rozmowie z amerykańskim prezenterem Tuckerem Carlsonem zarzucił Polsce współpracę z Niemcami w 1939 r. „Kolaborowali z Hitlerem i wzięli udział w rozbiorze Czechosłowacji" – oznajmił. Zapytany, czy wyobraża sobie wysłanie rosyjskich wojsk do Polski, dyktator odparł: „Tylko jeśli Polska zaatakuje Rosję. Dlaczego? Ponieważ nie jesteśmy zainteresowani Polską, Łotwą ani żadnym innym miejscem".

eprasa.pl 7b8aff7cae

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Handout/Ukrainian Presidential Press Service/AFP/ East News; Remko de Waal/Hollandse Hoogte/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond: tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 52 000 egzemplarzy

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

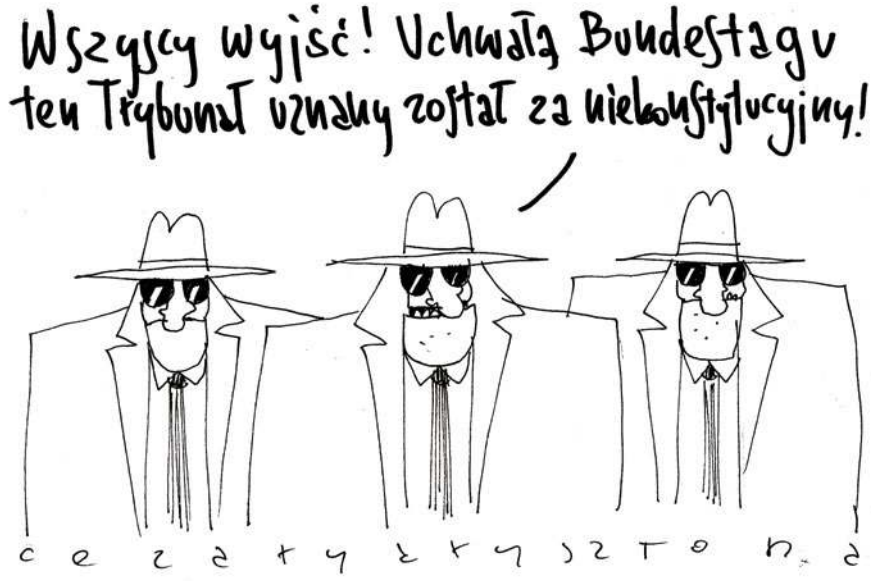

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Sprawa Ilarii Salis

Polskie i światowe media poświęcają w ostatnim czasie wiele miejsca uwięzionej na Węgrzech Włoszce Ilarii Salis. Nie wspominają przy tym dostatecznie jasno, albo nie wspominają wcale, o kilku istotnych szczegółach związanych z całą tą sprawą. A szkoda.

Z okazji obchodzonych przez węgierską skrajną prawicę tzw. Dnia Honoru do stolicy Węgier przybyła też grupa osób związanych ze skrajnie lewicową Hammerbande. Choć sama nazwa organizacji mówi już co nieco o jej profilu programowym, to daleko nie wszystko. Podstawową metodą aktywności jej członków w życiu publicznym nie jest noszenie transparentów czy używanie megafonów w celu wyrażenia własnych poglądów, ale dokonywanie ciężkich pobić z zaskoczenia (zwykle po zajściu od tyłu, przy pomocy narzędzi typu pałka czy kastet) osób, które są neonazistami albo są jedynie przez Hammerbande za takich uważane. W dniach 9–11 lutego ub.r. Hammerbande zorganizowała pięć ulicznych napaści w Budapeszcie, których ofiarą padło w sumie dziewięć osób, w tym także trzech polskich obywateli.

W wyniku obławy ogłoszonej przez węgierską policję po seryjnych atakach Ilaria Salis została zatrzymana w taksówce, wraz z innymi członkami Hammerbande, i do dzisiaj nie przyznaje się do winy. Mnoży za to oskarżenia pod adresem węgierskiego wymiaru sprawiedliwości i sanitarnego stanu więzienia, w którym jest przetrzymywana. Zauważmy, że skarżąca się na „nieludzkie traktowanie" Włoszka nie ma większych problemów z wyartykułowaniem wspomnianych skarg. Być może po prostu z uwagi na to, że według podanych przez węgierskie media informacji – których strona włoska nie podważa – w czasie niespełna roku od chwili swojego zatrzymania Ilaria Salis miała możliwość wykonania 323 telefonów (nie licząc odebranych połączeń); korzystała z wideokonferencji, o odbywanych spotkaniach z adwokatem czy włoskim konsulem nawet nie wspominając.

Węgierskie areszty i więzienia są od lat pod bacznym nadzorem wszelkich możliwych unijnych ciał i organów. Podstawowy zarzut – zbytnie przepełnienie. Z punktu osadzonych trudno to uznać za dobrą wiadomość. Ale – jak pokazują chociażby raporty przygotowywane okresowo na potrzeby Rady Europy przez Uniwersytet w Lozannie – problem przepełnionych ponad stan więzień

eprasa.pl 7b8aff7cae

dotyczy mniej więcej połowy państw UE, w tym Włoch…

Na salę sądową Ilarię Salis wprowadzono ze skrępowanymi kończynami, w sposób, który w hollywoodzkich filmach akcji jest co prawda zastrzeżony dla tych najgorszych czarnych charakterów, ale w rzeczywistości jest dość powszechnie stosowanym rozwiązaniem, także w Europie. Na Węgrzech, dodam, w szczególności od 2019 r., kiedy oskarżonemu udało się wyrwać policjantowi broń z kabury i ostrzeliwując się, uciec z sali rozpraw. Ten tak przykry dla wielu widok skutej osoby, przy okazji pozującej z uśmiechem do zdjęć obecnym na sali reporterom, chyba warto jednak skonfrontować z licznymi szwami na głowach pobitych przez Hammerbande osób (zdjęcia są łatwe do odnalezienia w Internecie).

Oczywiście w rzeczywistości dotykamy znacznie poważniejeszego problemu, na co zwrócił uwagę w swoim artykule opublikowanym 1 lutego redaktor András Dezső z lewicowo-liberalnego i antyrządowego zresztą węgierskiego tygodnika „HVG", zadając pytanie: „Dlaczego najwyżsi rangą włoscy politycy interweniują w Budapeszcie akurat w sprawie Ilarii Salis, a nie żadnego innego odbywającego wyrok w węgierskim więzieniu Włocha?". Odpowiedź: „różnice kulturowe". Innymi słowy, różnica w podejściu do przestępstw popełnianych przez środowiska związane ze skrajną prawicą oraz skrajną lewicą w państwach, które przeżyły oba albo tylko jeden z totalitaryzmów. Jak Włochy. Ciekawe, że ani upływ czasu, ani postępująca integracja w UE niewiele tu potrafią zmienić.

Imię i nazwisko autora do wiadomości redakcji

„Pisowskie kwanty", Rafał A. Ziemkiewicz, „DRz" nr 5/2024

Szanowny Panie Redaktorze,
zgadzając się w pełni z Pańskim zdaniem na temat hordy demolującej od kilku tygodni Polskę, pozwolę sobie podpowiedzieć Panu inne adekwatne określenie tej bandy, a mianowicie: banda hunwejbinów.

Barbarzyńcy, wandale i tym podobni osobnicy zostali już dawno „oswojeni" w Europie, natomiast hunwejbini cieszą się od nie tak dawna sławą niszczycieli porządku w całym świecie. Inaczej nie myślę o rządach Tuska od chwili ujawnienia (i zaaplikowania nam!) wszystkich kolejnych posunięć. A czekają nas dalsze, przy pełnej aprobacie „świata"!

Z poważaniem
Teresa Janiszewska

Wyjaśnienie

Ostatnie dwa zdania tekstu „Tuskowi wolno wszystko. Jeszcze" autorstwa Rafała A. Ziemkiewicza („DRz" nr 5/2023) powinny mieć następujące brzmienie: „Tusk zapewne wierzy, że do tego czasu przeniesie się już do Brukseli i na skutki swych rządów będzie patrzył z bezpiecznej odległości, jak za czasów premier Kopacz i prezydenta Komorowskiego. Może się myli".

REKLAMA

NAGRODY DARWINA DLA ZŁOCZYŃCÓW

ZBRODNIA DOSKONAŁA NIE ISTNIEJE, ALE PRZESTĘPCOM OPISANYM W TEJ KSIĄŻCE PORAŻKA BYŁA PISANA OD SAMEGO POCZĄTKU.

WYDAWNICTWO RM

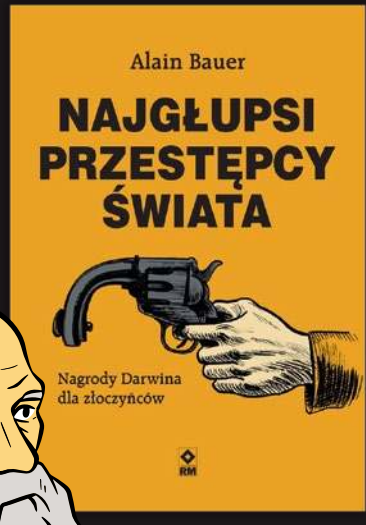

KSIĄŻKA TA JASNO SUGERUJE, ŻE U NIEKTÓRYCH OSÓB INTELIGENCJA JEST ZASOBEM NA TYLE SKROMNYM, ŻE UŻYWANYM ZGOŁA RZADKO ALBO WCALE. I CHOĆ PRZEZ TO ŚWIAT JEST BARDZIEJ (NIE)BEZPIECZNY, TO POTRAFI TAKŻE BYĆ PRZEZABAWNY. DOWÓD NA TO TRZYMACIE W RĘCE, BO JEŻELI PRZESTĘPSTWA MOGĄ SIĘ PODOBAĆ, TO TAKIE, O KTÓRYCH SUKCES NIE SŁYSZAŁ.

JAŚMIN ZE STANOWO.COM

TA KSIĄŻKA TO ZBIÓR 300 NIEWIARYGODNYCH, PRZEŚMIESZNYCH, A JEDNOCZEŚNIE PRAWDZIWYCH ANEGDOT NA TEMAT NAJBARDZIEJ NIEUDOLNYCH, NAJGORZEJ ZORGANIZOWANYCH I PO PROSTU PECHOWYCH PRZESTĘPCÓW W HISTORII.

WWW.RM.COM.PL

eprasa.pl 7b8aff7cae

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Woda dla naiwnych

Redaktor Joanna Gralka z Radia Szczecin zapewne nie była zbyt blisko związana z PiS, skoro na jej społecznościówkach znaleźć można wyrazy poparcia dla „Strajku Kobiet". Nic to jej jednak nie pomogło: jednego dnia pracowała, a następnego rano okazało się, że na życzenie Tuskowego likwidatora została ze skutkiem natychmiastowym relegowana. Jednocześnie ze strony internetowej radia zniknęła informacja, którą nieopatrznie, bez konsultacji z likwidatorem, pozwoliła sobie podać – o kolejnych sztuczkach, które stosują przyjaciele z PO, by uchronić byłego marszałka Senatu, Tomasza Grodzkiego, przed konfrontacją z obciążającymi go zarzutami ponad 20 świadków.

Jak wiemy od samego Grodzkiego, zarzuty są całkowicie fałszywe, nigdy nie uczestniczył on w zorganizowanej grupie przestępczej, która wymuszała od pacjentów i ich rodzin łapówki, uzależniając od wręczenia koperty przeprowadzanie zabiegów medycznych, do których szpital kierowany przez prof. Grodzkiego był zobowiązany, ani nie przewodził jej. Grodzki mógłby oczywiście łatwo udowodnić swą niewinność – tak twierdzi – ale z sobie znanego, a dla wszystkich łatwego do odgadnięcia powodu od lat usilnie nie daje sobie na to szansy, już drugą kadencję chowając się, z pomocą swej partii, za immunitetem.

Chyba wszyscy jeszcze pamiętamy żart pana Marka Czyża, że dotąd w państwowych mediach była „brudna zupa propagandy", ale teraz, po położeniu na nich łapy przez likwidatorów z PO, zastąpi ją „czysta woda prawdy" („pan poeta, pan poeta…"). No to właśnie zastępuje. Cena tej wody okazała się partyjną tajemnicą. Telewizyjna likwidatura chętnie udostępniła kwoty zarobków z minionego okresu, ale na pytanie, ile za swoje lanie wody dostaje pan Czyż, odpowiedzi stanowczo odmawia. A krążą po środowisku wieści, że dostaje naprawdę dużo, znacznie więcej, niż zarabiało się za PiS. Mówienie prawdy musi przecież kosztować – a zwłaszcza mówienie „prawdy, jak my ją rozumiemy", wymagające przecież większego intelektualnego wysiłku niż taka zwykła prawda. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Jak na wojnie

Niepodległości trzeba bronić przed wrogami, niezależności – przed sojusznikami. Dramatycznie przekonaliśmy się o tym w czasie drugiej wojny światowej, gdy najpierw Francja uniemożliwiła objęcie urzędu przez uprawnionego kandydata na prezydenta Rzeczypospolitej, gen. Wieniawę-Długoszowskiego, potem Wielka Brytania doprowadziła do porzucenia urzędu przez polskiego premiera Stanisława Mikołajczyka, a na koniec Stany Zjednoczone (one przynajmniej nie miały z nami formalnego sojuszu) konfirmowały to wszystko w Jałcie.

Było to możliwe, bo trwała wojna, Polska była fizycznie eksterminowana przez Niemców i zagrożona trwałą okupacją przez Sowiety. A wszystko mimo tego (albo raczej właśnie dlatego), że w 1939 r. udało nam się znaleźć w centrum światowej polityki!

Pomoc uzależnia i to tym bardziej, im bardziej jest konieczna. Samo zagrożenie niepodległości niesie więc zagrożenie narodowej niezależności, dlatego pokój jest tak ważny dla racji stanu.

Jednym z beneficjentów wojny na Ukrainie jest Turcja. Stanowiąc przeciwwagę dla Rosji w rejonie Morza Czarnego i Kaukazu, doskonale wykorzystuje to, że w swej ekspansywnej polityce może liczyć na sojusznicze przyzwolenie. Dlatego mogła zachęcić pobratymczy Azerbejdżan do podboju Górskiego Karabachu i dlatego, pewna faktycznej akceptacji Zachodu, systematycznie islamizuje pomniki chrześcijańsko-bizantyjskiego dziedzictwa.

Oczywiście jest również głębsze tło sprawy. Obrona niezależności – i w ogóle prowadzenie niezależnej polityki – wymaga świadomości własnych interesów, ich odrębności i zdolności ich formułowania. Solidarność chrześcijańska nie odgrywa istotnej roli w polityce Zachodu, choć czasami można coś dla niej zrobić w ramach „praw człowieka". Ale i te tracą na znaczeniu, gdy zagrożone jest realne bezpieczeństwo ludzi i narodów. ©℗

eprasa.pl 7b8aff7cae

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIECZEŃ RZYMSKA

Zdobycze postępowej pedagogiki

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

Kolektyw uczniowski prestiżowego liceum w Mediolanie uznał, że młodzież powinna współzarządzać szkołą, a program nauczania należy zmienić i wzbogacić tak, aby obejmował problemy i zjawiska najbardziej interesujące młodych ludzi. Postulaty przekazał dyrekcji i nauczycielom. W odpowiedzi ciało pedagogiczne przedstawiło swoją propozycję współzarządzania. Nie wszystkim się spodobała. Pięćdziesięcioro uczniów radykalistów proklamowało w poniedziałek 29 stycznia okupację liceum i wyprosiło wszystkich pracowników. Dyrekcja i pedagodzy zamiast wezwać policję, antyterrorystów i psychiatrów, grzecznie zdali okupantom klucze i potulnie szkołę opuścili.

Rewolucjoniści napisali w odezwie, że nie podoba im się nowoczesny kapitalizm ani to, że w wielu krajach, m.in. we Włoszech, rządzi autorytarna prawica, wprowadzając okrutne represje, jak Izrael w Strefie Gazy. Okupanci sami sobie zorganizowali lekcje. Odbyli dyskusję na temat wojny na Bliskim Wschodzie, więzionej na Węgrzech włoskiej anarchistki, molestowania kobiet w pracy jako narzędzia politycznego i na wiele podobnych ciekawych tematów.

W nocy z czwartku na piątek coś poszło nie tak. Okupanci zawiadomili dyrekcję, że w nocy ktoś ich napadł, dewastując szkołę. I dali nogę. Okazało się, że zniszczone zostało wszystko, z komputerami i systemem kamer włącznie. Szkody oszacowano na minimum 400 tys. euro. Naturalnie w bajkę o nocnym napadzie na liceum jakiejś bandy wandali nikt nie wierzy. Komputery na śmietniku szkolnym leżały już dzień wcześniej.

Stosunkowo niedawno uczniowie okupowali jedno z rzymskich liceów. Okupacja przepoczwarzyła się w zbiorową konsumpcję narkotyków, orgię i dewastację wszystkiego. Jeśli tak dalej pójdzie – podnoszą włoskie media – to szkoły przestaną uczyć. Staną się jednym wielkim forum dyskusyjnym i centrum rozrywkowym dla rozwydrzonych gówniarzy. I zamiast przygotowanych do studiów uniwersyteckich lub pracy absolwentów będą wypuszczać zideologizowanych anarchistów i ignorantów. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 7b8aff7cae

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

NA PODSŁUCHU

Doda Elektroda, postać zdecydowanie nietuzinkowa, wyjawiła, że w przeszłości założyła jednemu ze swoich byłych... podsłuch. To, czego się dowiedziała, było szokujące. Okazało się, że matka ukochanego wokalistki nastawia go przeciw niej. – Miałam faceta, który był totalnie uzależniony od alkoholu. Oczywiście jego matka go kryła, mówiąc, że jest w szoku.

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

Ona mówi: pierwsze słyszę, on taki wysoko funkcjonujący biznesmen itd. I nagrała mi się ich rozmowa telefoniczna, gdzie ona mówiła do syna: „Ukrywaj to! Ona się nie może dowiedzieć, że już jesteś na trzecim odwyku. Nasza rodzina jest najważniejsza. Z niej zrób wariatkę. Z niej trzeba zrobić wariatkę. Uda nam się to. Nasza rodzina jest jak pięść, a ona jest nikim" – wspomina Rabczewska.
– Jeżeli syn jako dorosła osoba nie potrafi odgraniczyć miłości do matki i miłości do kobiety, to są dwie różne rzeczy i żadna z nich nie powinna cierpieć lub być kosztem jedna drugiej, prawda? – pytała celebrytka w swoim podcaście.
– Pamiętam to, dokładnie to pamiętam. Także z tej sytuacji, która była dawno, dawno temu, wyciągnęłam taki wniosek, że jeżeli mogę cokolwiek radzić dziewczynom, to pierwsza rzecz na samym początku randkowania, to sprawdzać te nieodcięte pępowiny – przekonuje Doda. – Jeżeli facet nie ma posprzątanego życia i przestrzeni na Ciebie, bo zawłaszczyła ją matka, no to gdzie tam będziesz? Na co? Na trzeciego, czwartego? Do góry nogami się wkręcisz? Jak? – oburza się wokalistka. Może zakładanie podsłuchów nie jest rzeczą chwalebną, ale z wnioskami dotyczącymi relacji damsko-męskich trudno się nie zgodzić. Co istotne, ten mechanizm działa w obie strony.

DZIENNIKARZ DO PAŁACU?

Wkraczamy w szalony okres, w którym kandydatury na przyszłoroczne wybory prezydenckie będą się pojawiać jak grzyby po deszczu. Połowa okaże się żartem, połowa niewypałem, ale przynajmniej będzie o czym pisać. Na razie nie wiadomo, do której z kategorii (a może do żadnej?) zapisać Krzysztofa Stanowskiego, o którym jest teraz szczególnie głośno w kontekście uruchomienia Kanału Zero. Start był mocny, bo pierwszy wywiad, który pojawił się na kanale, to ten z prezydentem Andrzejem Dudą.
– Panie prezydencie, nie jest tajemnicą dla moich widzów, że mam pewne plany. Mianowicie chciałbym zobaczyć, jak wygląda kampania prezydencka od środka. Chciałbym nagrywać vlogi, by kamera za mną podążała – powiedział Krzysztof Stanowski. – Doradza mi pan czy nie? – zapytał prezydenta. – Doradzam. Jeżeli rzeczywiście jest poważna grupa ludzi, która chce, żeby był pan kandydatem... – odparł Andrzej Duda, na co dziennikarz odpowiedział żartem, że ludzie chcący, by został on prezydentem, nie mogą być poważni. – Zaistnienie w wyborach prezydenckich, w debatach, pokazanie się w tej wąskiej grupie, kiedy cała uwaga polskiej opinii publicznej koncentruje się na tym wydarzeniu, daje strasznego kopa, jeśli chodzi o rozpoznawalność – stwierdził prezydent. Polityk dodał, że radzi realizować kampanię bezpośrednią. – Rzeczą, którą uważam za niezwykle cenną dla mnie i która przygotowała mnie do prezydentury, był objazd po Polsce. To miało fundamentalne znaczenie i uważam, że każdy kandydat, który poważnie traktuje swoją kampanię wyborczą i swoich wyborców oraz chce rozsądnie realizować politykę, powinien taki objazd zrobić – podkreślił przywódca. Po emisji wywiadu Krzysztof Stanowski zabrał głos na portalu X: „Chciałem doprecyzować: to, że chcę stratować w wyborach na prezydenta Polski, nie oznacza, że chcę być prezydentem Polski. Oznacza jedynie, że chcę startować i z bliska obserwować ten cyrk i wziąć udział w debatach" :). Śmiechy śmiechami, ale w polskiej polityce możliwe jest wszystko.

CESARZ NAJMAN KONTRA STANO WYBIELACZ

Zapowiedź Stanowskiego wywołała natychmiastową reakcję jego największego antagonisty, można by rzec – nawiązując do słynnej wypowiedzi europosła Saryusz-Wolskiego – Nemezis, czyli Marcina Najmana. – Jak z pewnością dowiedzieliście się kilkadziesiąt minut temu, Stano Wybielacz ogłosił, że będzie kandydował na prezydenta. Jednym słowem, idzie na prezydenta [...]. Moi drodzy, w świetle obecnych faktów Cesarz nie może pozostać obojętny, dlatego postanowiłem, że również wystartuję w wyborach prezydenckich. No nie mogę pozostawić całego ludu cesarskiego na postawę takich nikczemników – przekazał w oświadczeniu, które zamieścił w mediach społecznościowych. Pięściarz podkreślił, że jeszcze przed wyborami będzie domagał się debaty z Krzysztofem Stanowskim. – Moi drodzy, nie możemy do tego dopuścić – mówił, zachęcając fanów, by ramię w ramię uniemożliwili dziennikarzowi odniesienie sukcesu w polityce. A może by tak pogodzić panów i przez połowę kadencji prezydentem będzie Stanowski, Najman szefem Kancelarii Prezydenta, a później się zamienią? Rotacja teraz przecież w modzie. ©℗

eprasa.pl 7b8aff7cae

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, zastanawiamy się ostatnio nad tematem Centralnego Portu Komunikacyjnego. Sprawa jest o tyle poważna i trudna, iż nie wiemy, co należy o tym myśleć.

Z jednej strony mamy bowiem lewicową odnogę koalicji, która zdaje się pomysł CPK popierać. Z drugiej strony mamy pozostałych koalicjantów, którzy zdają się mieć wątpliwości. I w tym wszystkim jesteśmy my – czujący się trochę jak dzieci podczas imprezy, na której dorośli może się nie kłócą, ale zaczynają niestety milczeć i wymownie na siebie spoglądać.

Nasz problem polega na tym, iż generalnie uważamy, że latanie samolotem jest zbędne, ale jeśli już ktoś musi latać, to bądźmy to my, a nie wąsaty Janusz z Podkarpacia, który leci do Londynu odwiedzić swojego Mariusza i jego żonę Dżesikę pracujących na zmywaku. Niech to nie będzie również Taylor Swift latająca do swojego chłopaka. Po prostu zachowajmy zdrowy balans, niech latają ci, którzy potrzebują, ale nie narobią siary za granicą.

Wiemy of kors, iż nie jest to transport do końca ekologiczny, ale nie wyobrażamy sobie, jak mielibyśmy inaczej dotrzeć poza sezonem do Grecji. Próbowaliśmy kiedyś na rowerze, wyjechaliśmy w kierunku Tatr, ale wszyscy na Zakopiance na nas okropnie trąbili i w takiej atmosferze hejtu i szczucia nie byliśmy w stanie kontynuować podróży.

Osobny wątek jest taki, czy CPK spodoba się Niemcom. Naszym zdaniem powinniśmy do tematu podejść skromnie i skoro się nie da rozbudować Okęcia, to nie robić przynajmniej nowego lotniska w takim samym rozmiarze. Niemcy mają naprawdę imponujące lotniska w Monachium czy we Frankfurcie i my naprawdę nie powinniśmy teraz ubierać mentalnych husarskich skrzydeł i budować CPK tylko po to, żeby było większe.

No chyba że miałby to być pomnik działań obecnego rządu i pokazanie, iż aspirujemy do bycia drugimi Niemcami, ale jednocześnie trochę się wstydzimy większego lotniska. Wtedy to mogłoby mieć sens.

Z jednej strony uważamy, iż laptopy prawem, nie towarem, z drugiej strony chyba powinniśmy się cieszyć, iż prawdopodobnie nie będzie rozdawnictwa i program z darmowymi laptopami dla uczniów zostanie wstrzymany.

Serio, myśleliśmy, iż jak w końcu odsuniemy PiS od władzy, to będzie lepiej, ale ta koalicja złożona z socjalistów, liberałów i Szymona Hołowni coraz częściej sprawia, że nie wiemy, co należy myśleć.

Może więc, podążając utartą ścieżką, moglibyśmy założyć, iż darmowe laptopy to coś, co należy się nam, a niekoniecznie osobodzieciom? Słabo pamiętamy, jak byliśmy w IV klasie podstawówki. Ale czy osobodzieci w tym wieku nie powinny się zajmować czymś innym niż komputery?

Na przykład smartfonami? Skoro nie będzie już więcej zadań domowych – a stąd prosty krok do wyeliminowania obecności szkoły w życiu uczniów w takim stopniu, w jakim to się działo do tej pory – to może niech sobie te dzieci spokojnie siedzą na TikToku czy Insta?

Teraz wszystko się przecież odbywa mobilnie, więc tym bardziej pomysł darmowych laptopów wydaje się staroświecki. No i widać od razu, iż był to pomysł rządu jeszcze PiS-owskiego. No kto inny mógłby wpaść na taki głupi pomysł xD? ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Rewolucja wymaga ofiar

Antoni, przecież prawie nos mi złamałeś!
Cicho bądź, Mariusz, nie maż się!

Nos to mało. Ale jak mnie popchnąłeś na tego strażnika, tego z wąsami, to wtedy Mularczyk akurat wystawił łokieć i mi go wbił prosto w plecy.
Twardym trzeba być. Jak Roman Bratny.

No dobrze, ale bez przesady. Przecież jeszcze jedna taka akcja i ja naprawdę na OIOM-ie wyląduję!
Będzie trzeba, to zrobimy i jedno, i dwa, i 10 kolejnych wejść siłowych.

To sam se siłowo wchodź, ja odpadam.
Ja nie muszę, ja mam legitymację poselską.

No właśnie, tobie łatwo mówić.
Rewolucja wymaga ofiar. Ja byłem w twardym harcerstwie. A wy w tej Lidze to co, mięczaki jakieś? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Jedno wielkie, centralne lotnisko to jest też jedno wielkie zagrożenie".

MACIEJ LASEK, *pełnomocnik premiera do spraw CPK, w Radiu Zet o budowie Centralnego Portu Komunikacyjnego w Polsce*

eprasa.pl 7b8aff7cae

dwaj panowie g

Piniendzy nie ma i nie będzie. Znacie to hasło. Ale jak się okazuje, to nie tylko polityczne motto Peło. To również symbol kłopotów PiS. Rozmaici ludzie pytają bowiem sztab o fundusze na kampanię przed wyborami samorządowymi. No i tu kłopot, bo okrutnie dużo kosztował Protest Wolnych Polaków, czyli styczniowy marsz antyrządowy prawicy.

Piniądze akurat na kampanię bardzo by się przydały, żeby wzmóc tendencje. Bo wedle wewnętrznych sondaży PiS poprawia się potencjalny wynik w paru regionach, przede wszystkim w świętokrzyskim, łódzkim oraz warmińsko-mazurskim. Chodzi o ewentualne zdobycze w sejmikach wojewódzkich, czyli miejscu kluczowym dla powstrzymania przejmowania reszty państwa przez juntę pułkowników.

Tak czy inaczej, zapadła decyzja, żeby i w samorządowych, i w europejskich wyborach inwestować w utwardzanie stałego elektoratu, a nie rozwijanie skrzydeł. No i szeregowy poseł Jarosław jeździ i utwardza. A sztab liczy skrupulatnie kasę i czeka z utęsknieniem na kampanię europejską. Wtedy bowiem większą część wydatków wezmą na siebie kandydaci marzący o brukselskiej złotej klatce. Przede wszystkim ci, którzy już teraz w niej zasiadają. Ich akurat stać najbardziej.

Apropos europarlamentu – czas rozwiać jeden z mitów związanych z brukselską ewakuacją. Otóż uchylenie immunitetu europosłowi jest bardzo łatwe, wystarczy być nielubianym na europejskich salonach i sprawa załatwiona. Zatem ci, którzy sądzą, że miejsce biorące do europarlamentu uchroni ich przed siepaczami bodnarowcami i juntą pułkowników, są w wielkim błędzie.

Jeszcze o sprawach europejskich. Tydzień temu opowiadaliśmy o tym, jak to PiS skruszył opór Braci Włochów i wymógł zgodę Meloni na wejście Fideszu do frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów. Będzie tak od najbliższej elekcji. Ale są i tacy, którzy już teraz śpieszą w ramiona EKR. Na przykład zgłosił się – i został przyjęty – Nicolas Bay. To arcyciekawa figura. Przez wiele lat sekretarz partii Marine Le Pen, a potem szef sztabu wyborczego Erica Zemmoura. Dla równowagi – inny nowy EKR-owiec to eurodep z Rumunii. Wybaczcie, że nie podamy nazwiska, ale nu vorbim româneşte.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Oczywiście żartujemy. Mówimy wszystkimi językami świata, chiar si in romana. Ów nowy członek EKR nazywa się Vlad Gheorghe i jest prawnikiem. Był dotąd przedstawicielem Związku Zbawienia Rumunii, ale kiedy owa antyestablishmentowa prawicowa partia buntu zamieniła się w prounijnych liberałów, stwierdził, że ma dość. Cenimy ludzi, którzy zmieniają partie, ale nie zmieniają poglądów. A całość puentujemy wierszykiem: „Każde polityczne zwierzę kiedyś skończy w EKR-ze".

Wracając do wyborów samorządowych. Kandydatem Peło na nowego Majchrowskiego ma być w Krakowie niejaki Aleksander Miszalski. Jego akurat – w odróżnieniu od PiS – stać na kampanię. Posiada bowiem w grodzie Kraka i innych miastach sieć hosteli. Cieszą się one szczególnym upodobaniem mieszkańców Albionu i innych krajów zjeżdżających do Krakowa, by pić na umór. To z kolei sprawia, że hostele nie cieszą się popularnością wśród sąsiadów. Choć oczywiście może to wszystko jednak nieprawda. Nie o synach Albionu, lecz o Miszalskim. Zniknął bowiem nagle ze stosownych rubryk w KRS.

Wkrótce po tym, jak nasza wpływowa rubryka narzekała, że wybory za pasem, a w PiS brak nawet szefów sztabów kampanii, ogłoszono, iż samorządową kieruje Piotr Milowański, czyli sekretarz generalny partii. Kiedy dopytywaliśmy wiewiórki z Nowogrodzkiej, czy to na stałe czy na chwilę, odparły: „To się zobaczy". W każdym razie szefa sztabu kampanii europejskiej nadal brak.

Natomiast pytane o Tobiasza Bocheńskiego wiewiórki z Nowogrodzkiej utrzymują, że to wszystko na serio. Co wprawia nas w konfuzję, gdyż nie wiemy, czy jesteśmy informowani

czy trollowani. Chodzi o to, że Bocheński, człowiek o wielkich ambicjach, ma podobno, kandydując w Warszawie, pokazać, że wykręca dobry wynik dający mu przepustkę do kandydowania na prezydenta Polski. Otóż uważamy, że w Warszawie dobrego wyniku dla PiS nie wykręciłby nawet Jan III Sobieski. Stanisław August – tak, ale jako kandydat tej drugiej partii.

Witek Jurasz postanowił się odgryźć swoim prześladowcom, czyli dwóm Panom G., którzy nie wyrazili entuzjazmu dla obecnego postpisowskiego ambasadora w Berlinie. Witek zarzucił jednemu z nas, że usiłował wypromować na to stanowisko analityczkę z Ośrodka Studiów Wschodnich, która „w dyplomacji nie przepracowała nawet pół dnia". Wyjaśniamy więc, że to jest dokładnie taka sama prawda jak wtedy, gdy Jurasz pisał o Pawłosiu, iż jest zawodowym dyplomatą. Otóż nie jest. Zanim wyjechał na placówkę w Berlinie jako rzecznik prasowy, nie przepracował ani pół dnia w dyplomacji.

Już z powyższych informacji wynika, że uważnie śledzimy karierę Pawłosia. Ostatnio najbardziej rozbawiło nas, że jako obecny polski ambasador w Berlinie jest chwalony przez... niemieckich dziennikarzy. Otóż niemieccy dziennikarze z całego serca nienawidzili w ostatnich latach dwóch ambasadorów: najpierw amerykańskiego Richarda Grenella, a potem ukraińskiego Andrija Melnyka. Dziwnym trafem i USA, i Ukraina uważały ich za świetnych dyplomatów dbających nie o interes Niemiec, ale państw, które ich wysłały.

Witka znamy z czasów, kiedy nie był jeszcze wielkim Juraszem, tylko szeregowym czardżem powróconym z Mińska. Czardż w slangu z Szucha znaczy chargé d'affaires, czyli facet, który kieruje placówką, gdy stary ambasador zjechał do kraju, a nowy jeszcze nie przyjechał. Witek miał wielkie ambicje i do ich realizacji chciał wykorzystać Panów G. A było to w czasach, kiedy chodziło info, że Waszczykowski, srebrny lis dyplomacji, straci posadę. Równocześnie ktoś rozpuszczał plotkę, że nadpremier Kaczyński każdy poniedziałek zaczyna od lektury naszej rubryki. Witek postanowił upiec dwie pieczenie na jednym ogniu i zwrócił się do Panów G. z prośbą, byśmy puścili notkę, że wśród kandydatów na następcę Waszczykowskiego jest Jurasz. Wtedy odmówiliśmy, ale po latach postanowiliśmy zadośćuczynić tej prośbie. Co niniejszym czynimy.

Aha, jedna ważna rzecz. W poprzedniej notce pewne twierdzenie przedstawiane jako plotka nie jest plotką, ale najszczerszą prawdą. Sami zdecydujcie które.

Z internetów. Generał Andrzejczak był na Kanale Zero łaskaw stwierdzić, że w Polsce nie ma żadnych aktów prawnych dotyczących zestrzeliwania rakiet, które przedarły się na teren naszego kraju. Odgryzł mu się były szef MON, publikując fragment uchwalonej pół roku temu ustawy regulującej ową kwestię. Aby rzucić więcej światła na tę polemikę, dodamy od siebie, że przepisy tej ustawy napisał osobiście najbliższy współpracownik Andrzejczaka, gen. Piotrowski.

Z polityki kadrowej Koalicji 13 grudnia. Otóż Platforma miała już nowego szefa PISM. Czyli Polskiego Instytutu Polityki Międzynarodowej. W ostatniej chwili ktoś jednak podniósł alarm, że facet ma wyrok za defraudację pieniędzy. Wprawdzie w zawieszeniu, ale nie zatarty. Dodatkowo się okazało, że był on łaskaw jednej ze swoich podwładnych wysyłać zdjęcia swojego przyrodzenia. Nominację wstrzymano, ale trzymamy za nią kciuki. Uważamy, że poważne instytucje powinny mieć kozackich szefów.

Wracając do piniendzy. Gwiazdka PeŁo Mucha Joanna ogłosiła, że w dobie kryzysu klimatycznego budowa CPK jest bez sensu. To genialne! CPK nie będzie przez PeŁo, tylko przez pogodę! Słusznie, taki mamy klimat, jak głosi jedno z nieformalnych haseł tej partii. Minister obrony Władysław Kosiniak-Kamasz ogłosił, że kontrakt zbrojeniowy z Koreą Południową jest niemożliwy do zrealizowania. Oczywiście z winy Koreańczyków. Czekamy na wieści o tym, że elektrowni atomowej nie będzie, gdyż jądra polskich atomów są zbyt wątłe, żeby je rozszczepiać.

Niektórzy nie doceniają epokowości zmian, które zachodzą dookoła. Po latach pisze się o nich w podręcznikach. Na przykład taka finlandyzacja – próba pokojowego podporządkowania sobie Finlandii przez Sowietów. A teraz mamy landyzację Polski, czyli to samo, ale w wykonaniu Berlina. Trzeba jednak na to wymyślić nowy termin, skoro mamy nowe czasy. Proponujemy donlandyzacja. Don Donald i jego land. ©℗

REKLAMA

eprasa.pl 7b8aff7cae

Ukraina nie wygra

Łukasz Warzecha

Musimy przestać myśleć życzeniowo i zacząć bazować w polskiej strategii na wariancie, w którym Ukraina faktycznie traci część swoich terytoriów

Po dwóch latach wojny na Ukrainie jesteśmy jednocześnie w całkiem innym i zarazem tym samym miejscu, co w pierwszych miesiącach jej trwania. Bardzo mocno zmieniły się nastroje, również na samej Ukrainie, w relacji do tych zwłaszcza z drugiej połowy 2022 r. Inaczej oceniane są jej szanse w konflikcie oraz jej wewnętrzna sytuacja. Jednocześnie w Polsce, po zwycięstwie koalicji Donalda Tuska, następuje renesans tępej i prymitywnej proukraińskiej narracji, tak jakby nic kompletnie się nie zmieniło. Pojawia się jeden nowy akcent: elity zaczęły straszyć nas nadciągającą wojną. W warunkach ograniczonego do nich zaufania można mieć wątpliwości, czy te ostrzeżenia nie są po prostu formą spacyfikowania buntu przeciwko zasilaniu skorumpowanego ukraińskiego państwa kolejnymi transzami pieniędzy.

Nawet jednak z języka polskiej debaty o wojnie zniknęło właściwie pojęcie „zwycięstwa Ukrainy", które regularnie było w nim obecne do mniej więcej połowy ubiegłego roku. Gdy realiści apelowali, żeby to „zwycięstwo" zdefiniować, w odpowiedzi pojawiały się dwa jego rozumienia. Pierwsze, umiarkowane, to po prostu obronienie przez Ukrainę jej suwerenności. Drugie, znacznie częściej wtedy przywoływane i hurraoptymistyczne, to

eprasa.pl 7b8aff7cae

Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski w podróży do obwodów charkowskiego i zaporoskiego, 30 listopada 2023 r. Nad mapą pochyla się Ołeksandr Syrski – od ubiegłego tygodnia nowy szef Sił Zbrojnych Ukrainy FOT. PRESIDENT.GOV.UA

Coraz trudniej utrzymywać iluzję, że Wołodymyr Zełenski jest w swoim kraju niekwestionowanym i uwielbianym przywódcą

odebranie Rosji wszystkich przejętych przez nią terytoriów, z Krymem włącznie.

Dzisiaj o odzyskaniu przez Kijów Krymu może mówić jedynie ktoś całkowicie oderwany od rzeczywistości. Nawet prezydent Andrzej Duda w wywiadzie dla Kanału Zero był w tej sprawie wstrzemięźliwy, stwierdzając: „Nie wiem, czy Ukraina odzyska Krym". Było to oczywiście sformułowanie bardzo dyplomatyczne, bo dla każdego trzeźwego obserwatora jasne jest, że Ukraina w przewidywalnej przyszłości Krymu nie odzyska.

Jeśli spojrzeć na aktualne komunikaty dotyczące przebiegu działań, to można mieć wrażenie, że od blisko dwóch lat nic się nie zmieniło. „W pierwszych dniach lutego wojska rosyjskie przełamały obronę przeciwnika na północny wschód od Awdijiwki i wkroczyły do miasta od północy. Powstrzymującym dotychczas postęp agresora w tym rejonie siłom ukraińskim zagroziło odcięcie od zaopatrzenia i wycofały się do Awdijiwki" – informuje Ośrodek Studiów Wschodnich w biuletynie z 7 lutego. Warto dodać: 7 lutego 2024 r., bo walki o tę miejscowość toczą się praktycznie od rozpoczęcia inwazji – równie dobrze można by pomyśleć, że to komunikat sprzed roku.

Zmieniło się postrzeganie Ukrainy. Coraz trudniej utrzymywać iluzję – choć polscy politycy i media głównego nurtu robią w tej kwestii, co mogą – że mamy do czynienia z bohaterskim monolitem, a Wołodymyr Zełenski jest w swoim kraju niekwestionowanym i powszechnie uwielbianym przywódcą.

Przez dłuższy czas nie był jasny los Wałerija Załużnego, głównodowodzącego ukraińskich wojsk, uznawanego za najważniejszego rywala Zełenskiego, a także jego potencjalnego konkurenta w wyborach prezydenckich, gdy już miało do nich dojść. Na razie bowiem Ukraina zamroziła wszelkie demokratyczne procedury wyborcze, co każe postawić pytanie, czy rzeczywiście nie mamy już do czynienia z państwem faktycznie autorytarnym.

Po kilkakrotnie pojawiających się informacjach, że Załużny został już odwołany – potem dementowanych – w końcu w ostatni czwartek ogłosił to prezydent Ukrainy. W jego miejsce głównodowodzącym mianowano Ołeksandra Syrskiego – z pochodzenia Rosjanina, zwanego „Rzeźnikiem". Bynajmniej nie z powodu skutecznej walki z przeciwnikiem, ale z powodu posyłania na rzeź własnych żołnierzy. Na razie trwanie wojny z Rosją powstrzymywało brutalny polityczny konflikt pomiędzy prezydentem a Załużnym, ale teraz ta sytuacja może się zmienić, gdy do równania dojdzie kolejna niewiadoma w postaci reakcji żołnierzy na linii frontu na nominację głównodowodzącego, który może ich znów potraktować jak mięso armatnie. Ukraińcy zaś mają coraz głębszą świadomość tego, że praktyczny bezruch na froncie jest okupiony gigantycznymi stratami w ludziach.

SYSTEMOWA KORUPCJA

Nie ma tygodnia, żeby z Ukrainy nie napływały wiadomości o aferach korupcyjnych. W ubiegłym tygodniu w mediach pojawiła się informacja, że były szef jednego z ukraińskich holdingów rolnych, Ołeh Bachmatiuk, miał wręczyć byłemu szefowi ukraińskiej administracji skarbowej blisko 77 mln dol. To podobno najwyższa łapówka w ukraińskiej historii, przynajmniej spośród tych, o których wiemy.

Takie wiadomości nie pojawiały się w pierwszym okresie wojny. A przecież Ukraina jest państwem systemowo skorumpowanym. Na indeksie Transparency International w 2022 r. zajmowała 116. miejsce (na 180 klasyfikowanych krajów) z zaledwie 33 punktami na 100. A to i tak mozolnie pnąc się do góry, przy czym np. rok 2019 oznaczał zjazd w stosunku do roku poprzedzającego aż o dwa punkty (dla porównania: Polska jest na 45. miejscu z 55 punktami, przy czym nasz kraj odnotowuje systematyczny spadek, począwszy od 2015 r.).

Systemowa korupcja nie jest czczym pojęciem. Systemowość korupcji oznacza, że nie mamy do czynienia z pojedynczymi, mniej lub bardziej częstymi przypadkami, ale że jest ona częścią mechanizmów państwa i instytucje oraz obywatele przyjmują z góry, iż bez „podatku korupcyjnego" niczego się nie da załatwić. O tym, że na Ukrainie jest to potężny problem, także w kontekście zewnętrznej pomocy, świadczą trwające od tygodni kłopoty z przegłosowaniem przez Kongres USA pakietu 60 mld dol. pomocy dla Kijowa. Republikanie otwarcie sprzeciwiają się kontynuacji pomocy, mówiąc właśnie o korupcji. W ubiegłym tygodniu senator Rand Paul skomentował na portalu X ustawę, dotyczącą głównie ochrony amerykańskiej granicy, do której dorzucono (częsta praktyka w Kongresie) wspomniany pakiet pomocy: „Oto co wiemy na razie: 60 mld dla skorumpowanego reżimu na Ukrainie i żadnej realnej ochrony naszych granic. To musi się skończyć". Ustawa, zgodnie z przewidywaniami, upadła

eprasa.pl 7b8aff7cae

w Senacie. Czasy, gdy Wołodymyr Zełenski wygłaszał swoje pompatyczne przemówienia w Izbie Reprezentantów, oklaskiwany niemal przez wszystkich na stojąco, wydają się zamierzchłą przeszłością.

Korupcja na Ukrainie jest też problemem dla Unii Europejskiej, która przeforsowała właśnie przez Radę Europejską zgodę na pakiet 50 mld euro do 2027 r., ostatecznie przełamując opór Budapesztu. W konkluzjach szczytu z 1 lutego zawarto jednak również punkt mówiący:

„Jednym z warunków do przyznania Ukrainie wsparcia w ramach Instrumentu jest utrzymanie i przestrzeganie przez Ukrainę skutecznych mechanizmów demokratycznych, m.in. wielopartyjnego systemu parlamentarnego, oraz praworządności, a także zagwarantowanie poszanowania praw człowieka, w tym praw osób należących do mniejszości. Wdrażając Instrument, Komisja i Ukraina wprowadzają wszelkie odpowiednie środki w celu ochrony interesów finansowych Unii, w szczególności w odniesieniu do zapobiegania nadużyciom finansowym, korupcji, konfliktom interesów i nieprawidłowościom oraz wykrywania i korygowania tych zjawisk".

Ukraina straciła szansę, żeby negocjować z Rosją warunki rozejmu z możliwie silnej pozycji

Ze strony unijnych urzędników także słychać ponaglenia pod adresem Kijowa, aby efektywniej walczyć z patologiami. Tak było podczas zeszłotygodniowej wizyty szefa unijnej dyplomacji Josepa Borrella w stolicy Ukrainy. Przypomniał on, że Ukraina musi walczyć z korupcją i dbać o demokratyczne standardy, jeśli ma nadal otrzymywać pomoc. Trudno w tej chwili powiedzieć, na ile są to tylko rytualne wezwania, a na ile postępy po stronie Ukrainy będą rzetelnie oceniane i w razie oceny negatywnej – jakie konsekwencje grożą Kijowowi.

Przy czym w pakiecie 50 mld euro jedynie 17 mld to pomoc bezzwrotna. Reszta – 33 mld – to kredyty. Trudno się

Wałerij Załużny, zdymisjonowany głównodowodzący Sił Zbrojnych Ukrainy FOT. GLOBAL IMAGES UKRAINE/GETTY IMAGES

pozbyć podejrzeń, że na pieniądzach, które za jakiś czas Ukraina będzie musiała zgromadzić, aby je spłacić, zarobią niektóre unijne banki. Być może głównie niemieckie.

POLSKA WCIĄŻ DOPŁACA

Jedno jest dzisiaj jasne: Ukraina straciła szansę, żeby negocjować z Rosją warunki rozejmu z możliwie silnej pozycji. Taką miała zaraz po swojej udanej kontrofensywie w drugiej połowie 2022 r. Wówczas jednak koncepcja negocjacji z Rosją była, zwłaszcza w Polsce, uznawana za sprzyjanie Rosji. W istocie było całkiem inaczej. To właśnie w tamtym momencie nie było jeszcze całkowicie jasne, czy zachodnie sankcje jednak nie rozłożą Rosji na łopatki, a Ukraina wydawała się zdolna do dalszych ofensyw. Trochę ponad rok później jasne jest, że Rosja bez większego trudu przestawiła się na gospodarkę wojenną, nie ma problemów z uzbrojeniem, z ludźmi, a blok Wschodu i Południa, choć poddawany wielu naprężeniom i bynajmniej niejednolity, jednak krzepnie. Sankcje wydają się nie mieć już żadnego znaczenia. Dodatkowo w innych punktach świata wybuchły konflikty, których na jesieni 2022 r. jeszcze nie było – przede wszystkim na Bliskim Wschodzie: rozogniony na nowo konflikt izraelsko-palestyński oraz rozpalający się właśnie w bardzo groźny sposób konflikt w basenie Morza Czerwonego. W obu tych sprawach Zachód wydaje się być raczej w defensywie. Obie odciągają też uwagę przede wszystkim Waszyngtonu od Ukrainy.

Nadzieje na nową ukraińską ofensywę spaliły na panewce, na samej Ukrainie narasta zniecierpliwienie trwającym konfliktem, zasoby gotowego uzbrojenia na Zachodzie są wyczerpane, Rosja trzyma się dobrze, a w wyścigu prezydenckim w USA w listopadzie tego roku zwyciężyć może Donald Trump, zapowiadający zdecydowane działania na rzecz zakończenia konfliktu. To zaś będzie musiało oznaczać pogodzenie się Ukrainy z faktyczną utratą terytoriów, które obecnie znajdują się pod rosyjską kontrolą.

W tej sytuacji w Sejmie skierowano do dalszych prac – przy sprzeciwie jedynie Konfederacji – ustawę przedłużającą obowiązywanie pomocy dla Ukraińców do końca czerwca tego roku. A trzeba wiedzieć, że we wszystkich sondażach to właśnie finansowe wspieranie przebywających w naszym kraju Ukraińców było uznawane przez większość respondentów za najbardziej problematyczne i wzbudzało największy opór. Ustawa oznacza, że przedłużony zostaje dostęp Ukraińców do wszystkich świadczeń socjalnych, z podwyższonym z 500 zł do 800 zł świadczeniem włącznie. Dodatkowy koszt ma wynieść 1,8 mld zł, a koszt łączny, podawany w uzasadnieniu do ustawy, to 6,2 mld zł.

Nie jest to jednak całkowity koszt polskiej pomocy dla Ukrainy. Do wypłacanych świadczeń trzeba bowiem doliczyć choćby koszt leczenia czy tworzenia miejsc dla ukraińskich dzieci w przedszkolach i szkołach. Wiele wskazuje na to, że Ukraińcy dobrze opanowali sposoby na oszukiwanie polskiego systemu. Jeden ze znajomych lekarzy pracujących we wschodnim regionie kraju informował mnie niedawno, że wielokrotnie już przyjmował ukraińskich pacjentów, którzy nie byli w stanie podać adresu zamieszkania w Polsce – co oznacza, że na stałe mieszkają na Ukrainie, a do nas przyjeżdżają tylko skorzystać z bezpłatnego leczenia, stojącego na dużo wyższym poziomie niż u nich. Można założyć, że jest to problem systemowy, a nie odosobniony.

W najnowszym raporcie na temat pomocy udzielanej Ukrainie Kiloński Instytut Światowej Gospodarki stwierdza, że Polska jest na siódmym miejscu pod względem wartości bezwzględnych i na szóstym pod względem odsetka PKB. Ma ona wynosić 4,3 mld euro (ponad 18,5 mld zł) i 0,67 proc. PKB. Jest to jednak pomoc,

eprasa.pl 7b8aff7cae

która w ten właśnie sposób jest opisywana, a więc nie mieszczą się w tej kategorii wydatki na socjal czy leczenie.

W sytuacji, gdy na zdecydowanej większości ukraińskiego terytorium nie toczą się walki, trudno znaleźć uzasadnienie dla utrzymywania hojnej pomocy socjalnej i dalszego zrównywania uprawnień Polaków i Ukraińców. Zwłaszcza że wbrew twierdzeniom niektórych wpływy z danin płaconych przez Ukraińców w Polsce nijak naszych wydatków nie równoważą.

We wrześniu ubiegłego roku pytałem Ministerstwo Finansów, jak duże były wpływy podatkowe od uchodźców. Ministerstwo stwierdziło, że nie jest w stanie wyodrębnić z ogółu ukraińskich podatników tych, którzy przebywają w Polsce na podstawie specustawy, podało zatem liczby dotyczące podatników z ukraińskim obywatelstwem w ogóle. Za 2022 r. było to blisko 5,6 mld zł, a od stycznia do sierpnia 2023 r. – zaledwie 2,1 mld zł. To łączne wpływy z PIT i krajowego VAT.

Okazuje się jednak, że dane za 2022 r. zostały mocno przeszacowane. Jak wynika z korespondencji jednego z moich czytelników z MF, którą od niego otrzymałem, ministerstwo przyznało się do błędu i ostatecznie wpływy z VAT za 2022 r. ustalono na ok. 1,2–1,3 mld zł. Jeśli doliczyć do tego PIT – 1 mld zł – to okazuje się, że w całym 2022 r. wszyscy pracujący w Polsce Ukraińcy odprowadzili do polskiego budżetu raptem niespełna 2,5 mld zł podatków. Trudno uznać, żeby w jakikolwiek sposób bilansowało to udzielaną pomoc socjalną.

Korupcja na Ukrainie jest problemem dla Unii Europejskiej, która przeforsowała zgodę na pakiet 50 mld euro do 2027 r.

Realistyczne cele, które w tym momencie powinna stawiać sobie Polska, to przede wszystkim jak najszybsze uzupełnienie naszych braków sprzętowych, wynikających z niefrasobliwego oddawania polskiego sprzętu Ukrainie przez poprzedni rząd. Jeżeli teraz pan minister Władysław Kosiniak-Kamysz zaczyna mieć wątpliwości co do sposobu finansowania kontraktów zbrojeniowych z Koreą Południową, to może pierwszym ruchem powinno być właśnie skasowanie uprawnień socjalnych dla Ukraińców i przesunięcie tych pieniędzy na zbrojenia.

Druga sprawa to realistyczne podejście do nieuchronnego zakończenia czy też zamrożenia wojny. W polskim interesie jest, aby Ukraina obroniła się jako suwerenne państwo, musimy natomiast przestać myśleć życzeniowo i zacząć bazować w naszej strategii na wariancie, w którym Ukraina faktycznie traci część swoich terytoriów. Wtedy zaś najpewniej na zasadzie swoistej rekompensaty Kijów zacznie tym mocniej domagać się przyjęcia go jak najszybciej i nawet z pominięciem normalnych kryteriów do UE – co jest rażąco sprzeczne z naszym interesem, ale leży w interesie Niemiec. Dwa lata po wybuchu wojny na Ukrainie najwyższy czas, aby zacząć mówić o tym wprost.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Pobyty w terminach: 12.02 - 28.03

LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Neurologiczny, Dla Aktywnych, Biodra, Kolana, Bark, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

• Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie • Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna • • Specjalistyczne konsultacje lekarskie • *możliwa dopłata

Turnus Wielkanocny 28.03 - 02.04.2024

tel. 54 416 70 00 www.podtezniami.pl

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II, ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

eprasa.pl 7b8aff7cae

FOT. MAREK ZIELIŃSKI/SE/EAST NEWS

eprasa.pl 7b8aff7cae

Z generałem dywizji w stanie spoczynku Leonem Komornickim, byłym zastępcą Sztabu Generalnego Wojska Polskiego
rozmawia Karol Gac

Sytuacja staje się bez wyjścia

KAROL GAC: Panie generale, niedługo druga rocznica pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę. W jakim miejscu konfliktu jesteśmy?

GEN. LEON KOMORNICKI: Jestem generałem Wojska Polskiego, który ma bogatą drogę za sobą. Poznałem również rosyjskie myślenie, czego nie da się po prostu nauczyć, jeśli nie ćwiczy się z Rosjanami i nie studiuje w oryginale ich podręczników. Żałuję, że zideologizowano naukę języka rosyjskiego i ta umiejętność praktycznie wymarła, co paradoksalnie jest na rękę Rosji. To ważne zastrzeżenia, bo przydają się one do obecnej oceny. Odpowiadając na pytanie: polska sztuka wojenna jednoznacznie mówi, że wojna Rosji z Ukrainą znajduje się obecnie dopiero w drugiej fazie strategicznej.

To znaczy?

Pierwsza faza strategiczna to wkroczenie armii rosyjskiej. Co ciekawe, zgodnie z rosyjską sztuką wojenną, jeśli miała to być pełnoskalowa wojna, to powinna być poprzedzona zmasowanym uderzeniem rakietowo-artyleryjskim. Chodzi o stworzenie warunków wojskom lądowym, by mogły się wedrzeć jak najgłębiej na dane terytorium. Tego nie było, w efekcie czego Rosjanie ponieśli ogromne straty, bo przeciwko agresji przystąpiła nie tylko armia, lecz także społeczeństwo, które miało rozbudzoną świadomość swojej narodowej tożsamości i potrzebę budowy suwerennego państwa, które zmierza do Europy. Wydaje się, że Władimir Putin nie do końca wiedział, jaki jest stan świadomości Ukraińców. Nie można pomijać aspektu przygotowanego obronnie społeczeństwa, bo on jest kluczowy. Chodzi o to, by społeczeństwo było zagospodarowane, także w systemie obrony cywilnej kraju. Mówię o tym dlatego, że w tym zakresie zmarnowaliśmy ostatnie dwa lata. Nie wyciągnęliśmy żadnych istotnych dla nas wniosków.

Wróćmy do obecnej fazy konfliktu.

Druga faza strategiczna polega na tym, że w tym czasie powinno się zadać ogromne szkody agresorowi. Rosyjska armia posiada określony potencjał, a także potężne zaplecze. Ta faza powinna zakończyć się załamaniem się zdolności ofensywnych agresora i złamaniem jego kręgosłupa. Chodzi więc o to, by armia rosyjska nie posiadała inicjatywy do prowadzenia swoich działań. Trzeba również pamiętać o równoległej wojnie informacyjnej, której powinniśmy być świadomi, bo to ma ogromne znaczenie. Ukraińska armia jest jednak zdana całkowicie na pomoc Zachodu. To od niego zależy efektywność i ciągłość działania tej armii. To ma zaś fundamentalne znaczenie w prowadzeniu wojny. Chodzi o to, by nie dawać agresorowi chwili wytchnienia, by ten nie mógł odtworzyć swojego potencjału i dokonać refleksji strategicznej.

Ukraińskiej armii nie udało się złamać zdolności ofensywnych rosyjskiej armii w żadnej przestrzeni, zwłaszcza na lądzie i w powietrzu. Odepchnięto co prawda flotę, ale cały czas ma ona istotny potencjał. Warto też powiedzieć, że użycie dronów przy tej okazji spowodowało zaskoczenie Rosjan. Ten element jest również niezwykle istotny. Podsumowując, Ukraińcom nie udało się przejść do trzeciej fazy wojny, czyli kontrofensywy, ale trzeba również dodać, że armii nie stworzono ku temu odpowiednich warunków. Skoro nie udało się zakończyć fazy drugiej, to tym bardziej nie można było przejść do trzeciej. Ta tzw. kontrofensywa, o której tyle mówiono, to nic innego jak awanturnictwo polityczno-wojskowe, wsparte zachętami oraz naciskami NATO i USA. Armia ukraińska nie była po prostu na to przygotowana. Tym bardziej że armia rosyjska, mając pauzę strategiczną, zdążyła przez osiem miesięcy zbudować od Zaporoża do Bachmutu i Krymu strefę śmierci – rejon umocniony, który zamieniono w narzędzie walki, wzmacniający potencjał Rosjan. W związku z tym ta wojna ma obecnie charakter pozycyjny.

Nasuwa się porównanie do pierwszej wojny światowej, gdy front był ustabilizowany, a obie strony okopały się na swoich pozycjach.

Tak. Uzyski terytorialne są po obu stronach minimalne. Ukraińska armia przeszła do obrony strategicznej i się okopuje. Wojska stają naprzeciwko siebie i bronią swoich pozycji. W niektórych miejscach mamy działania zaczepne, ale są one raczej punktowe. Rosjanie dążą do wykrwawienia Ukraińców i zniszczenia potencjału państwa. Ukraińska armia

eprasa.pl 7b8aff7cae

jest dzisiaj w gorszym położeniu, niż była przed tzw. kontrofensywą, która nie mogła się zakończyć inaczej niż klęską. Zadania, które postawiono przed armią, przekraczały jej możliwości i zdolności bojowe.

Ta tzw. ukraińska kontrofensywa, o której tyle mówiono, to nic innego jak awanturnictwo polityczno-wojskowe, wsparte zachętami oraz naciskami NATO i USA. Armia ukraińska nie była po prostu na to przygotowana

Winni są więc ukraińscy politycy z prezydentem Wołodymyrem Zełenskim na czele, którzy stawiają armii nierealne cele, a następnie zmuszają ją do działań?

Dotknął pan istotnego problemu. Podczas pierwszej fazy wojny mieliśmy odpowiednie proporcje. Niestety, z czasem politycy zaczęli zawłaszczać obszary dowódców i wchodzili w ich buty, próbując dowodzić armią. W efekcie widzieliśmy cele militarne, które były pochodnymi celów politycznych, a były niezgodne ze sztuką wojenną. Upatrywano w armii panaceum na realizację celów politycznych. Z czasem, zamiast skupiać się na prowadzeniu polityki zagranicznej, otoczenie Zełenskiego zaczęło coraz mocniej zajmować się armią i frontem, co przyniosło opłakane skutki. Zachwianie równowagi między celami politycznymi a strategią militarną jest zatem jedną z przyczyn klęski. W języku sztuki wojennej nazywa się to awanturnictwem. Niestety, gen. Załużny uległ presji politycznej i Zachodu, który oczekiwał cudów od ukraińskiej armii, bo zbliżał się np. szczyt NATO w Wilnie. Zapomniano przy tym wszystkim o ukraińskim żołnierzu.

W grudniu ubiegłego roku powiedział pan w wywiadzie dla portalu DoRzeczy.pl: „To nie była kontrofensywa. To było wysyłanie żołnierza na śmierć. A wysyłanie żołnierza na śmierć jest zbrodnią wojenną. Tak to określa wprost polska sztuka wojenna". Mocne słowa.

Taka jest prawda. To zbrodnia dowódców na żołnierzu, co jest zbrodnią wyższej kategorii. Politycy patrzą na wojnę przez pryzmat techniki, uzbrojenia i amunicji. To oczywiście ważne, ale mimo wszystko jest wtórne. Na pierwszym miejscu powinien być przecież człowiek. To fundament każdej armii. To on wykonuje decyzje, dowodzi, obsługuje technologię itd. Od jego woli, wyszkolenia, zadbania o niego zależą skuteczność i powodzenie operacji. Dopiero po klęsce kontrofensywy doszło do pewnego otrzeźwienia. Niestety, Rosja nie traciła czasu i umacniała swoją obronę. To twierdza, której każdą część będzie trzeba zdobywać. Sytuacja staje się patowa i bez wyjścia.

Jakie błędy popełnili więc Ukraińcy?

W pierwszej fazie zadziałano właściwie, choć mieliśmy równolegle do czynienia z elementem zaskoczenia. Rosjanie zyskali duże uzyski terytorialne, zwłaszcza na południu. Agresor dokonał rajdu, zagarniając sporo terenu. Trzeba to widzieć, właściwie oceniać i nie uprawiać hurraoptymizmu. Ukraińska armia działała odpowiednio. Pozbawiła się jednak zdolności ofensywnych, a dodatkowo musiała bronić granicy na długości ponad 3 tys. km.

Dużo gorzej było, gdy armia ukraińska przeszła do działań ofensywnych. Chcąc osiągnąć cele operacyjne, nie posiadała odpowiednich zdolności. Było to widać pod koniec 2022 r., gdy ich działania gasły. Dlaczego? Zabrakło amunicji, uzbrojenia, czołgów. Tymczasem co robił Zachód? Dyskutował, analizował i drapał się po głowach. Mieliśmy takie dyrdymalenie, co było na rękę Rosji, która konsekwentnie próbowała zastraszyć Zachód.

Wychodzi na to, że współodpowiedzialność ponosi Zachód, który zwlekał z pomocą. O ile Stany Zjednoczone, Wielka Brytania czy Polska pospieszyły z pomocą, o tyle pamiętamy, jak zachowywały się np. Niemcy. W efekcie mieliśmy wsparcie „kropelkowe", by nie rozzłościć Rosji.

Dokładnie tak. Gdyby nie decyzja polityczna Polski i nasza pomoc, sytuacja byłaby dużo gorsza. Daliśmy Ukraińcom posowiecki sprzęt, dzięki czemu ich armia mogła niemal od razu się do niego przesiąść i kontynuować swoje działania. Nasz sprzęt odegrał dużą rolę w działaniach ofensywnych Ukraińców. Pamięta pan wrzask, który się podniósł przy okazji migów? Strach zdominował decyzyjność przywódców zachodnich. W efekcie wszystko było z opóźnieniem. Zachód dyskutował, zamiast działać. Mieliśmy za to spektakle polityczne i wizerunkowe.

Jedna z zasad polskiej sztuki wojennej mówi, że plan pobicia wroga musi być skoordynowany i zabezpieczony przez dostawy, żeby można go było realizować. Jak armia ukraińska mogła realizować swój, skoro nie miała czym walczyć? Do tego trzeba było uwzględnić czas przeznaczony na szkolenie. Okazało się zresztą, że ukraińskich żołnierzy szkolono z czegoś, co zupełnie nie miało żadnego zastosowania na froncie.

A może zachodni „doradcy" patrzyli po prostu z pewnego rodzaju wyższością na Ukraińców, którzy, jak by nie patrzeć, znali swój teren i mentalność Rosjan? W efekcie sugerowano rozwiązania, które niekoniecznie okazały się trafne.

Z całą pewnością. To niedopuszczalne, by zachodni doradcy narzucali swoją sztukę wojenną, bo to łamanie suwerenności państwa ukraińskiego. Generał Hodges niedawno zaapelował, by przestać mówić Ukraińcom, jak mają walczyć. Trzeba zrozumieć teatr wojny, co jest podstawą. Wojna nie toczy się przecież w gabinetach, na stanowiskach dowodzenia czy makietach. Dowódcy muszą rozumieć teren i ludzi. Kto w Waszyngtonie, Brukseli, Paryżu czy Berlinie wie lepiej niż Ukraińcy? Narzucono anglosaską sztukę wojowania, która ma się nijak do naszej rzeczywistości. Amerykanie nie mają przecież odwiecznych wrogów u siebie. Nie doceniają przestrzeni geograficznych, historycznych i społecznych, lecz prowadzą wojnę w oparciu o obecne uwarunkowania polityczno-wojskowe. Pamiętamy przecież, co wydarzyło się np. w Afganistanie, gdzie budowana przez Amerykanów armia rozpierzchła się w kilka dni, porzucając sprzęt.

W naszej przestrzeni musi nastąpić sanacja polskiej sztuki wojennej. Jej dorobek jest niepowtarzalny i niepodważalny. Jedną z jej naczelnych zasad jest zresztą to, że przeciwnika trzeba pobić jak najmniejszymi stratami ludzkimi.

eprasa.pl 7b8aff7cae

Pamiętajmy, że nie jesteśmy gęsiami, które nie mają swojego języka. Mamy. Nie można też nie doceniać agresora i go poniżać. Zresztą w tej wojnie była to jedna z przyczyn porażek. Rozbudzono oczekiwania społeczne, że lada moment wojna się zakończy, rosyjska armia zostanie zniszczona, a Ukraina będzie wolna. To spowodowało, że kibicowaliśmy, ale sami niewiele robiliśmy.

A zbrojenia?

Owszem, zbroiliśmy się. Ale gdzie mamy np. obronę cywilną kraju? Politycy i wojskowi powinni się rozliczać przed narodem z tego, co zostało robione. System obrony państwa jest przecież fundamentem. Mamy kłopot z budową 300-tysięcznej armii i dalej idziemy w zaparte, że da się namówić młodych ludzi na wstąpienie do armii. Czym? Pieniędzmi. Nie budujemy przeświadczenia, że służba wojskowa jest prawem, przywilejem i obowiązkiem. W naszym położeniu geograficznym to konieczność. Może trzeba wrócić do poboru i przestać opowiadać dyrdymały, że damy radę? Nie damy. Jednak o tym powinien mówić pierwszy żołnierz RP. Bez służby powinien być zresztą szlaban na jakąkolwiek karierę. Co z potencjałem naszego przemysłu zbrojeniowego? Co z rezerwą osobową? O czym my w ogóle mówimy? Narracja polityków i wojskowych jest niestety niespójna i fałszywa. Albo wynika z niewiedzy, albo z kłamstwa. Według sondażu dla „Rzeczpospolitej" w razie wybuchu wojny co trzeci Polak zdecydowałby się na ucieczkę, a tylko 16 proc. wstąpiłoby na ochotnika do wojska. Jaka jest więc świadomość? Kto ją powinien kształtować? Państwo. Wojsko od 20 lat nie daje sobie rady, ale nie przeszkadza mu to mówić, że daje. Absurd.

Wróćmy do wojny na Ukrainie. W mediach mamy pełno informacji na temat konfliktu pomiędzy Zełenskim a głównodowodzącym gen. Wałerijem Załużnym. To chyba też nie pomaga Ukraińcom?

Nie ma skutku bez przyczyny. To wynik zachwiania równowagi między politykami a wojskowymi. Zaczęła dominować polityka, a politycy zaczęli wtrącać się w wojsko. Wojskowi z kolei ulegli presji i poświęcali swoich żołnierzy. W wyniku porażki zaczęto szukać oczywiście winnych, a gen. Załużny jest pierwszy do tej roli. Tyle tylko, że to nieprawda. 70 proc. winy leży po stronie Zachodu, 20 proc. to kierownictwo polityczne, a 10 proc. to gen. Załużny. Jak armia może osiągać sukcesy bez uzbrojenia i amunicji?

Trzeba pamiętać, że gwiazda gen. Załużnego zaczęła świecić jaśniej niż Zełenskiego. Zwłaszcza że społeczeństwo widziało, co się dzieje. Problemy się również zaczęły, gdy kontrofensywa zakończyła się klęską, a zginęło 100 tys. osób. Pamiętajmy też o kalendarzu wyborczym, bo przecież niedługo powinny się odbyć wybory prezydenckie. Zełenski będzie więc chciał się pokazać jako ten, który oczyszcza środowisko i dokonuje sanacji. Zresztą Zełenski już mówi, że trzeba dokonać resetu i zmian personalnych na wszystkich szczeblach armii.

Głośno było także o eseju gen. Załużnego, który opublikował na temat koncepcji prowadzenia wojny do zwycięstwa nad Rosją. Generał Załużny twierdzi m.in., że Ukraina musi przemyśleć swoją strategię wojenną i nauczyć się walczyć przy ograniczonych zasobach, ponieważ zapasy wojskowe dostarczane przez sojuszników po prostu się wyczerpują. Jak pan patrzy na tę publikację?

Myślenie gen. Załużnego jest przesiąknięte myślą anglosaską. W eseju pomija m.in. znaczenie narodu, a także terenu. Pamiętajmy, że wojna rozpoczęła się w 2014 r. Ukraińska armia broniła przez wiele lat Donbasu, dzięki czemu Rosjanie nie mogli przełamać tej linii. Ponadto gen. Załużny nie mówi nic o przeciwniku. Nie można dokonywać oceny w oderwaniu od przeciwnika, lecz trzeba od tego zaczynać. Rosyjska armia praktycznie nie istnieje w tym eseju. Jego wnioski są ważne i cenne, choć zarazem nie ma tam wielu aspektów. Anglosaska sztuka wojenna jest przesiąknięta bałwochwalstwem wobec technologii. Nie ma w niej w ogóle żołnierzy, a przecież to fundament.

Czego się pan spodziewa? Zamrożenia konfliktu i wykrwawiania Ukraińców? Innego scenariusza?

To zależy od tego, kto postawi sobie bardziej racjonalne cele, co zależy od polityki. Rosja – co dla mnie oczywiste – stawia sobie za cel dobicie ukraińskiej armii, ale poprzez aktywną obronę, działanie artylerii. To wyniszcza potencjał militarny i wykrwawia Ukraińców poprzez działania zaczepne na pięciu kierunkach. Spójrzmy np. na wschodni brzeg Dniepru, gdzie Rosjanie sukcesywnie wybijają ukraińskich żołnierzy, którzy są tam przysyłani. Putin postawił za cel „wyzwolenie" obwodów ługańskiego, donieckiego, zaporoskiego i chersońskiego. Moim zdaniem Rosjanie dążą właśnie do tego. Być może zobaczymy ich aktywność wiosną, podczas gdy Zachód nie zdąży z pomocą. Nie będzie amunicji, uzbrojenia, a ukraińska armia może zostać zaatakowana. Rosjanie mają odwody strategiczne i zaplecze, by zająć to terytorium. Zresztą zależy im na tym, by władać Krymem, mieć do niego korytarz oraz zasoby Donbasu. Jeśli tak będzie, to postawią warunki.

Putin postawił za cel „wyzwolenie" obwodów ługańskiego, donieckiego, zaporoskiego i chersońskiego. Moim zdaniem Rosjanie dążą właśnie do tego. Być może zobaczymy ich aktywność wiosną, podczas gdy Zachód nie zdąży z pomocą

Jakie?

Te, które Władimir Putin już postawił, czyli demilitaryzacja Ukrainy, „denazyfikacja" i przynależność jej do rosyjskiej strefy wpływów. Mielibyśmy więc kadłubowe państwo, które byłoby nękane regularnymi atakami z powietrza. Za dwa–trzy lata Rosja może zaatakować kraje bałtyckie, bo jej armia rośnie w siłę. Ze względu na doświadczenie wyprzedza państwa Zachodu, które nie są w stanie wojny. Tymczasem Rosjanie testują armię, sprzęt i są okrzepnięci. Jakie zdolności mają wojska francuskie, niemieckie czy holenderskie? Rosja może sondować swoje zdolności. To bardzo realne zagrożenie i należy o nim mówić otwarcie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7b8aff7cae

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Stan zamachu: wojna pozycyjna

Rafał A. Ziemkiewicz

Takie akcje jak ubiegłotygodniowa przepychanka pod Sejmem w istocie doskonale służą Tuskowi. Utwierdzają przeciętnego wyborcę w przekonaniu, że jeśli nawet PO nie gra czysto ani uczciwie, to „jedni drugich warci", a przede wszystkim – że ten spór między partiami zwykłego Polaka nie dotyczy

Podjęta w ubiegłym tygodniu próba siłowego wejścia do Sejmu posłów Kamińskiego i Wąsika, których mandaty Szymon Hołownia uznał za wygaszone – w świetle decyzji jedynej uprawnionej izby Sądu Najwyższego bezprawnie – każe podejrzewać, że PiS zamierza kopiować postępowanie swoich przeciwników sprzed ośmiu lat. To zła i przeciwskuteczna strategia funkcjonowania w opozycji, wynikająca z błędnego rozpoznania nastrojów społecznych i błędnego przewidywania dalszych kroków Donalda Tuska.

Wszystko bowiem wskazuje, że PiS zakłada, i wręcz nie dopuszcza innej możliwości, iż Donald Tusk będzie starał się za wszelką cenę przełamać impas, w którym znalazł się ze swym „przywracaniem praworządności", rozpoczętym gangsterskim wejściem Sienkiewicza do TVP i PAP oraz będącym jego następstwem szturmem Bodnara na prokuratury. Jak zapowiadał sam Tusk („parę dni rozliczeń, a potem pojednanie narodowe"), miał to być w zamyśle „blitzkrieg", wspomniani ministrowie okazali się jednak na tyle nieudolni, że planowane zmiany ugrzęzły w połowie. Media państwowe są pod kontrolą „likwidatorów", którym odmówiono wpisu do Krajowego Rejestru Sądowego oraz pieniędzy z abonamentu, „pełniący obowiązki" prokurator rozsyła z gabinetu ministra (we właściwym nadal urzęduje prokurator, zdaniem Bodnara, „zawieszony") faksy z mianowaniami i odwołaniami, które są przez adresatów ignorowane, minister odwołuje prezesów sądów, których Trybunał Konstytucyjny przywraca… Nigdy jeszcze dosadne określenie Piłsudskiego demokratycznej polityki „partyjny burdel i serdel" nie było tak adekwatne, jak w ostatnich tygodniach.

WOJNA KLANÓW

Nie widać jednak wcale, żeby Donald Tusk był zdecydowany działać bardziej radykalnie – wymuszać posłuch dla swych nominatów przy użyciu policji i wojska, realizować zapowiedzi siłowego wkroczenia do Trybunału Konstytucyjnego i Narodowego Banku Polskiego, usuwać przemocą opornych sędziów. PiS wydaje się interpretować ten fakt jako przejaw słabości: Tusk najwyraźniej przeliczył się z siłami, nie przewidział, że spotka się z takim oporem społecznym, doszedł do granicy, której nie odważy się przekroczyć – skoro tak, to musimy ten opór wzmóc, to będzie się musiał cofnąć.

Zapewne Tusk liczył na silniejsze poparcie, szczególnie w środowiskach prawniczych. Przez osiem lat liderzy prawniczego rokoszu wmawiali politykom lewicowo-liberalnej opozycji oraz sobie samym, że reprezentują całe środowisko, a przeciwko sobie mają najwyżej garść „pisowskich nominatów", aż sami w to uwierzyli. Fakty takie, jak wspomniane decyzje referendarzy KRS, niezgoda kolegium warszawskiego sądu apelacyjnego na odwołanie prezesa Schaba czy opór stawiony Bodnarowskiemu „pełniącemu obowiązki" przez prokuratorów w terenie, są zapewne dla obecnie rządzących niemiłym zaskoczeniem. Ale słabsze od przewidzianego poparcie dla przywracania praworządności „metodami państwa policyjnego" (do czego, przypomnijmy, nawoływano Tuska w niemieckiej prasie, jeszcze zanim sformował swój rząd) nie musi być jedynym powodem, dla którego na razie nie zdecydował się on na eskalację swojego zamachu stanu.

PiS zdaje się nie zauważać, że wbrew powszechnemu wśród jego zwolenników oczekiwaniu „innowacyjne działania prawne" (określenie „Financial Times") Tuska praktycznie nie wpłynęły na polityczne preferencje w sondażach. Przeciętny Polak niekoniecznie popiera oczywistą bandyterkę w mediach i prokuraturze (co do tych pierwszych znaczące było „głosowanie pilotami", szczególnie TVP po siłowym przejęciu przez rząd dramatycznie straciła na oglądalności), a także niekoniecznie jest nią oburzony, w każ-

eprasa.pl 7b8aff7cae

dym razie nie aż tak, by z tego oburzenia wyciągać praktyczne wnioski. Wydaje się, że ogół społeczeństwa odebrał działania rządu jako, owszem, bezprawie rodzące chaos, a także jako spór między partyjnymi klanami, rozgrywający się gdzieś z dala od zwykłych ludzi. Peowcy gnębią pisowców, bo wygrali wybory – jak pisowcy wygrywali, to gnębili peowców, widać jesteśmy na to skazani, podobnie jak na to, że kto wygrywa wybory, ten wywala hurtem z urzędów, spółek Skarbu Państwa i innych synekur pociotów i kolesiów poprzedniej ekipy i zastępuje ich własnymi pociotami kolesiami. Tak to działa i widocznie nic się nie da zrobić, poza ukaraniem rządzących, kiedy już bardzo przegną i „wyalienują się" głosowaniem na opozycję – ale chęć na wymierzenie tej kary wzbierać musi przez czas dłuższy, na razie jeszcze jest na to grubo za wcześnie.

Skoro zaś – jeśli sondaże trafnie oddają nastroje – obóz rządzący nie poniósł wskutek załamania się pierwszej ofensywy znaczących wizerunkowych strat, to czy są powody, by kontynuować ją za wszelką cenę? Gdzieś zapewne jest granica, której przekroczenie skłoniłoby wyborców do zmiany zdania. Być może jest nią otwarte zaangażowanie do partyjnego sporu państwowego aparatu przemocy – a być może i to zostałoby Tuskowi wybaczone. Ale czy opłaca mu się to sprawdzać dwa miesiące przed wyborami samorządowymi i cztery miesiące przed europarlamentarnymi? A może jednak lepiej jest, z punktu widzenia lidera PO, przemęczyć się tych kilka miesięcy w wytworzonym na początku urzędowania chaosie? I podjąć kolejną ofensywę dopiero po przejęciu samorządów – prawie pewnym, PiS, ze swą zerową zdolnością koalicyjną, nie ma szans utrzymać władzy w więcej niż jednym województwie i paru najmniejszych miasteczkach – oraz powiększeniu stanu posiadania w europarlamencie (tym razem wątpliwe jest, by PO oddała kilka wywalczonych przez siebie euromandatów lewicy, jak to niezbyt roztropnie zrobił w poprzednich wyborach Schetyna).

KLUCZ DO ZMIANY

Skoro „wojna błyskawiczna" się nie powiodła, to trzeba się okopać na zajmowanych pozycjach i przejść do „wojny pozycyjnej". Wojskowa metaforyka trochę tu zawodzi, bo w przeciwieństwie do prawdziwych starć celem wojen politycznych jest przede wszystkim wywarcie założonego wrażenia na rozstrzygającym konflikt arbitrze, którym jest wyborca. Owym wrażeniem ma być: „to nie my, to oni". Jedną z dróg do osiągnięcia tego celu jest prowokowanie przeciwnika do agresywnych zachowań, a tu akurat Tusk wielokrotnie dowiódł skuteczności, spotęgowanej siłą jego aparatu propagandowego, podchwytującego natychmiast i agregującego do gargantuicznych rozmiarów każde „zomo", „mordy zdradzieckie" czy „wykształciucha", który padnie z ust Kaczyńskiego bądź innego polityka PiS.

Takie akcje jak ubiegłotygodniowa przepychanka pod Sejmem w istocie doskonale służą Tuskowi. Utwierdzają przeciętnego wyborcę w przekonaniu, że jeśli nawet PO nie gra czysto ani uczciwie, to „jedni drugich warci", a przede wszystkim – że ten spór między partiami zwykłego Polaka nie dotyczy. W bardzo ciekawym i godnym polecenia tekście Kacpra Kity „Stan wojenny, którego nie będzie", opublikowanym ostatnio na portalu nlad.pl, stawia autor tezę, że kluczem do zmiany partyjnych notowań jest przekonanie przez opozycję wyborców, że na rządach Tuska tracą. Kluczem do odwrócenia nastrojów społecznych, które wyniosły obecną władzę, jest więc skupienie przekazu na kwestiach dotykających obywateli: skutkach uległości rządu wobec UE i Berlina, zgodzie na drenowanie Polski z zasobów poprzez rezygnację z inwestycji i negocjowania polityki klimatycznej, otwarcia na przymusową relokację nielegalnych imigrantów, prawdopodobnym załamaniu budżetu wskutek spadku ściągalności VAT i innych podatków.

Logicznie wynika z tego, że dla Tuska kluczem do utrzymania przyzwolenia społecznego jest skierowanie aktywności PiS na takie działania, które odbierane są jako obrona swoich partyjnych pozycji. Bardziej niż eskalować bezprawie opłaca mu się wrócić do Ostachowiczowskiej taktyki „kopania w klatkę", w czym ma duże doświadczenie i na co PiS zawsze jest podatny. W chwilach, gdy rząd dokonywać będzie kolejnych ustępstw, o których nawet Polaków nie poinformuje (proszę zauważyć, że o zgodzie Tuska na wspólne unijne podatki, wycofaniu pozwów klimatycznych z TSUE czy złożeniu Niemcom obietnicy wstrzymania prac regulacyjnych na Odrze wiemy od urzędników unijnych, Reutersa i z gazet niemieckich), należy spodziewać się kolejnych uderzeń w Wąsika i Kamińskiego, w Trybunał Konstytucyjny, w wiernych przepisom prokuratorów – ale nie będą to uderzenia mające naprawdę ich złamać, bo to wymagałoby użycia poważnych sił, będzie chodziło tylko o to, by PiS maszerował, pikietował, protestował i generował medialne przekazy pasujące do oczekiwań rządzących.

KRÓTKOWZROCZNOŚĆ PIS

W sprawie Wąsika i Kamińskiego np. mądrzej byłoby – mimo wszelkich merytorycznych racji przemawiających za nimi – ustąpić i namówić ich do złożenia mandatów, w geście dobrej woli i dla dobra kraju, wymagającego, by legalność prac Sejmu nie była podważana. Tym bardziej że, najdelikatniej mówiąc, nadgorliwość w ściganiu śp. Andrzeja Leppera, która była powodem ich skazania, może niebawem okazać się niejedynym takim wypadkiem i obrona byłych szefów CBA uwięzi cały spór między opozycją a rządem na najmniej dla PiS korzystnej płaszczyźnie. Tylko że PiS wciąż nie sięga wzrokiem poza swój „żelazny elektorat" i chce spełniać głównie jego oczekiwania – właściwie nie wiadomo po co, bo „żelazny" elektorat właśnie dlatego jest nazywany żelaznym, że i tak wszystko partii wybaczy i nigdy się od niej nie odwróci.

Tymczasem Tusk, oczywiście, zapewne wolałby mieć pełny posłuch we wszystkich obszarach, które prawo pozostawia w rękach ludzi wybranych w poprzednich kadencjach – ale „burdel i serdel" przez kilka najbliższych miesięcy, a nawet dłużej, jest stanem dla niego znośnym. Trzeba pamiętać, że rządy w Polsce sprawuje on w kontekście oczekiwań UE, a z tego punktu widzenia chaos nad Wisłą jest korzyścią, a nie problemem – oznacza bowiem, że tak czy owak Polska nie będzie w stanie przeciwstawiać się realizowanej polityce centralizacji i eksploatacji przez tandem niemiecko-francuskich peryferii, a ostatecznie decyzje w sprawach polskich zapadać będą poza Polską. Oznacza to czarny scenariusz, w którym, wracając do militarnej metafory, wojna pozycyjna trwać będzie bardzo długo, bo PO ze swoich okopów wychodzić nie musi, a PiS ze swoich wyjść nie potrafi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7b8aff7cae

Z prof. Tomaszem Grzegorzem Grosse, socjologiem i politologiem z Uniwersytetu Warszawskiego, autorem książki „Geokultura, czyli o związkach geopolityki z kulturą"
rozmawia Ryszard Gromadzki

Polska w rozkroku

FOT. TOMASZ GOŁĄB/GOŚĆ NIEDZIELNY/FORUM

RYSZARD GROMADZKI: W jakim stopniu przejęcie władzy przez obóz liberalno-lewicowy w Polsce zmieniło sytuację geopolityczną w Europie Środkowo-Wschodniej?

PROF. TOMASZ GRZEGORZ GROSSE: Mamy w Warszawie rząd, który jest zdecydowanie bardziej euroentuzjastyczny i proniemiecki w stosunku do poprzedniej władzy. Ze względu na to, że Warszawa jest kluczowym punktem odniesienia, jeśli chodzi o geopolitykę w całej Europie Środkowo-Wschodniej, zmiana, która się w Polsce dokonała, ma oczywiście bardzo duże znaczenie dla sytuacji politycznej w regionie, bo przesuwa krąg wpływów geopolityki niemieckiej, a tym samym osłabia możliwości prowadzenia przez Polskę bardziej samodzielnej polityki zagranicznej. Stawia też pod bardzo dużym znakiem zapytania kluczowe dla regionu kwestie bezpieczeństwa. Dlatego że doświadczenia wojny na Ukrainie pokazują, iż Niemcy nie są w jakiś wybitny sposób zaangażowane na rzecz zapewnienia bezpieczeństwa wschodniej flanki NATO. Za to wielokrotnie opowiadały się za szybkim zakończeniem wojny czy dogadaniem się z Putinem kosztem interesów ukraińskich. Skoro tak wygląda polityka Niemiec wobec Ukrainy, to rodzi to poważne znaki zapytania dla naszego bezpieczeństwa.

Rosnące wpływy Niemiec w naszym regionie Europy, które są także następstwem zmiany władzy w Polsce, oznaczają demontaż polskich aktywów geopolitycznych? Ten proces jest w toku?

Myślę, że do pewnego stopnia tak. Dlatego, że najważniejszym celem z punktu widzenia Polski jest wzmacnianie autonomiczności działania Europy Środkowo-Wschodniej. Tak żeby, z jednej strony, obroniła się ona przed imperializmem rosyjskim, a z drugiej – przed dominacją Niemiec. W sytuacji, kiedy mamy rząd bardzo silnie zorientowany na Berlin, w sposób automatyczny zamykamy sobie możliwość budowania niezależności geoekonomicznej w naszym regionie. Obecnie widzimy wiele posunięć ze strony nowego rządu, które oznaczają raczej rezygnację ze strategicznych projektów mających na celu rozwój gospodarczy, który pozwalałby Polsce odgrywać rolę lokomotywy dla wszystkich pozostałych krajów regionu. Dotyczy to także inwestycji, które mogłyby przyczynić się do poprawy bezpieczeństwa całej Europy Środkowo-Wschodniej.

Przecież kluczowe decyzje, które ograniczają naszą suwerenność polityczną czy energetyczną, zostały zaakceptowane przez rząd premiera Morawieckiego, że wspomnę tylko o jego zgodzie na formułę „pieniądze za praworządność" czy pakiet „Fit for 55"...

Ocena poprzedniego rządu jest niejednoznaczna. Na pewno należy go pochwalić za to, że doprowadził do wielu strategicznych inwestycji, które w poprzednich latach były nie do pomyślenia, a mają bardzo duże znaczenie rozwojowe. To po pierwsze. Po drugie, przyczynił się w ostatnich latach do rozwoju gospodarczego Polski, który jest absolutnie fundamentalny z punktu widzenia naszego bezpieczeństwa i potencjału geopolitycznego. Po trzecie, rząd PiS zasadniczo prawidłowo zareagował na wyzwanie dla naszego bezpieczeństwa w postaci wojny na Ukrainie. Jednak rzeczywiście w polityce europejskiej przyjął, jak się wydaje, błędną strategię. Ujmując rzecz w skrócie, polegała ona na tym, że w zamian za nasze ustępstwa prosiliśmy Brukselę o zaprzestanie „grillowania" i blokowania funduszy europejskich dla Polski. Niestety, ta strategia przyniosła tylko jednostronne ustępstwa po stronie Polski, bez doprowadzenia do resetu w relacjach z Brukselą.

eprasa.pl 7b8aff7cae

Z tego należy wyciągnąć wnioski, jak powinna wyglądać polska strategia w Unii Europejskiej. W jaki sposób bronić się przed takimi działaniami ze strony Unii, które w ewidentny sposób są szkodliwe dla polskich interesów. Myślę np. o polityce klimatycznej, która będzie najwyraźniej pętlą coraz mocniej zaciskającą się na naszej szyi. Rozmaite koszty z nią związane spowalniają nasz potencjał wzrostu i utrudnią odpowiedź na zagrożenia w sferze obronności.

Skutki unijnej polityki klimatycznej, jak wszystko wskazuje, będą obniżać polski potencjał wzrostu, pauperyzując miliony ludzi. Czy to może być zarzewiem buntu, którego finałem będzie implozja Unii Europejskiej?

Już w tej chwili widzimy, że unijna polityka klimatyczna wywołuje duży sprzeciw ze strony społeczeństw – co ciekawe, także w Europie Zachodniej. Koszty polityki klimatycznej, które są potęgowane przez kryzysy polityczny i gospodarczy, są jeszcze bardziej dolegliwe społecznie i powodują, że coraz więcej obywateli Unii Europejskiej dochodzi do wniosku, iż nie tyle rządy są winne całej gamie problemów, z którymi ludzie muszą się borykać, ile że ich przyczyną jest niewłaściwie funkcjonująca Unia Europejska ze swoimi politykami, która raczej zaostrza kryzys, niż go łagodzi. Trwające protesty rolników, które w dużym stopniu wymierzone są właśnie w unijną politykę klimatyczną, świadczą o tym, że te procesy się pogłębią. Jeśli chodzi o Polskę, to jesteśmy w innym miejscu cyklu pod względem polityki wewnętrznej niż większość państw Europy Zachodniej. Tam, podobnie jak w Stanach Zjednoczonych, do głosu dochodzą raczej politycy, którzy szukają alternatywy dla maintreamowej lewicowej i liberalnej polityki. U nas wręcz przeciwnie, w ostatnich wyborach mieliśmy do czynienia z pewną rewolucją euroentuzjastyczną. Czyli większość polskich obywateli prawdopodobnie marzyła, abyśmy wróciliśmy do Unii Europejskiej takiej, jaką zapamiętaliśmy z samego początku naszej obecności w tej strukturze.

Nie zauważając, że tej Unii już nie ma, a może nigdy nie było...

Część wyborców niezależnie od tego, że protestowała też przeciw ośmioletnim rządom Zjednoczonej Prawicy, jednocześnie stawiając na zmianę, wybrała marzenie o Unii Europejskiej, która – faktycznie rzecz biorąc – ani dzisiaj, ani prawdopodobnie nigdy nie istniała. W tym sensie była to rewolucja proeuropejska, która dążyła do utopii. Trzeba się podziewać, że stosunkowo szybko wyborcy ci zderzą się ze ścianą, bo ta utopia jest niemożliwa do zrealizowania w Polsce. Jest wręcz przeciwnie. W sytuacji wielu nakładających się kryzysów w Unii Europejskiej powinniśmy liczyć się z jej rosnącymi kosztami, spowodowanymi m.in. przez politykę klimatyczną. Jeśli wszystkie te koszty, w postaci chociażby horrendalnych cen energii, dotrą w końcu do Polaków, to należy się liczyć z pewnym otrzeźwieniem i być może zmianą stanowiska wobec Unii Europejskiej. Ale na razie zdecydowana większość naszych rodaków opowiada się zdecydowanie za polityką prounijną. Chcieliby być wręcz „świętsi od papieża", bo opowiadają się za rozwiązaniami, które nawet na zachodzie kontynentu i wśród polityków mainstreamu budzą już wątpliwości.

W tej sytuacji raczej nie należy oczekiwać sukcesu partii eurosceptycznych w najbliższych wyborach do Parlamentu Europejskiego w Polsce? W europejskich mediach mówi się jednak o tym, że po czerwcowych wyborach w Parlamencie Europejskim dokona się zwrot na prawo.

W Parlamencie Europejskim mamy, po pierwsze, ugrupowania tzw. mainstreamu euroentuzjastycznego lub kosmopolitycznego. Te ugrupowania rządziły zawsze, we wszystkich kolejnych kadencjach Parlamentu Europejskiego, nigdy nie oddając władzy. Po drugie, mamy dwie frakcje określane jako eurosceptyczne, które mają kompletnie inną wizję Unii Europejskiej – znacznie silniej centralizowanej, opartej na wspólnotach narodowych. Dlatego są one określane przez politologów jako przywiązane do wspólnotowości narodowej. Mamy więc podział między kosmopolitami z jednej strony a wspólnotowcami z drugiej. Wszystkie sondaże wskazują, że frakcje wspólnotowców urosną w siłę, ale nie na tyle, żeby przejąć władzę od kosmopolitycznego mainstreamu.

TOMASZ G. GROSSE „GEOKULTURA, CZYLI O ZWIĄZKACH GEOPOLITYKI Z KULTURĄ" OŚRODEK MYŚLI POLITYCZNEJ 2023

Na ile polski kapitał kulturowy, osadzony w wartościach cywilizacji łacińskiej, może okazać się naszym atutem w tej fazie geopolitycznej gry, która toczy się obecnie wokół nas?

Nasz kapitał kulturowy jest bardzo niejednoznaczny. Z jednej strony składają się nań wartości, które cenią patriotyzm i suwerenność. Na rzecz tych wartości jesteśmy w stanie wiele poświęcić. Naszą charakterystyczną cechą jest też bunt przeciw zewnętrznym zwierzchnościom. Z drugiej strony, w ramach tego kapitału kulturowego jest mnóstwo kompleksów, które każą nam z zachwytem spoglądać na Europę Zachodnią. Uważamy, że stamtąd przychodzą do nas zawsze tylko prawda, dobro i piękno, że nikt nas nie chce oszukać czy wykorzystać, że Zachód jest źródłem modernizacji, technologii i funduszy, a przede wszystkim nośnikiem wzrostu cywilizacyjnego. Dlatego powinniśmy bez oporu przyjmować jego wartości. To powoduje, że jesteśmy rozdwojeni w sensie kulturowym. To rozdwojenie jest bardzo dobrze widoczne w tym, jak kształtuje się polaryzacja polityczna w Polsce. Z jednej strony przejawia się ona w eurosceptycyzmie, a z drugiej – w bezkrytycznym euroentuzjazmie. To stanowi dla nas bardzo duże obciążenie, szczególnie w obecnej sytuacji, kiedy powinniśmy się skupić na budowaniu własnego państwa i przygotowaniu go do rożnego rodzaju kryzysów. Mając świadomość tego, że przede wszystkim powinniśmy pomagać sami sobie, a sojuszników traktować w sposób warunkowy.

Z dozą zdrowej nieufności...

Tak. Ta wewnętrzna walka, w której tkwimy, sprowokowana przez naszą kulturę polityczną, jest czynnikiem osłabiającym państwo. Brakuje państwowców, którzy potrafiliby pracować na rzecz dobra wspólnego bez względu na polaryzację polityczną. Nasza kultura polityczna powoduje też, że mamy problemy w zakresie myślenia geopolitycznego. Opcja euroentuzjastyczna stawia na geopolityczny biegun w Berlinie, co wtłacza nas w rolę zależną i peryferyjną. Z kolei opcja suwerenistyczna ma kłopoty z budową strategii podmiotowości wobec Zachodu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7b8aff7cae

Wyborcza gorączka w kraju ograniczonego stanu wyjątkowego

Piotr Semka

W wyborach w 2025 r. mogą, choć nie muszą, zderzyć się kandydaci medialni z kandydatami ze świata tradycyjnej polityki

W krótkim czasie uwagę mediów przyciągnęły cztery postacie z życia medialnego i politycznego, które miałyby wystartować w wyścigu prezydenckim 2025 r. Dokładnie rzecz biorąc, usłyszeliśmy jedną deklarację wyborczą i mogliśmy się zetknąć z trzema spekulacjami medialnymi. Tego typu polityczne wróżenie z fusów to zwykle domena tabloidów i portali plotkarskich, a nie tygodników opinii. Jednak każdy z tych przypadków jest na swój sposób interesujący jako echo nowych trendów w polskiej polityce.

KRZYSZTOF STANOWSKI – KANAŁ ZERO

„Chciałbym zobaczyć, jak to jest być kandydatem na prezydenta, a nie da się tego zrobić inaczej, niż startując w wyborach na prezydenta" – ta zapowiedź twórcy internetowego Kanału Zero, która padła w czasie wywiadu z prezydentem Andrzejem Dudą i odbiła się szerokim echem. Jeszcze parę lat temu nazwisko Krzysztofa Stanowskiego znane było głównie kibicom sportowym. To dla nich Stanowski wraz z grupą ważnych nazwisk dziennikarstwa sportowego stworzył Kanał Sportowy.

Z biegiem czasu Stanowski zaczął odróżniać się od swoich partnerów. O ile oni skupiali się wyłącznie na kwestiach sportu, o tyle on zaczął dotykać tematów politycznych i cywilizacyjnych. W kwestii polityki źródłem wiedzy o tym tajemniczym świecie był dla niego dziennikarz Robert Mazurek. W kwestiach cywilizacyjnych pozwalał sobie na zaczepki wobec np. wojującej feministki Mai Staśko. Było to coś w rodzaju zdroworozsądkowego konserwatyzmu, który lekko przekraczał granice poprawności politycznej poprzez kpinę z największych absurdów feminizmu.

Te w sumie dość ograniczone demonstracje otwarcia na prawicowe myślenie zostały jednak po prawej stronie zauważone. Witold Gadowski – zastrzegając, że „Stanowski to nie jest postać z jego bajki" – uznał go niedawno za „człowieka roku w tworzeniu nowych mediów". Jak wskazywał Gadowski: „[Stanowski] zrobił najwięcej szumu wokół siebie, ale zrobił to z pewną klasą, jest postacią charyzmatyczną i to jest dobre".

Stanowski pokłócił się ze swoimi partnerami o pozycję w Kanale Sportowym i pożegnał się z tym miejscem, które – jak się wydaje – zaczęło go nudzić i ograniczać.

1 lutego wkroczył na rynek z Kanałem Zero. Jak każdy doświadczony mediamaker wybrał mocne wejście, przeprowadzając wywiad z prezydentem Andrzejem Dudą. Była to typowa transakcja w formule win-win. Gospodarz Belwederu tęsknił już za wywiadami, w których nie byłby non stop atakowany, a przeprowadzający rozmowę duet Stanowski-Mazurek potrafił wyciągnąć z prezydenta parę ciekawych wyznań. Czy to zaznaczenie pewnego dystansu głowy państwa do Jarosława Kaczyńskiego, czy to dość mało roztropną deklarację braku wiary prezydenta w odzyskanie przez Ukrainę Krymu.

eprasa.pl 7b8aff7cae

Duet Stanowski-Mazurek potrafił wyciągnąć z prezydenta Andrzeja Dudy parę ciekawych wyznań

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

Co charakterystyczne, na powstanie Kanału Zero i wywiad z Andrzejem Dudą wręcz histerycznie zareagowała strona liberalno-lewicowa. Na przykład Bartosz Węglarczyk i Tomasz Sekielski przybrali pozy zdegustowanych strażników powagi dziennikarstwa: „Jest to oczywiście jakiś fajny sposób na promowanie swojego medium, natomiast ludzie, którzy chcą być dziennikarzami, nie powinni takich rzeczy robić. Albo się jest komikiem, albo się jest dziennikarzem".

Z grubej rury – jak zwykle – przyłożył zagończyk proplatformerskiego betonu Jan Piński, który ogłosił: „Stanowski prezydentem PiS. Kanał PiS-owskie Zero zapowiedział udział w wyborach prezydenckich, aby ratować szanse PiS". Eliza Michalik, inna zwolenniczka twardej linii spod znaku #SilnychRazem, zastanawiała się na swoim vlogu, ile jest prawdy w tym, że poprzedni kanał Stanowskiego działał na rzecz ocieplania wizerunku PiS i brał pieniądze od spółek Skarbu Państwa.

Głos zabrał też sympatyzujący z lewicą dr Piotr Napierała. Postawił on znacznie ciekawszą tezę, że Kanał Zero to telewizja dla symetrystów. W jego opinii Stanowski zareagował na zmiany w TVP i postanowił wejść w lukę między Republiką a TVN. Co znamienne jednak, Napierała dość trafnie wskazał na słabość Stanowskiego. W wywiadzie z prezydentem zaprezentował się on jako spec od naiwnych pytań, parokrotnych zaklęć Stanowskiego w wywiadzie z Andrzejem Dudą wyrażających zaniepokojenie ostrością konfliktu politycznego w Polsce.

Dodatkowo Napierała wskazał na ciekawy trop. Uznał, że Stanowski dokładnie czyta badania socjologiczne, które wskazują, że młody męski elektorat bardzo wyraźnie skręca ku konserwatyzmowi. Deklaracja Stanowskiego o chęci udziału w wyborach prezydenckich ewidentnie zbudowana była na zamiarze nagłośnienia otwieranego medium. Ale jednocześnie daje szefowi Kanału Zero szerokie pole do okresowego grania tą formułą, do kolejnych gestów przyciągających uwagę do swoich działań medialnych. Pytanie tylko, czy tego typu taktyka będzie akceptowana przez finansowych partnerów Kanału Zero. Może się zdarzyć, że któryś z ruchów Stanowskiego, mający potwierdzić jego ambicje polityczne, wywoła lęk sponsorów przed wplątaniem ich w konflikt z coraz bardziej wszechwładną Platformą.

Nie zmienia to tego, że dla wielu wyborców prawicy kanał Stanowskiego pojawia się w momencie, gdy Donald Tusk chce zmonopolizować przekaz medialny. Nie należy przesadzać z oceną o jakimś przechyle w prawo Kanału Zero. Godzinny program komentatorski dostał w nim Marcin Meller, który w swoim debiucie rozwodził się nad przewinami PiS przy asyście takich postaci jak Karolina Korwin-Piotrowska czy Jakub Żulczyk, którzy bardzo często wręcz zioną wrogością wobec PiS. W Kanale Zero nie widać żadnego programu kogoś, kto z równym zapałem sadzałby na ławie oskarżonych Platformę – czy szerzej – centrolewicową koalicję.

Jeśli skala medialnego zainteresowania deklaracją Stanowskiego o wyborczych aspiracjach może budzić zainteresowanie, to z dwóch powodów. Po pierwsze, pokazuje, jak szeroki jest już fenomen nowego typu prawicowości, który zbudowany jest na reakcji na absurdy i szaleństwa political correctness. Ten nowy typ zerkania na prawo w dużej mierze pozbawiony jest już duchowych związków z Kościołem i sceptycznie nastawiony jest do tradycyjnego PiS-owskiego imaginarium.

Drugi interesujący element to skala roszczeń elit wspierających Platformę do całkowitej unifikacji przestrzeni medialnej. W ramach tej logiki każdy, nawet stosunkowo mało zaangażowany politycznie podmiot zostaje uznany za tajnego agenta Jarosława Kaczyńskiego tylko dlatego, że nie chwali nowego wspaniałego ładu powstałego po wyborach 15 października 2023 r. Taka tendencja to naturalny skutek dążenia zwolenników Donalda Tuska do całkowitej kontroli nad przekazem medialnym w Polsce.

DOROTA GAWRYLUK – POLSAT

Związana z redakcją „Polityki" Polityka Insight ogłosił niedawno, że z dwóch źródeł uzyskał potwierdzenie o możliwym starcie Doroty Gawryluk w wyborach prezydenckich w 2025 r. Polityka Insight znana jest z tego, że bardzo dba o wiarygodność swoich informacji, co jest naturalne w wypadku medium, które za ponoć spore sumy wykupują ludzie biznesu i politycznego marketingu.

Urodzona w 1972 r. Gawryluk lubi przedstawiać się jako góralka z Limanowej na Podhalu. Dobrze pasuje to do umiarkowanie konserwatywnego image'u publicystki. Przez wiele lat bardzo pracowicie pięła się w górę w koncernie medialnym Zygmunta Solorza, dochodząc w marcu 2018 r. aż do stanowiska dyrektora pionu informacji i publicystyki Telewizji Polsat.

Była wtedy atakowana przez liberalne media jako nadzorca rzekomego zwrotu programów Polsatu w stronę opcji propisowskiej. W większości wypadków był to jedynie dowód na obsesje „Wyborczej", która każde obiektywne podejście do działań rządu Mateusza Morawieckiego uważała za „PiS-owską propagandę". Sama Gawryluk w jasny sposób do pytań o prezydenckie ambicje się nie odniosła. Informacja, że przygotowuje nowy program pt. „Lepsza Polska", skłoniła część obserwatorów rynku medialnego do postawienia hipotezy, iż może to być jedynie kryptoreklama jej nowego programu wyborczego. Sprawy nie wyjaśniła

eprasa.pl 7b8aff7cae

deklaracja rzecznika Polsatu Tomasza Matwiejczuka, który stwierdził, że „nic nie wie na ten temat".

Jeśli dywagacje odnośnie do domniemanego przygotowywania Doroty Gawryluk do startu w wyborach prezydenckich zyskały aż takie echo, to głównie z powodu podejrzeń o polityczne ambicje samego Zygmunta Solorza. A te mają stosunkowo długą tradycję. Gdy w 1995 r. były przewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji Marek Markiewicz rozpoczął kampanię prezydencką, mówiono, że może mieć nieoficjalne wsparcie Zygmunta Solorza. Markiewicz zebrał 100 tys. podpisów, ale w ostatniej chwili się wycofał i przekazał swoje poparcie Lechowi Wałęsie. Potem Zygmunt Solorz przyciągnął do siebie znanego niegdyś polityka młodej generacji prawicy Wiesława Walendziaka. W czasach rządów koalicji Akcja Wyborcza Solidarność-Unia Wolności krążyły plotki o sporej grupie posłów, którzy mieli być silnie uzależnieni od właściciela Polsatu. Żartowano wtedy nawet, że skrót AWS należy rozszyfrowywać jako „Akcja Wyborcza Solorza".

Ostatnio Solorz wzbudził zainteresowanie, wzywając do obniżenia emocji w debacie publicznej. Deklarację tę chwaliła w rozmowie z Wirtualnymi Mediami sama Dorota Gawryluk. „Przecież musi być miejsce, gdzie można ze sobą normalnie rozmawiać bez względu na to, jak ludzie głosują, w co wierzą, jak się kochają i jak się nie kochają, jaki mają światopogląd. Myślę, że wszystkich łączy »Lepsza Polska« i marzenie o lepszej Polsce". Nietrudno sobie wyobrazić, że tego typu frazeologia mogłaby być lejtmotywem ewentualnej kampanii Doroty Gawryluk na najwyższe stanowisko w państwie.

TOBIASZ BOCHEŃSKI – KANDYDAT PIS NA PREZYDENTA WARSZAWY

Ten były wojewoda mazowiecki na razie nie składa deklaracji dotyczących ambicji udziału w wyborach prezydenckich za półtora roku. Nie zmienia to jednak tego, że publicyści wielu mediów zobaczyli w rywalizacji Bocheńskiego z obecnym prezydentem Warszawy Rafałem Trzaskowskim prefigurację pojedynku w 2025 r. Michał Szułdrzyński z „Rzeczpospolitej" pisał: „Ogłaszając kandydaturę Tobiasza Bocheńskiego, Jarosław Kaczyński w pewnym sensie wprowadził opinię publiczną w błąd. Choć prezes PiS powiedział, że Bocheński jest oficjalnym kandydatem na prezydenta Warszawy, to tak naprawdę tylko próba przetestowania tego polityka przed wyborami prezydenckimi".

Współczesny rynek medialno-internetowy coraz bardziej zbliża do siebie świat show ze światem polityki

Czy Szułdrzyński ma rację? I tak, i nie. Oczywiście Warszawa to najważniejsze pole gry w wyborach samorządowych, ale przecież niejedyne. Przykładowo w Gdańsku Kaczyński wystawia na rywala Aleksandry Dulkiewicz młodego działacza PiS, Tomasza Rakowskiego (rocznik 1982). Można przyjąć, że najtrafniejsza jest hipoteza, iż lider PiS wystawił w wielu dużych miastach przedstawicieli młodego pokolenia, aby zorientować się, którzy z nich dadzą sobie najlepiej radę, którzy dobrze reagują na stres, potrafią zbudować wokół siebie sprawny sztab wyborczy i którzy mają charyzmę w kontakcie z tłumami.

Bo prawda jest taka, że Kaczyński nie ma dziś oczywistego kandydata, który byłby już gotowy do wylansowania na potrzeby przyszłorocznej kampanii prezydenckiej. A wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że wybory 2025 r. wymagać będą kandydata z młodszego pokolenia. Do tych wymagań nie bardzo pasują „murowani" dotychczasowi kandydaci jak Elżbieta Witek, Mariusz Błaszczak, Mateusz Morawiecki czy Beata Szydło. Kaczyński musi więc testować, ale swojego eksperymentu nie ogranicza wyłącznie do Tobiasza Bocheńskiego.

STARY-NOWY KANDYDAT – DONALD TUSK

Ostatnie tygodnie przyniosły nawrót politycznych plotek o tym, że obecny premier zaczyna doceniać urok kandelabru z Pałacu Prezydenckiego i może wystartować za półtora roku. Dzieje się to w sytuacji, gdy coraz bardziej komplikuje się sytuacja dotychczasowego prezydenckiego kandydata PO – Rafała Trzaskowskiego. Za chwilę rozpocznie się kampania o fotel prezydenta Warszawy, w której rywalem Trzaskowskiego będzie nie tylko Tobiasz Bocheński, lecz także być może Adriana Porowska jako reprezentantka Polski 2050 czy Magdalena Biejat jako reprezentantka Lewicy Razem.

Ta mnogość kandydatów oznacza, że spadają szanse Trzaskowskiego na zwycięstwo w pierwszej turze. A wymęczona wygrana kogoś, kto miał dotąd opinię cudownego dziecka PO, postawi Trzaskowskiego na słabej pozycji we własnej partii. Tuskowi będzie znacznie łatwiej zepchnąć obecnego prezydenta Warszawy na boczny tor. Tym bardziej że z pozycji gospodarza Warszawy i kogoś spoza rządu Trzaskowski już teraz ma problemy ze wzmacnianiem swojej pozycji w obrębie obozu platformersów.

ZMIANY, ZMIANY, ZMIANY

Współczesny rynek medialno-internetowy coraz bardziej zbliża do siebie świat show ze światem polityki. Zwraca to uwagę grup interesu do używania siły mediów społecznościowych do forsowania swoich kandydatów w wyborach. A polityków uczy, że trzeba być showmanem, jeśli chce się wygrywać. Tej gorzkiej prawdy parę lat temu doświadczył np. „poważny" kandydat Petro Poroszenko w starciu z Wołodymyrem Zełenskim. Gdy po 15 października Szymon Hołownia do pełnienia funkcji marszałka Sejmu zaczął włączać swoje showmańskie chwyty, wielu tradycyjnych polityków PiS było przekonanych, że takie wydurnianie się na dłuższą metę nie zyska popularności w elektoracie. A jednak sondaże zaufania pokazują co innego.

Tworzy to pokusę dla wielu ludzi sukcesu w świecie mediów, by samemu zagrać w wielkiej grze o najwyższe urzędy. Skoro mogą tak zdobywać popularność Zełenski i Hołownia, to czemu nie ja? Problemem jest to, że ta tendencja zwiększa infantylizację polityki i de facto zmniejsza jej przejrzystość oraz sprowadza kampanie wyborcze do rywalizacji na bon moty i efektowne, choć puste slogany. W wyborach w 2025 r. mogą, choć nie muszą, zderzyć się kandydaci medialni z kandydatami ze świata tradycyjnej polityki. Pytanie, kto z tego pojedynku wyjdzie zwycięsko.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7b8aff7cae

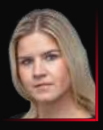

Z sercaninem, ks. Michałem Olszewskim, prezesem Fundacji Profeto budującej w Warszawie centrum pomocy Archipelag współfinansowane ze środków Funduszu Sprawiedliwości
rozmawia Zuzanna Dąbrowska

Nie damy się zastraszyć

FOT. AMDG/WIKIPEDIA/CC BY 1.0

ZUZANNA DĄBROWSKA: Ministerstwo Sprawiedliwości wstrzymało wypłatę zaplanowanej na ten rok transzy ponad 28 mln zł z Funduszu Sprawiedliwości, która miała zostać przeznaczona na dokończenie budowy Archipelagu – centrum pomocy dla ofiar przestępstw – na warszawskim Wilanowie. Media lewicowo-liberalne są oburzone sumami, które już otrzymała Fundacja Profeto.

KS. MICHAŁ OLSZEWSKI: Z 98 mln zł, które zaplanowano z Funduszu Sprawiedliwości na realizację centrum, trafiło do nas ponad 66 mln zł. Reszta, której nie wypłacono, to strategiczna część dofinansowania. Miała zostać przeznaczona na wykończenie i wyposażenie ośrodka oraz na pierwszy rok działalności – pensje, rachunki, utrzymanie podopiecznych, ubranie, jedzenie, ogrzewanie itd. Nikt nie mówi o tym, że my też ze środków własnych dofinansowujemy Archipelag i nasz wkład własny wynosi ponad 5 mln zł, czyli 5 proc. wartości projektu. To pieniądze wypracowane przez fundację oraz kredyty zaciągnięte na zakup ziemi, która kosztowała 6,5 mln zł. Co roku, zanim podpiszemy umowę finansową, wpłacamy na konto projektowe wkład własny. Na rok 2024 zawarliśmy umowę finansową, wpłaciliśmy 1 mln 615 tys. wkładu własnego i mieliśmy otrzymać prawie 28,5 mln zł z Funduszu Sprawiedliwości na dokończenie budowy i wyposażenie centrum. Te pieniądze zostały nam wstrzymane bez podstawy prawnej. Zgodnie z zapisami umowy dotacyjnej miały wpłynąć do 14 stycznia, ale nie wpłynęły.

Ministerstwo Sprawiedliwości nie komunikuje się z nami, o wszystkim dowiadujemy się z mediów. Często media wiedzą więcej niż my oraz znają szczegóły dotyczące prowadzonego przez nas projektu. Takie informacje posiada tylko Ministerstwo Sprawiedliwości, a nagle zaczęły one pojawiać się w przestrzeni medialnej. 15 stycznia złożyliśmy sprawozdanie za ostatnie pół roku wykonania projektu. Chwilę później dziennikarka OKO.press dzwoniła do podwykonawców wskazanych w tym sprawozdaniu, rozpytując o kwoty kontraktów. Przecież to już nie jest element informacji publicznej związanej z Funduszem Sprawiedliwości. Szczególnie że dopiero 29 stycznia Fundusz Sprawiedliwości odezwał się do nas po raz pierwszy od czasu zmiany władzy z pytaniem, czy mogą udostępnić innym podmiotom naszą umowę dotacyjną i złożone przez nas sprawozdania z postępów realizacji

eprasa.pl 7b8aff7cae

projektu. Jakąś nadzieją dla mnie jest telefon od pani minister Zuzanny Rudzińskiej-Bluszcz z informacją, że pod koniec lutego, po zakończonym audycie naszej umowy, usiądziemy do rozmów.

Czyli na razie nikt z Ministerstwa Sprawiedliwości nie ma zamiaru odwiedzić budowy?

Nie ma takich planów, nie ma odpowiedzi na pisma, nie ma informacji. Wiemy to, co napiszą media, i trzymamy się kurczowo obietnicy, którą złożyła pani minister w rozmowie telefonicznej.

Jeżeli zapoznamy się szczegółowo z celami, które ma realizować Archipelag, to wypełniają one dokładnie zadania Funduszu Sprawiedliwości – pomoc ofiarom przestępstw.

Chwilę przed naszą rozmową skończyłem spotkanie z dziennikarzem „Gazety Wyborczej", który jako pierwszy przedstawiciel mediów miał okazję obejść cały teren, budynek, sfotografować słynne „studia nagraniowe". Powiedział na koniec: „To o co tu chodzi? Przecież to wszystko jest dla ludzi". Nawet w programie „i9:30" w TVP, gdzie również krytykowano Fundusz Sprawiedliwości, pani reporter stwierdziła, że Archipelag, który budzi największe kontrowersje, spełnia wszystkie cele Funduszu. To wybrzmiało w TVP.

Skoro wybrzmiało i może wybrzmi też w „Gazecie Wyborczej", to w czym tkwi problem?

Po pierwsze, wielu przeszkadza, że jest to dzieło kościelne. Po drugie, trwa próba upolitycznienia i „wypalenia" wszystkiego, co związane z byłym ministrem sprawiedliwości Zbigniewem Ziobrą – czy jest dobre czy nie, to po prostu trzeba się zemścić. Powiem tak – nie da się mnie uwikłać w politykę, a „salceson" przestał się już sprzedawać [ks. Olszewski to były egzorcysta; w wydanej w 2013 r. książce pt. „Być jak Hiob" wspomniał o uwolnieniu opętanej wegetarianki działającej w organizacji Amnesty International, którą poczęstował salcesonem i z humorem to opisał – przyp. red.]. Teraz będą pewnie wymyślane kolejne nowe „afery", by za wszelką cenę pokazać zasadność zniszczenia naszego projektu.

Jakie?

Na pewnym etapie budowy aresztowano prezesa firmy, która została zaangażowana jako generalny wykonawca robót budowlanych. Złapano go na przestępstwach podatkowych z ostatnich 10 lat. To nie ma z nami nic wspólnego, bo też padliśmy ofiarą tej sytuacji i odstąpiliśmy od umowy z tą firmą. Ale teraz po tym, jak ktoś ujawnił informacje ze śledztwa, chcą nakręcać aferę, wedle której my mieliśmy chcieć robić „wały" w porozumieniu z tym człowiekiem, wykorzystując Fundusz Sprawiedliwości. Nie ma podstawy prawnej, żeby wyrzucić do kosza umowę naszej fundacji dotyczącą budowy Archipelagu. Próbuje się więc stworzyć narrację medialną, która by to uzasadniła. Ja wierzę jednak, że nasz projekt obroni się argumentami i pomysłem na pomaganie.

Media sugerują, że jest ksiądz bliskim znajomym byłego ministra Zbigniewa Ziobry i dlatego Profeto wygrało konkurs.

Moja znajomość ze Zbigniewem Ziobrą rozpoczęła się po wygraniu konkursu, bo w przeciwieństwie do obecnej sytuacji traktowano nas jako partnerów dużego projektu i wykazywano chęci wspólnego działania. Pan minister chciał poznać projekt, był u nas na budowie, rozmawialiśmy o tym, jak poradzić sobie z inflacją, skutkami wojny na Ukrainie, brakiem pozwolenia na budowę, którego notorycznie prezydent Warszawy nie udzielał, o aneksach do umowy. Z ministrem Ziobrą spotykaliśmy się w kontekście przeciwdziałania przestępstwom seksualnym w Kościele. Byłem w grupie, w której byli także prokuratorzy ścigający przestępstwa seksualne w Kościele. Dzięki tym działaniom udało się doprowadzić kilku księży – przestępców seksualnych – przed wymiar sprawiedliwości. Archipelag jest tworzony także przez osoby, które doświadczyły przemocy w Kościele i dla takich osób. Poza tym ja nikomu nie wyliczam znajomości z obecnymi władzami ministerstwa, a przecież powszechnie wiadomo, że wiele organizacji zna i współpracuje od lat z obecnym kierownictwem, co więcej, im odblokowano pieniądze, które notabene otrzymali w poprzednim rozdaniu.

Zarzuca się nam, że nie mamy żadnego doświadczenia w zakresie pomocy ofiarom przestępstw. Od początku Profeto, poza działalnością medialną, prowadzi działalność miłosierdzia, jak to nazywamy w Kościele. Może, aby było to zrozumiałe dla mainstreamu, nazwijmy tę działalność działalnością społeczną i charytatywną. Zaczynaliśmy od małych rzeczy, choćby od akcji „podwórczaki", czyli opieki nad dziećmi, które były ofiarami przemocy na osiedlach w małych miejscowościach w Małopolsce. Później były wyprawki szkolne, kupowaliśmy też sprzęt rehabilitacyjny dla dzieci. Z własnych pieniędzy kupiliśmy samochód dla słynnych bliźniaczek ze Śląska – Zuzi i Mai. Nie ogłaszaliśmy tego nigdzie. Gdy pojawił się konkurs, postanowiliśmy zaryzykować i wystartować, opisując nasz pomysł i działalność; wskazując, że wszystko, co robimy, spróbujemy skupić w jednym miejscu, dużym ośrodku. Osoby, które przyjdą, nie będą odsyłane do specjalistów, ale znajdą pomoc właśnie tutaj. Nawet jeżeli nie będzie akurat dostępnego danego specjalisty, osoba potrzebująca będzie mogła

eprasa.pl 7b8aff7cae

Centrum pomocy Archipelag powstaje na warszawskim Wilanowie
FOT. FUNDACJA PROFETO.PL

przenocować, zjeść, zaopiekujemy się nią i sprowadzimy specjalistę.

Zgodnie z zamysłem centrum – kto będzie mógł zgłosić się po pomoc?

Jedynym kryterium jest doświadczenie pokrzywdzenia przestępstwem. Osoba, która doświadczyła przemocy w jakikolwiek sposób – rodzinnej, seksualnej, cyberprzemocy. Nie budujemy centrum dla osób wychodzących z bezdomności lub nałogów, tylko dla tych, które spotkały się z przemocą.

Skąd nazwa Archipelag?

Budujemy Archipelag, czyli wyspy wolne od przemocy. Wyspy oddzielone od siebie i niezależne. Osoba z konkretną traumą nie spotka osoby, która kojarzy się jej z doświadczeniem tej traumy. Czyli kobieta bita przez męża nie spotka mężczyzny, który też może jest na terapii, ale może kojarzyć się jej z przemocą domową. Wyspy kobiet, mężczyzn, dzieci, młodzieży będą odseparowane. Każda z wysp ma pokój terapii grupowej, dużą salę pobytu dziennego z aneksem kuchennym, stołem, wyjściem do ogrodów terapeutycznych, a obok jest pokój terapii indywidualnej z łazienką.

Osobne wyspy w ramach jednego, dużego kompleksu?

Dokładnie! Te wyspy zlokalizowane są na parterze. Na pierwszym piętrze mamy 30 pokoi interwencyjnych, dwuosobowych na pobyt krótkoterminowy, czyli do trzech miesięcy, a na drugim dwa lokale interwencyjne o powierzchni 80 mkw., dla dwóch rodzin na pobyt do dwóch lat.

Osoba, która zgłosi się do centrum, będzie musiała dokładać się do swojego utrzymania?

Nie. Wszystko będzie pokrywane w ramach programu pomocowego. Środki z Funduszu Sprawiedliwości zaplanowane na 2025 r. są przewidziane właśnie na utrzymanie podopiecznych, na ubrania, jedzenie, media, opłacenie lekarzy. Mamy pomysł, że rodzinom, które będą mieszkać w mieszkaniach interwencyjnych, w pierwszym roku my finansujemy wszystko, ale pomagamy też w przekwalifikowaniu i znalezieniu pracy. Drugi rok zostają u nas i nie płacą za mieszkanie, ale muszą sami płacić za inne aspekty utrzymania.

Czyli wracać do społeczeństwa.

Do społeczeństwa i do normalnego życia. Dodam, że to nie byłoby objęte wsparciem z Funduszu Sprawiedliwości, to nasz pomysł na kontynuację.

Jednym z zarzutów formułowanych w kontekście projektu jest ten dotyczący budowy w ramach centrum studiów nagraniowych. Tak więc zapytam – po co studia nagraniowe?

Jest to związane z nowoczesną terapią. Teatroterapią, muzykoterapią, arteterapią. Architekci, składając dokumentację projektową do władz Wilanowa, nie mogli zapisać „pomieszczenie do muzykoterapii", zapisali więc „studio 1", „studio 2", „studio 3". Prawdopodobnie ktoś z Urzędu Dzielnicy Wilanów przekazał mediom te dokumenty i media, a dokładniej OKO.press zrobiły z tego całą wielką opowieść o studiach nagraniowych. Tak naprawdę mamy jedno duże studio do muzykoterapii, obok pomieszczenie trenera i dwa mniejsze, w których planujemy pracę z instrumentami.

Pytanie: Co dalej z Archipelagiem? Pieniądze wstrzymano. Czy jest więc perspektywa dokończenia projektu?

Wpłaciliśmy 1 mln 615 tys. wkładu własnego na ten rok i z tych pieniędzy jeszcze działamy, ale rozmawiamy z generalnym wykonawcą o zawarciu ugody. Chcemy przerwać inwestycję, gdy skończy się wkład własny. Musimy przerwać budowę, musimy zawrzeć ugodę z generalnym wykonawcą, a on z podwykonawcami. Mamy zamówione wyposażenie, nie wiem, jak z tego wybrniemy. Wolę o tym nie myśleć, bo aż skóra cierpnie. A Fundusz Sprawiedliwości zupełnie się tym nie przejmuje. Wykańczamy budynek, ale do zrobienia zostały najdroższe systemy – wentylacyjne, grzewcze, centralny system zarządzania budynkiem, który będzie w opisywanej szeroko przez media serwerowni; fotowoltaika, magazyny energii. Wszystko, co związane z nowoczesnym, ekologicznym budynkiem. Samo wyposażenie kuchni to ponad 1 mln zł. Właśnie na to wszystko chcieliśmy przeznaczyć zablokowaną styczniową transzę z funduszu. Miała nam pozwolić, by do czerwca dokończyć budowę i do końca roku wyposażyć centrum. Już teraz wiemy, że to się nie uda. Nawet jeżeli pieniądze zostałyby wypłacone w ciągu roku, to wiemy, że 1 stycznia 2025 r. osoby skrzywdzone, które miały zostać przyjęte w naszym ośrodku, do tego ośrodka nie trafią.

Minister Adam Bodnar to były rzecznik praw obywatelskich, wiceminister Rudzińska-Bluszcz pracowała w biurze RPO. Pewnie na polu politycznym trudno będzie się dogadać, ale może warto apelować do wartości związanych z troską o prawa obywatelskie? Może to zmieni podejście władz MS?

Cały czas prosimy o rozmowę, wysyłamy pisma co tydzień. Apelujemy poprzez media, rozmawiamy z TVN, z „Wyborczą", „Do Rzeczy", wszędzie błagamy o spotkanie, prosimy o kontakt. Chcemy usiąść do stołu. Przyniosło to na tyle pozytywny efekt, że w zeszłym tygodniu zadzwoniła do mnie pani minister i obiecała spotkanie na koniec lutego, gdy nasza umowa wróci z audytu. Jesteśmy otwarci na to, by wypracować wspólne dla obojga stron rozwiązanie. Myślimy choćby o możliwości podpisania aneksu z gwarancjami na lata, które ewentualnie chroniłyby Fundusz Sprawiedliwości, jeśli są jakieś lęki, że my po roku zamkniemy nasze centrum. Ale jeżeli ministerstwo nie będzie z nami rozmawiać, tylko straszyć nas prokuraturą, to gdzie my jesteśmy? Jeśli resort nie zareaguje, to szykujemy się do tego, by wystawić w holu budynku Białą Księgę, otworzymy ją dla mediów i strona po stronie, sprawozdanie po sprawozdaniu, faktura po fakturze dziennikarze będą mogli wszystko fotografować, udostępniać. Nie mamy nic do ukrycia. Nie damy się zastraszyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7b8aff7cae

FOT. ADOBE STOCK

Zamach na szkolny sport

Łukasz Zboralski

Nowa minister edukacji zapowiedziała walkę z „ocenozą" w szkole. Ma to dotyczyć także wychowania fizycznego, z którego chce usunąć rywalizację. To byłoby niebezpiecznym absurdem

To, co w edukacji zapowiada minister Barbara Nowacka – od unikania prac domowych, przez okrojenie podstaw programowych, do zasad na lekcjach wychowania fizycznego – ma pewien wspólny mianownik. Minister zresztą wyraziła go publicznie jako walkę z „ocenozą". To przejaw głębszego nurtu, zwłaszcza w lewicowym podejściu, w dążeniu do świata, w którym wszyscy współpracują i nikt nie rywalizuje. Z założenia jest to świat piękny. Tyle że utopijny. Dążenie do pięknych celów może przynosić zarówno dobre, jak i fatalne skutki. Jakie byłyby skutki dla lekcji WF?

NIE MÓWIĆ, KTO SZYBSZY

Podczas niedawnego wywiadu w Radiu Zet minister edukacji musiała odpowiedzieć na kilka pytań od słuchaczy. Jednym z nich było – odczytane przez prowadzącego audycję – pytanie o to, czy szkoły będą otwarte w weekendy i czy będzie w nich można prowadzić pozaszkolne zajęcia sportowe. Dotyczyło więc postulatu przedstawionego wcześniej przez obecnego ministra sportu, Sławomira Nitrasa. W tej sprawie Barbara Nowacka kluczyła, nie dając jasnej odpowiedzi, czy tak się stanie ani kiedy szkoły otworzą się na tego rodzaju działalność. Lekko zmieniając temat, wypaliła: – Kolejna rzecz, o którą absolutnie trzeba zadbać, to dobry sport dla dzieci. Taki, żeby nie stygmatyzował, nie sprawdzał za bardzo tego, czy ktoś jest szybszy, ale zachęcał do aktywności.

Po pierwsze, u pani minister oraz u wszystkich, którzy krytykują sposób prowadzenia lekcji wychowania fizycznego w szkołach, widać pewne niedostatki wiedzy o systemie edukacji w Polsce. Ten brak rozpoznania rodzi pokusę szarpnięcia całym systemem, gdy w rzeczywistości system zaprojektowany od dawna jest słusznie, a problem stanowi kadra szkolna go realizująca (a o tym, dlaczego mamy kadrę, jaką mamy, pisałem w ostatnim numerze „Do Rzeczy" – wskazując, że od 1989 r. każdy rząd po kolei upokarzał finansowo nauczycieli, powodując 30-letnią negatywną selekcję do zawodu).

Otóż 10 czerwca 2015 r. opublikowane zostało rozporządzenie MEN w sprawie warunków i sposobu oceniania, klasyfikowania i promowania uczniów i słuchaczy oraz przeprowadzania sprawdzianów i egzaminów w szkołach publicznych. To właśnie wówczas zerwano z „tradycyjnym" modelem oceniania dzieci podczas WF i uznano, że ocena z tego przedmiotu powinna opierać się głównie na trzech kryteriach: wysiłku wkładanego przez ucznia w wywiązywanie się z obowiązków wynikających ze specyfiki tych zajęć, systematyczności

eprasa.pl 7b8aff7cae

udziału ucznia w zajęciach, aktywności ucznia w działaniach podejmowanych przez szkołę na rzecz kultury fizycznej.

Od prawie dekady zatem nauczyciel WF powinien oceniać na lekcji nie to, jak daleko uczeń skoczy w dal, jak szybko przebiegnie 100 m, ale to, jak bardzo się angażuje podczas uprawiania tego sportu – czy pracuje nad własnymi osiągnięciami, czy chce je poprawiać. Ocena ma więc odzwierciedlać wyniki na miarę możliwości dziecka, a także to, czy angażuje się w poznawanie nowych dyscyplin sportu, czy przejawia szacunek do przeciwnika w rywalizacji.

Nie powinno to stanowić żadnego problemu dla nauczycieli, by zawsze tłumaczyć uczniom, czym naprawdę będą się zajmować na zajęciach sportowych, że będą ich wspierać i doceniać pokonywanie własnych słabości. Jeśli po blisko dekadzie mamy wciąż nauczycieli WF, którzy mierzą wyniki i na tej podstawie ustalają kwalifikacje ocen (albo rzucają piłkę i idą do kantorka) – a niestety, mamy takich nauczycieli w Polsce wcale niemało – to nie oznacza, że system kształcenia sportu jest zły, tylko że mamy złe kadry i nikt nad nimi nie panuje, nie mogąc zmusić ich do poprawnej pracy (zadajmy sobie pytanie: Jak swoją rolę w takim razie wypełniają dyrektorzy szkół, kuratorzy oświaty i kolejni ministrowie edukacji?).

Dopiero teraz możemy próbować zagłębić się w to, czy rywalizacja w sporcie dzieci jest złem czy wręcz odwrotnie. Najkrótsza odpowiedź brzmi: to zależy. Zależy to bowiem od tego, jak ta rywalizacja przebiega, w jakiej atmosferze i jak dzieciom się ją przedstawia i tłumaczy.

– Rywalizacja nie ma czarno-białych podziałów. Jeśli jest wykorzystywana w sposób, który nasila poczucie gorszości, słabości, to jestem jej przeciwna – mówi „Do Rzeczy" dr Aleksandra Piotrowska, psycholog dziecięcy. I dodaje: – Generalnie mamy do czynienia z nadużywaniem rywalizacji. Tam, gdzie włączają się w to dorośli, szczególnie rodzice, to, proszę mi wierzyć, włos jeży się na głowie.

Jasne jest, że opiekunowie wprowadzający niezdrową presję zwycięstwa (proszę przypomnieć sobie wiele filmów w sieci, zwłaszcza z awanturami rodziców podczas kibicowania małym piłkarzom) mogą sprowadzić rywalizację na bardzo niezdrowe tory. Czy jednak jej całkowite usunięcie z lekcji szkolnych miałoby sens? Można nie mierzyć czasu w biegach uczniom, ale gdy na przerwach bawią się w berka, same dobrze wiedzą, kto z klasy biega najszybciej, a kto ma problemy, by dogonić innych. Jako dorośli możemy udawać, że nikt nie biega szybciej od innych. Tylko co tym osiągamy?

ODPORNOŚĆ PSYCHICZNA I RYWALIZACJA

– Uważam, że rywalizacja na WF nie jest zła. Dzięki temu wzmacnia się psychikę, dzieciaki się uodparniają na porażki. Gdzie mają budować to radzenie sobie z trudnymi sytuacjami jak nie poprzez sport, i to na zajęciach w szkole, gdzie ta rywalizacja sportowa nie jest dotkliwa? – mówi Julita Ilczyszyn, nauczycielka WF w szkole podstawowej w Józefosławiu pod Warszawą, a jednocześnie biegaczka startująca z powodzeniem w światowych ultramaratonach. – Oczywiście musi to być zdrowa rywalizacja, czyli wszyscy przestrzegamy reguł i zasad oraz rozumiemy, że nie wszyscy mamy te same możliwości. Zajęcia można tak uwarunkować, żeby każdemu uczniowi było na nich przyjemnie i żeby każdy mógł poczuć nutkę adrenaliny i napięcia – dodaje.

Czy w ogóle możliwe jest pozbawienie szkolnych zajęć jakiejkolwiek rywalizacji? – Nie na wszystkich zajęciach WF dzieci rywalizują w sporcie, mamy różne zadania. Jednak uważam, że całkowita rezygnacja z rywalizacji to absurd. To niemożliwe. Sport ma w swoim genotypie rywalizację – mówi Ilczyszyn. – Są gry zespołowe, biegi, a od najmłodszych lat np. wyścigi rzędów. I to jest dzieciom potrzebne. Ja na pewno, jako nauczyciel WF, ze zdrowej rywalizacji uczniów nie zrezygnuję – zaznacza.

Słowa nauczycielki potwierdzają wieloletnie badania na temat udziału sportowej rywalizacji w kształtowaniu się osobowości człowieka. Wiadomo np., że u dzieci w wieku przedszkolnym kładzenie nacisku przez rodziców na rywalizację sportową w zorganizowanym sporcie jest bardzo ryzykowne i dzieci mogą psychicznie szybko się wypalać, porzucając sport w ciągu czterech kolejnych lat („Understanding parents' motives for, and beliefs about, enrolling three-to-five-year-old children into organised sporting program", Qualitative Research in Sport, Exercise and Health journal, Flinders University, 2020 r.).

Wiadomo też jednak, że odpowiednio prowadzona rywalizacja sportowa w okresie nastoletnim przynosi korzyści. Jedną z nich jest kształtowanie cechy osobowości, którą jest odporność psychiczna. To ta cecha pozwala umieć dostosować się do zmian pod względem emocjonalnym, umieć radzić sobie z presją, mieć wolę walki w obliczu trudnej sytuacji, umieć szybko wracać do równowagi emocjonalnej. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach – gdy mamy do czynienia z prawdziwą plagą problemów psychicznych czy nawet prób samobójczych u młodych ludzi – powinniśmy się zastanawiać, jak wspierać kształtowanie się odporności psychicznej. Stosując skrót: dobrze jest nauczyć dziecko, że przegrana nie oznacza nic strasznego, że warto próbować, że porażki nie stawiają człowieka w złym świetle – a także, że warto grać fair i że ktoś, kto w pewnych obszarach życia okazuje się mniej sprawny od nas, nie jest gorszym człowiekiem.

Badania wskazują, że za jej kształtowanie się odpowiada oczywiście środowisko rodzinne, a potem – nauczyciele i trenerzy sportowi. Pośrednio tłumaczy to Katarzyna Wójcik w pracy doktorskiej warszawskiej AWS z 2022 r. „Odporność psychiczna jako determinanta osiągnięć sportowych w wybranych dyscyplinach olimpijskich".

Zresztą elementy rywalizacji podczas szkolnych zajęć mogą się odbywać poprzez udział w zmaganiach drużynowych. W takich rozgrywkach kształtuje się jednocześnie współpracę w grupie i relacje.

Zastanawiając się nad lekcjami WF, warto mieć w pamięci zatrważające liczby z raportu NIK z 2013 r.: 15 proc. uczniów nie bierze czynnego udziału w lekcjach WF w klasach IV–VI w szkołach podstawowych, 23 proc. – w gimnazjach, 30 proc. – w szkołach ponadgimnazjalnych. Minister Barbara Nowacka powinna się zastanowić, czy doprowadzili do tego sportowa rywalizacja czy jednak nauczyciele, którzy mają nudną, powtarzalną ofertę i nie potrafią zastosować poprawnych kryteriów oceny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

CZYTAJ TEŻ O WYCHOWANIU FIZYCZNYM W IRLANDII NA STRONIE 58

eprasa.pl 7b8aff7cae

Piotr Gociek

Między niebem a śmiercią

Serial „Władcy przestworzy" nie dorównuje „Kompanii braci" i „Pacyfikowi". Ale i tak jest to porządny serial wojenny o bohaterach, których zapomnieć nie można

Wspomnijmy najlepszą polską książkę o wojnie powietrznej, czyli „Dywizjon 303" Arkadego Fiedlera. Środa 11 września roku 1940: ku Anglii zmierza armada 60 niemieckich bombowców osłanianych przez 90 myśliwców. „Nie przebili się w całości. Pomimo fortelu i potęgi rozszarpano bombowce po drodze. Dywizjon 303 odniósł tego dnia swe najliczniejsze zwycięstwo, bodaj czy nie rekordowe dla całego RAF-u, strącając w sile 12 maszyn w ciągu niespełna kwadransa 17 niemieckich samolotów" – odnotował Fiedler.

Kule ognia spadające w fale kanału La Manche, kolejne zestrzelenia na listach rekordów myśliwskich asów, radość załóg stanowisk obrony przeciwlotniczej. Anglia przetrwała. Potem to aliantom przyszło wcielić się w rolę rozszarpywanych. Serial „Władcy przestworzy" („Masters of the Air") dostępny na Apple TV+ rozpoczyna się w roku 1943, kiedy to Amerykanie pospołu z Brytyjczykami rozpoczynają masowe naloty na Niemcy. Cel jest prosty: zadać machinie wojennej Hitlera jak najwięcej strat, bo jeśli nie zniszczy się przemysłowego zaplecza III Rzeszy, to żaden D-Day nigdy nie nastąpi.

ŁATWY CEL

I oto mamy październik roku 1943, jedna z wielu misji bojowych prowadzi amerykańskie bombowce nad Ratyzbonę. „W siedem minut 100. Grupa Bombowa przestała istnieć jako zorganizowana jednostka bojowa. Kilka jej samolotów przedarło się jednak nad cel i zrzuciło ładunek" – pisze Donald L. Miller w książce, która była inspiracją dla serialu („Władcy przestworzy. Amerykańscy lotnicy w walce z nazistowskimi Niemcami", Replika 2016, wznowienie 2023). „Niemieckie myśliwce rzucały się na Setną fala za falą – wspominał Frank Murphy. – Kilka razy odwracałem wzrok i zaciskałem powieki, spodziewając się zderzenia czołowego".

Zmienne koleje wojny: teraz to amerykańskie maszyny stanowiły łatwy cel dla niemieckich myśliwców, to powietrzne asy Göringa dopisywały sobie do listy strąceń kolejne pozycje, a wiwatowali niemieccy żołnierze obsługujący wymierzone w niebiosa działa FlaK. Jedna gigantyczna różnica: podczas bitwy o Anglię niemieckie bombowce mogły operować pod osłoną wielkich grup myśliwskich startujących z lotnisk we Francji czy w Holandii. Natomiast alianci, których celem były fabryki i instalacje militarne położone daleko za linią frontu, musieli tam radzić sobie bez myśliwskiej osłony. Bombowce B-17 nie bez powodu zwane były „latającymi fortecami" – część 10-osobowej załogi obsługiwała działka przeciwlotnicze, kwestią życia i śmierci było operowanie w ciasnym szyku, by nawzajem się osłaniać ogniem. Straty były olbrzymie. W dodatku Amerykanie dla większej celności (zapewniały ją nowatorskie celowniki bombowe Nordena) latali za dnia, gdy łatwo było paść łupem nie tylko wrogich myśliwców, lecz także obrony przeciwlotniczej. Brytyjczycy woleli mniej celne, ale bezpieczniejsze bombardowania nocne.

Serial „Władcy przestworzy" to opowieść o załogach bombowców Ósmej Armii Powietrznej, skonstruowana podobnie jak dwa najwybitniejsze dokonania w dziedzinie serialu wojennego, którymi były „Kompania braci" (2001) oraz „Pacyfik" (2010). Z założenia miała być chyba zresztą właśnie domknięciem nieformalnej trylogii o alianckim wysiłku wojennym. W „Kompanii braci" towarzyszyliśmy żołnierzom kompanii E 506 Pułku Piechoty Spadochronowej od forsownych ćwiczeń w USA, przez D-Day, Ardeny,

eprasa.pl 7b8aff7cae

Serial „Władcy przestworzy" to opowieść o załogach bombowców Ósmej Armii Powietrznej FOT. ROBERT VIGLASKY

do kresu wojny w Europie. „Pacyfik" opowiadał o bohaterstwie amerykańskich marines szturmujących Guadalcanal, Iwo Jimę czy Okinawę. Teraz wznosimy się w powietrze – za sprawą produkcji, która początkowo także miała być realizowana przez HBO, ale ostatecznie trafiła pod skrzydła Apple TV. Współproducentami znów są (jak przy dwóch poprzednich seriach) Steven Spielberg i Tom Hanks, jednak główne skrzypce grają John Shiban i John Orloff (ten ostatni współtworzył scenariusz do „Kompanii braci").

I niby wszystko powinno zagrać, a jednak nie zagrało, niby wszystko jest równie ciekawe, ale nie za bardzo. Jest odpowiedni budżet – 250 mln dol. („Kompania braci" kosztowała 125 mln, „Pacyfik" – 200 mln). Jest parada dobrych lub bardzo dobrych aktorów: Austin Butler (grał Elivisa w filmie Buza Luhrmanna), Callum Turner, Barry Keoghan (jeden z najlepszych aktorów młodego pokolenia: nominacja do Oscara za występ w „Duchach Inisherin", świetne role w „Zabiciu świętego jelenia" i „Saltburn"). Nawet struktura całej historii jest podobna: jest epizod poświęcony zetknięciu weteranów z młodymi żołnierzami z uzupełnień, jest odcinek ze szczególnie samobójczą misją, są chwile, kiedy z dala od wielkich wojennych batalii trzeba będzie zmagać się z wrogiem oko w oko. (Tu pozwolę sobie na jeszcze jeden cytat z książki Millera: „Skoro każda misja Ósmej Armii Powietrznej stanowiła inwazję na Trzecią Rzeszę, zestrzeleni lotnicy stawali z nieprzyjacielem twarzą w twarz na jego ziemi, zanim jeszcze choć jeden amerykański piechur wkroczył do Niemiec").

„WŁADCY PRZESTWORZY" („MASTERS OF THE AIR")
USA 2024

JAK GRA KOMPUTEROWA

Zatem dlaczego nie zachwyca, skoro powinno zachwycać? Upierał się będę, że główna przyczyna tkwi w scenariuszu. I głównych, i pobocznych bohaterów nie udało się nakreślić tak wiarygodnie jak w poprzednich dwóch serialach. Mają twarze, które znamy, ale nie mają osobowości, nie mają przeszłości. Charaktery chłopaków z Kompanii E poznaliśmy doskonale w pierwszym odcinku („Currahee"), kiedy jeszcze przechodzili mordercze szkolenie w Camp Toccoa. I od razu mieliśmy ochotę im kibicować. W odcinku pierwszym „Pacyfiku" scenarzyści wiele miejsca poświęcili objaśnieniu, skąd i dlaczego przybyli kandydaci na marines, ich rodzinom, motywacjom, lękom i nadziejom. Bohaterowie „Władców przestworzy" mają nazwiska i rangi, ale pozostają dla nas anonimowi, dopiero od trzeciego, czwartego odcinka część z nich zaczyna przypominać żywych ludzi, a nie awatary podstawione na ekranie, by powtarzać napisane kwestie.

W warstwie wizualnej serial często wygląda jak gra komputerowa najnowszej generacji. I tu zdania są podzielone: jedni zachwycają się tym, że wreszcie walki powietrzne wyglądają tak, jak powinny w epoce zaawansowanych efektów CGI. A drudzy (należę do tej właśnie grupy), że nadmierna gładkość obrazków odbiera im autentyczność i utrudnia widzowi wejście w przedstawiony świat. Ta wojna jest po prostu za ładna, szczególnie w porównaniu z gryzącym realizmem „Kompanii braci" i „Pacyfiku".

Jest wreszcie kłopot z samą naturą opowieści o misjach bombowców. Nie pozostawia zbyt wiele miejsca na inwencję. Załoga wsiada do maszyny, startuje i albo doleci, albo nie doleci – trzeciej opcji nie ma. Niczego nie odmawiając bohaterom tych szaleńczych nieraz misji – mogłeś być najlepszym pilotem, nawigatorem i strzelcem, a i tak zbyt często twoje szanse na przeżycie sprowadzały się do rzutu kostką, czystego przypadku. Widzimy więc na ekranie dramat lotników zamkniętych w latających puszkach, które w każdej chwili mogą stać się trumnami; widzimy samoloty w szykach i osobno, obserwujemy płonące silniki i smugi pocisków, ale wszystko to szybko widzowi powszednieje. Dobry przykład mamy w odcinku trzecim: najbardziej emocjonujący jest pierwszy kwadrans (załogi poznają cele misji, potem czekają w nerwach na odpowiednią pogodę), a także finał, w którym kibicujemy postrzelanej latającej fortecy podczas lądowania w Afryce. W czwartym odcinku akcja częściowo sprowadzona zostaje na ziemię, bo oglądamy losy jednego z zestrzelonych Amerykanów, przejętego przez ruch oporu.

„Władcy przestworzy" to niezły serial o złych czasach, ale poprzednie dwa były dokonaniami wybitnymi, najlepszymi w swym rodzaju. Trudno było sprostać takiemu wyzwaniu. Zostało przesłanie, które warto przypominać: oto bohaterowie, którzy nie wahali się poświęcić wszystkiego w imię dobrej sprawy. Amerykański dziennikarz Andy Rooney, jeden z pierwszych korespondentów, którym pozwolono wziąć udział w powietrznych misjach Ósmej Armii Powietrznej, napisał w swoich wspomnieniach: „Była to jedna z największych sił bojowych w historii wojen, dysponująca najlepszym sprzętem i najlepszymi ludźmi, z których niemal wszyscy byli amerykańskimi cywilami, którzy zgłosili się, by walczyć za swój kraj oraz sprawę, o której wiedzieli, że jest zagrożona – wolność. To właśnie uczyniło II wojnę światową wyjątkową". Te słowa są też mottem do prologu książki Millera.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7b8aff7cae

Zagadki Zylskiej

Tomasz Zbigniew Zapert

„Kasztany" i „Mexicana". Ponadczasowe hity polskiej muzyki rozrywkowej. Ich wykonawczyni pozostaje chyba najbardziej tajemniczą gwiazdą w dziejach krajowej piosenki

FOT. WITOLD ROZMYSŁOWICZ/PAP

Natasza Zygelman przyszła na świat 13 grudnia 1933 r. w Wilnie. Nie lubiła mówić ani o swych korzeniach, ani o dzieciństwie. Wiadomo, że jej pochodzący z Rosji rodzice przybyli na Wileńszczyznę po rewolucji bolszewickiej, przed której konsekwencjami uciekli. Oboje byli pochodzenia żydowskiego, lecz nie kultywowali tradycji przodków. Nie wiemy, jak, kiedy i gdzie się poznali. Małżeństwo zawarli w roku 1922 w obrządku ewangelicko-reformowanym. Pozostaje sekretem, czy sami zmienili wyznanie czy też uczynili to już wcześniej ich przodkowie.

POD ZNAKIEM RADIA

Niebawem doczekali się syna Ludwika, który w niemowlęctwie zmarł na koklusz, jak wówczas określano krztusiec. Być może trauma po tej tragedii sprawiła, że na drugie dziecko zdecydowali się dopiero po dekadzie. Kiedy Jan Zygelman, absolwent studiów ekonomicznych na Uniwersytecie w Dorpacie, piastował już kierownicze stanowisko w bankowości Towarzystwa Radiofonicznego „Elektrit", założonego w grodzie Gedymina przez braci Samuela i Herszta Chwolesów oraz Nachmana Lewina. Zrazu prowadziło ono warsztat radiotechniczny oraz zajmowało się sprzedażą radioodbiorników zagranicznych. Okres prosperity zaczął się, kiedy otwarto wileńską rozgłośnię Polskiego Radia. Wtedy ruszyła własna produkcja. Początkowo na licencji uznanej wówczas austriackiej firmy Minerwa.

Pod koniec lat 30. „Elektrit" stał się liderem branży radiowej w II Rzeczypospolitej. Zatrudniał blisko 1,2 tys. pracowników, a wartość wyrobów przekroczyła 1,2 mln dol. Eksportował radia do kilkunastu państw na kilku kontynentach. Uposażenie dyrektora finansowego Zygelmana u schyłku międzywojnia wynosiło 1 tys. zł (ok. pięciu przeciętnych pensji). Latem 1939 r. wraz z żoną Żanetą z Nenemanów oraz sześcioletnią córeczką wprowadził się do okazałej willi wybudowanej wedle projektu Macieja Nowickiego – wtedy wschodzącej gwiazdy rodzimej architektury (11 lat później zginął w katastrofie lotniczej) – w imponującej przyrodniczo dzielnicy Zwierzyniec. Po wakacjach w Zaleszczykach latorośl rozpoczęła naukę w pierwszej klasie szkoły powszechnej. Z uwagi na wybuch drugiej wojny światowej uczyniła to z kilkutygodniowym opóźnieniem i w litewskiej placówce edukacyjnej. Z powodu kolejnego obrotu koła historii klasę drugą spędziła w szkole sowieckiej. Potem w jej nauczaniu nastąpiła niemal czteroletnia przerwa.

WILEŃSKIE TROPY

W czasach Wilna litewskiego ojciec wciąż pracował w finansowym fachu i stać go było na utrzymanie rodziny, choć na znacznie skromniejszym poziomie – pokoje w wilii wynajmowano sublokatorom. Władze sowieckie wykwaterowały burżujską familię z jej domu. Przy okazji został on splądrowany. Przepadły platery, futra, dywany, bibeloty, księgozbiór. Zygelmanowie przez rok gnieździli się w zapluskwionym pokoju pozbawionym wygód (czyli kanalizacji, gazu i elektryczności), w suterenie sędziwej i solidnie nadgryzionej zębem czasu czynszówki na Zarzeczu. Dzielnicy tyleż kolorowej, co niebezpiecznej. Zapamiętał ich z tego okresu mieszkający niemal po sąsiedzku Bernard Ładysz.

Nataszę i jej rodziców wsparł wtedy Leonard Ilgowski, pionier polskiego jazzu oraz bandleader, grający w tym czasie muzykę ludową propagowaną przez czerwonych okupantów. Był kuzynem Nataszy po kądzieli. To z jego rekomendacji 15 sierpnia 1939 r. debiutowała na

eprasa.pl 7b8aff7cae

antenie. W programie Polskiego Radia Wilno, emitowanym z okazji święta Wojska Polskiego, deklamowała jakiś patriotyczny wierszyk. Pół roku wcześniej wystąpiła na estradzie kawiarni U Dormana. Wieńczyła karnawałowy kinderbal, śpiewając spolszczony przez Andrzeja Własta szlagier z repertuaru Shirley Temple – ówczesnego cudownego dziecka kina. Akompaniowało combo pod batutą Ilgowskiego. Zamordowanego przez szaulisów – litewską formację policyjną istniejącą w latach 1941–1944, która pod nadzorem Niemców dokonywała masowych mordów w Ponarach.

Wileński ślad przyszłej piosenkarki urywa się w roku 1941. Relacja Zygmunta Kęstowicza mówi, że ówczesnej wiosny razem z rodzicami, którzy jako byli obywatele rosyjscy, nadto „obcy klasowo", szczególnie obawiali się wywózki na Sybir, zbiegła przez zieloną granicę do Generalnego Gubernatorstwa. Wedle Igora Śmiałowskiego ucieczka z miasta nastąpiła kilka miesięcy później, gdy miasto okupowali już Niemcy i utworzyli w nim getto. Obydwaj aktorzy poznali Zylską w Polsce Ludowej, ale w rozmowach z nimi starannie maskowała swoje losy wojenne. Wspomnienia Emanueli Cunge sugerują, że Zygelmanowie trafili do wileńskiego getta, a następnie je opuścili, chroniąc się na prowincji. Azyl mieli znajdować w kolejnych folwarkach. Pomiędzy bajki można chyba włożyć wiadomość zawartą w kompilatorskiej publikacji Emilii Podół głoszącą, że rodzina Zygelmanów ukrywała się podczas okupacji niemieckiej w Katowicach. Do stolicy Górnego Śląska dotarli dopiero u progu roku 1945. Jan znalazł zatrudnienie w biurze finansów tamtejszej agendy Polskiego Radia. Trzon redakcji stanowili: satyryk Józef Prutkowski, reporter Jerzy Janicki oraz muzycy Jarzy Harald i Waldemar Kazanecki. Dwaj ostatni zaistnieli w życiorysie opisywanej.

PRZED MIKROFONAMI

W Katowicach ukończyła ona technikum górnicze! Czy to był wybór rodziców – tata wkrótce zamienił antenę radiową na posadę dyrektorską w banku, mama zajmowała się domem – czy też jej? Koleżanka z klasy zapamiętała, że Natasza uczyła się dobrze, lecz była skryta i mało kontaktowa. Nie bywała w domach rówieśniczek ani sama ich do siebie nie zapraszała. Nie jeździła też na wspólne ferie czy wycieczki. Z racji ładnego głosu często występowała na okolicznościowych akademiach szkolnych. I podczas jednej z nich zimą 1952 r. usłyszał ją Kazanecki, przyszły ceniony kompozytor muzyki filmowej, a wtedy student lokalnego konserwatorium, dorabiający sobie do lichego stypendium posadą nauczyciela wychowania muzycznego i akompaniatora. Po jego uporczywych namowach nastolatka zaakceptowała próbne nagrania radiowe. W tym czasie studiowała już na wydziale aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie. Po semestrze ją relegowano. Jak głosi legenda, z uwagi na donos o charakterze obyczajowo-politycznym koleżanki z uczelni. Gorliwej hunwejbinki Związku Młodzieży Polskiej – postrachu braci studenckiej, a nawet pedagogów – która po latach radykalnie zmieniała zapatrywania w przeciwieństwie do aktywności.

Po krachu nauki akademickiej Zylska (funkcjonują rozbieżne wersje, czy to był jej pseudonim czy ustawowo zmienione nazwisko) dokooptowała do wokalistów towarzyszących katowickiej orkiestrze radiowej pod dyrekcją Haralda. Z zespołem już wcześniej współpracowali Marta Mirska, Maria Koterbska, Jan Danek oraz Janusz Gniatkowski. Kapelmistrz i aranżer starał się przemycać w nagraniach niemile widziany przez władzę ludową jazz – zwłaszcza swing i dixieland – ale musiał też spłacać trybut w postaci piosenek propagandowych względnie sowieckich. I właśnie „Pieśnią frontowego szofera" debiutowała w eterze Zylska, zapadając w pamięć radiosłuchaczy z racji głoski „ł" wymawianej bardzo dźwięcznie, jak na osobę z naszych Kresów Wschodnich przystało. To był chyba jedyny, nazwijmy go „postępowy", utwór w jej wykonaniu. Sympatycy artystki na swój sposób interpretowali także dwie jej inne piosenki.

PODTEKSTY POLITYCZNE

Światowy standard „Cherry Pink and Appel Blossom White" wpadł w polskie uszy dzięki zachodnim uczestnikom Festiwalu Młodzieży i Studentów, który odbył się w Warszawie latem roku 1955. Niebawem powstała rodzima wersja pod zapożyczonym od Czechowa tytułem „Wiśniowy sad". Gdy sześć miesięcy później obradował sławetny XX Zjazd KPZR, na którym Nikita Chruszczow ujawnił i potępił stalinowskie „błędy i wypaczenia", Polacy zamiast słów „ośmielił nas wiśniowy stary sad" śpiewali „odmienił nas dwudziesty partii zjazd".

Wkrótce w repertuarze Zylskiej znalazło się również mambo „Kukurydza". Powiadano, że małżeński tandem kompozytorsko-autorski – Hanna Skalska i Kazimierz Szemioth – komentował piosenką tezę Nikity Chruszczowa, głoszącego, że uwiecznione w tytule utworu zboże zawojuje świat. Tekst traktował o zmysłowej miłości pomiędzy... kolbami i kaczanami.

Kariera Zylskiej trwała w najlepsze, „Kasztany" (kompozycja aktora Zbigniewa Korepty do słów Krystyny Wodnickiej), a potem „Mexicana" zwyciężyły w plebiscytach na przeboje roku – odpowiednio w latach 1956 i 1959 – od Tatr do Bałtyku powszechnie nucono też „Klipsy", „Czekoladę" i „Bajo-bongo", gdy nieoczekiwanie opuściła Polskę. Trudno orzec, czemu przeprowadziła się do Izraela. Może wpłynął na to nieudany związek? Skądinąd zainspirował inny jej szlagier: „Chociaż raz powiedz nie".

Wprawdzie liczna kolonia polskich Żydów w Tel Awiwie przyjęła artystkę gorąco, lecz o śpiewaniu po polsku nie mogło być mowy. Spróbowała zatem czynić to w języku hebrajskim, którego jednak nie znała (sic!). Skutek okazał się mizerny, chociaż wydała dwa longplaye. Nastała era big-beatu, stylu zupełnie jej obcego. Zarabiała na macę, pracując w kopalni miedzi. Korzystne zamążpójście i urodzenie córki zakończyło w roku 1969 r. jej muzyczną przygodę. Znalazła nową pasję – ceramikę. Lepiła garnki, wazy, kubki, ozdoby. Doczekała się wielu wystaw, prace lądowały na prestiżowych aukcjach i wzbogacały liczne kolekcje. Polskę odwiedziła pod koniec komuny, lecz wizyta nie wzbudziła wielkiego zainteresowania mediów. Regularnie odpoczywała w kurorcie Cancun, położonym nad Morzem Karaibskim. Czyżby sentyment do ojczyzny Majów wynikał z tytułu jej evergreenu, rumby „Mexicana"?

Zmarła, mając lat 61, po długotrwałych zmaganiach z chorobą nowotworową. Na macewie oprócz tradycyjnych kamieni spoczęły kasztany.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7b8aff7cae

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

KINO

O kochaniu i zakłamaniu

★★★★★☆

REŻ. TODD HAYNES
„OBSESJA" („MAY DECEMBER")
USA 2023

wyst. Natalie Portman, Julianne Moore, Charles Melton

Wszyscy udają w tej opowieści. Jedni że są szczęśliwym małżeństwem, inni, że wydarzenia sprzed lat ich nie dotknęły. A ambitna aktorka Elizabeth (Natalie Portman) udaje, że jest przejęta dziejami Grace (Julianne Moore) i zależy jej na prawdzie. W rzeczywistości żeruje na skandalu, żeby zebrać materiały do filmowej roli. Jest na czym żerować: niemal ćwierć wieku wcześniej Grace (pani po trzydziestce) uwiodła 13-letniego Joe (gra go Charles Melton).

Po latach wszystko przyschło i – można się łudzić – skończyło dobrze. Grace i Joe wzięli ślub, mają dorastające dzieci i piękny dom. Nic bardziej mylnego, ukryte za fasadą szczęśliwego życia w Savannah ból, żal, gniew, rozpacz dadzą o sobie znać, gdy tylko Elizabeth zacznie zagłębiać się w historię rodziny. Wszyscy udają i kłamią. Jaka jest więc prawda? Reżyser Todd Haynes („Idol", „Daleko od nieba") i jego nominowana do Oscara scenarzystka (Samy Burch) pozwalają widzowi zdecydować.

Odpowiedź jest jednak prostsza, niż się wydaje, i w dodatku bardzo dziś niepoprawna. Niektórzy twierdzą, że „Obsesja" to czarna komedia: chyba uruchamiają w ten sposób własny mechanizm ucieczkowy przed niewygodną prawdą. Bo oto w natłoku historii o tym, jak patriarchat czyni kobiety ofiarami i je wykorzystuje, dostajemy opowieść, w której wektory są odwrócone. To Joe wciąż cierpi z powodu głębokiej traumy, to on był ofiarą, choćby nie wiem, ile razy Grace powtarzała, że sam tego chciał i nad wszystkim miał kontrolę. Doprawdy? Zastanówmy się, jak napalony siódmoklasista może być równorzędnym partnerem dla doświadczonej 30-latki, która jest mistrzynią emocjonalnej manipulacji. I nawet teraz kontroluje swego dorosłego męża jak ulubione domowe zwierzątko.

Tych manipulacji na ekranie jest więcej, każdy rozgrywa tu własną partię. Obserwowanie Natalie Portman naśladującej Julianne Moore jest przyjemnością samą w sobie, ale w centrum „Obsesji" są sieci kłamstw, tkane (z różnych powodów) i przez bohaterów skandalu, i przez tych, którzy się w jego orbicie. A także władza. Władza, która, jak wynika z filmu Haynesa, nie należy do mężczyzn, lecz do tych, którzy zdecydują się jej użyć. ©℗

NOWE SERIALE: „EMIGRANTKI"

Serialowa ekranizacja powieści Janice Y.K. Lee (wydanej w Polsce kilka lat temu). Los trzech kobiet mieszkających w Hongkongu, połączonych niespodziewaną tragedią. Wreszcie dobra telewizyjna rola Nicole Kidman, intrygujący obraz świata bogatych ekspatów w jednym z najbogatszych miast świata oraz pewna reżyserska ręka Lulu Wang, którą pamiętamy ze świetnego komediodramatu „Kłamstewko". ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***reż. Lulu Wang „Emigrantki" („Expats"), USA 2024*** prime video

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sezon 4* ***„The Chosen. Wybrani"****, USA 2024* N
- *sezon 1* ***„Kiedy ślub?"****, Polska 2024* CANAL+
- *sezon 2* ***„Halo"****, USA 2024* SKY SHOWTIME

eprasa.pl 7b8aff7cae

Miłość i pigułki

KINO

Film o Presleyu bez piosenek Presleya? Takie rzeczy tylko w Ameryce, raju prawników. Chociaż jeśli się zastanowić, to jest w tym sens. Żona Elvisa nie miała żadnego udziału w tworzeniu muzyki, nie towarzyszyła mu w trasach koncertowych. Dała sobie wmówić, że musi „podtrzymywać domowe ognisko". Film, nakręcony na podstawie pamiętników Priscilli, opowiada o dwóch dzieciakach, z których tylko jedno dorosło. Król rock'n'rolla, naiwny i nieśmiały maminsynek, lubi sztubackie żarty i towarzystwo ludzi, którzy są całkowicie od niego zależni. Czternastoletnia fanka jest idealną narzeczoną. Pręty złotej klatki zaczną ją jednak uwierać. On dokazuje w Hollywood i Las Vegas, ona nie wychyla nosa z Graceland. Jak czkawka wraca scena, w której autobus wiozący Presleya i jego zespół podjeżdża do bramy, pod którą non stop koczują wielbiciele i paparazzi. Złowieszcza postać Pułkownika tym razem nie pojawia się na ekranie. Uzależniony od pigułek idol z własnej winy zmierza ku przepaści. Żałosne są jego aktorskie ambicje i „poszukiwania duchowe". Gdy niedopieszczona połowica w końcu się zbuntuje, wrażenie, że oglądamy tylko jedną stronę medalu, jeszcze się nasila. Młodzi aktorzy sprostali wyzwaniu, ale „Priscilla" cierpi na tę samą przypadłość, co „Maria Antonina" – ważniejsze od ludzi są tu fryzury i kiecki. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆
REŻ. SOFIA COPPOLA
„PRISCILLA"
USA 2023

wyst. Cailee Spaeny, Jacob Elordi, Dagmara Dominczyk

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PRAWDZIWY ROMANS

KINO

„Mam depresję, bo piję za dużo". Bohaterowie „Opadających liści" są małomówni, lecz kiedy już się odezwą, z reguły trafiają w sedno. Holappa, prosty robotnik z problemem alkoholowym, dryfuje przez życie bez celu. Ansa, kobieta, która żadnej pracy się nie boi, zmaga się z samotnością. Pewnego wieczoru w barze karaoke para pechowców nawiąże kontakt wzrokowy. Prawdopodobnie są sobie przeznaczeni, jednak zanim się co do tego upewnią, przyjdzie im pokonać niejedną przeciwność losu. W tle ukraińska wojna, stare plakaty filmowe i mnóstwo muzyki. Rzadko trafia się taka okazja do pogłębienia znajomości „fińskiego repertuaru romantycznego". Czasy się zmieniają, a Kaurismäki w gruncie rzeczy kręci wciąż ten sam film. I bardzo dobrze, nalać mu wódki! W świecie nękanym złymi i coraz gorszymi wiadomościami twórca obdarzony wrażliwością zgoła niewspółczesną jest wart więcej niż 10 Tarantinów. ©℗

★★★★★☆
REŻ. AKI KAURISMÄKI
„OPADAJĄCE LIŚCIE" („KUOLLEET LEHDED")
FINLANDIA 2023

wyst. Alma Pöysti, Jussi Vatanen, Janne Hyytiäinen

MASKI HŁASKI

vod.pl

Kolorowy ptak socrealizmu, wieczny tułacz, mistrz autokreacji. Adorowany i wyklęty. Sejm ogłosił rok 2024 rokiem autora „Pierwszego kroku w chmurach", ale najlepsze filmy traktujące o fenomenie Hłaski powstały jeszcze w XX w. Krzysztof Rutkowski oddał głos świadkom wzlotu młodego pisarza, święcie przekonanym, że jego proza przetrwa próbę czasu. Zdaje się jednak, że żywotniejsza jest legenda Mareczka imprezowicza z „Kameralnej". W sieci można też natrafić na dokument „Z nimi żyłem, z nimi piłem, ich kochałem", poświęcony ostatnim, emigracyjnym latom życia Hłaski. Jerzy Giedroyc zapamiętał go jako człowieka niepoważnego i pozera. Nawet jego alkoholizm był udawany. Przyjaciel z Izraela twierdzi, że marzył o powrocie do kraju. Jedno nie ulega wątpliwości: fabularny film o autorze „Następnego do raju" powinien być utrzymany w takiej samej konwencji, co jego twórczość – sentymentalno-cynicznej. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆
REŻ. KRZYSZTOF RUTKOWSKI
„HŁASKO PIĘKNY DWUDZIESTOLETNI"
POLSKA 1992

GRA TYGODNIA: „ANOTHER CODE: RECOLLECTION"

Dwie odświeżone (znane z Nintendo DS i Wii) gry opowieści, przez które przechodzimy gładko, niemal jak przez seans filmowy. Na drodze napotkamy proste zagadki, które nie stanowią większego wyzwania. Wcielamy się w nastolatkę Ashley, która rusza na poszukiwania ojca. Aż do otrzymania tajemniczego listu dziewczyna żyła w przeświadczeniu, że jej tato zmarł. Los rzuca ją na wyspę Blood Edward, z którą wiąże się tragiczna historia. Część druga ukazuje wydarzenia rozgrywające się dwa lata później.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★☆☆

Historia z gatunku young adult potrafi zainteresować, ale grania tu niewiele. ©℗ ***Radosław Wojtas***

- ***Gatunek:*** *przygodowa*
- ***Platforma:*** *Nintendo Switch*
- ***Producent; dystrybutor PL:*** *Arc System Works; ConQuest*

eprasa.pl 7b8aff7cae

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Profile Skamandra

Jan Lechoń w wierszu „Stara Warszawa" wspominał:

Czuję, płynie przez okno zapach dawnych kwietni,
Widzę meble pluszowe, jedwabne poduszki,
A ja, z Stasiem Balińskim, obaj siedmioletni,
Śpiewamy w chórze dzieci piosenkę Moniuszki.

Dokładnie rzecz biorąc, Staś Baliński był o siedem miesięcy starszy od Leszka Serafinowicza (Jana Lechonia). Uchodził jednak za najmłodszego skamandrytę, choć formalnie członkiem tej grupy poetyckiej nigdy nie został. Do tego w PRL przez całe lata był wymazywany ze zbiorowej pamięci, nie tylko nie publikowano jego utworów, lecz także wykreślano nazwisko z artykułów, szkiców literackich, podręczników. Pierwszy wydany w kraju wybór jego wierszy („Peregrynacje") ukazał się dopiero w końcu 1982 r. W posłowiu do tej książki Paweł Hertz pisał:

„Wśród poetów swojego pokolenia Baliński pozostał może najbardziej wierny odwiecznemu zadaniu poezji, która przywołuje dla nas i wydobywa z głębi mijającego czasu obrazy i myśli barwy i dźwięki, kształty i cienie, ocala je od śmierci i zapomnienia, a zestawiając je na nowo, w sposób sobie tylko właściwy, sprawia, że wspominając to, co przeminęło, inaczej, mądrzej i czyściej widzimy to, co jest, i przewidujemy to, co będzie. Tak pojmowana poezja nie tworzy nowych światów, jest natomiast mądrym komentarzem do świata rzeczywistego, gdy ów z każdą chwilą odmienia się w naszej pamięci. Poeta więc, posłuszny tak pojmowanemu zadaniu poezji, czyni, aby trwało".

Stanisław Baliński zmarł dwa lata później w wieku 86 lat, pochowany został w Londynie. Polskę, o której pisał, bo o niczym innym nie potrafił, ostatni raz widział we wrześniu 1939 r.

Jego dorobek literacki jest skromny, ale niektóre jego wiersze przetrwały, w tym wypadku, długą i ciężką próbę czasu. Był piewcą Warszawy, i to jednym z najznakomitszych, ale bodaj czy nie jeszcze piękniej pisał o Kresach, jak w poemacie „O Ziemi Nowogródzkiej", kończącym się prośbą, a może apelem: „Zmówcie pacierz za biedną ziemię Mickiewicza". Jego „Kolędę warszawską 1939" wymieniano jednym tchem z „Alarmem" Antoniego Słonimskiego, a Polakom na obczyźnie wyciskał łzy utworem „O, Kraju mój". Ola Maurer śpiewała go potem w Piwnicy pod Baranami:

Każdy skądś przecież pochodzi,
Ten z Krymu, ten z Walii, ten z Łodzi.
A ja pochodzę od młodu
Z biało śpiewnego ogrodu,
Z doliny, z olszyn, z rzeki
Dalekiej.
Można mnie stamtąd wyrzucić,
Można mi kazać nie wrócić,
Można mnie z żywych wymazać,
Wygnać, przepędzić za płoty,
Ale jak można zakazać
Tęsknoty?

A skoro padła tu nazwa Piwnicy pod Baranami, to niepodobna nie przywołać, w związku z Balińskim, Leszka Długosza, który wydobył całe piękno tej, zdawałoby się najprostszej z prostych, poezji:

– Jak szkoda, jaka szkoda, jaka szkoda,
Że dni nasze, dni wiosenne (nawet we śnie)
Przepłynęły beznamiętnie, bezszelestnie,
Jak ta woda...

Ale też nie wszystko, co wychodziło spod ręki autora „Wieczoru na Wschodzie", było wysokiej próby. Wojciech Wencel w wydanej właśnie biografii Balińskiego stwierdza, że „był poetą bardzo nierównym. Oprócz kilkunastu olśniewających liryków i kilkudziesięciu wierszy poprawnych napisał wiele utworów słabych, na granicy grafomanii".

Niemniej w 1944 r. napisał „Polskę Podziemną", wiersz wyjątkowy, którym wywalczył sobie naprawdę trwałe miejsce i w naszej literaturze, i w historii:

Moją ojczyzną jest Polska Podziemna,
Walcząca w mroku, samotna i ciemna.

Paradoksalne, że ten utwór opublikował Baliński nie w „Wiadomościach" u Mieczysława Grydzewskiego, ale w „Nowej Polsce", redagowanym przez Słonimskiego miesięczniku, który – cytuję Wojciecha Wencla – „na odległość pachniał wykuwanym w sowieckich kuźniach państwem robotniczo-chłopskim". Ponoć autor utrzymywał, że pismo to prowadzące jawniej rozbijacką politykę wobec polskiej społeczności niepodległościowej jest „niewinne zupełnie".

Jego pradziadkiem był sławny twórca romantyczny Antoni Edward Odyniec, w willi Balińskich częstymi gośćmi byli Sienkiewicz i Prus, matkę poety odwiedzała Maria Konopnicka, w gimnazjum polskiego uczył go Manfred Kridl, filozofii Władysław Tatarkiewicz, a łaciny Tadeusz Kotarbiński. Dwadzieścia lat przepracował w dyplomacji. Jeszcze w latach 20. zdążył być wicekonsulem w Mandżurii, attaché polskiego poselstwa w Teheranie, zaliczył też Brazylię. W powojennym Londynie w zasadzie żył już tylko przeszłością. Teraz Wojciech Wencel, po napisaniu książek o Wierzyńskim i Lechoniu, dopełnił swoją skamandrycką trylogię opowieścią o nim właśnie. Nieprzypadkowo, bo Skamander to nie tylko Tuwim ze Słonimskim pospołu. ©℗

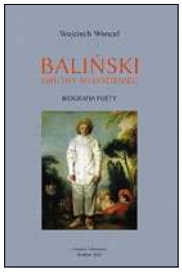

★★★★☆☆

WOJCIECH WENCEL „BALIŃSKI – SMUTNY MŁODZIENIEC. BIOGRAFIA POETY"
INSTYTUT LITERATURY, KRAKÓW 2023

eprasa.pl 7b8aff7cae

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Amerykańska tragedia

Szczęśliwi umarli – nie muszą się tłumaczyć. A jako że książka „Świat według Joan Didion" to pozycja świeżutka, to podążająca za modami autorka próbuje czepiać się swojej bohaterki: a dlaczego za mało feministyczna, a czemu krytykowała kontrkulturę, skoro wszyscy kontrkulturę kochali, itd. Krótko mówiąc, pani biograf czyni wyrzuty pani pisarz, że nie była jednoznaczna.

Odpowiem: i dzięki Bogu, że nie była.

Joan Didon była w amerykańskiej literaturze fenomenem na kilku polach. Swego czasu ikona Kalifornii, fotografowana na potrzeby prestiżowych magazynów częściej niż niejedna gwiazda filmu czy rocka. Autorka powieści, które doskonale uchwyciły blichtr oraz pustkę życia Zachodniego Wybrzeża. Filigranowa, piękna niczym modelka drobniutka kobieta, która ruszała w zagraniczne wojenne wojaże jako reporter. A zarazem bardzo krytyczny obserwator rzeczywistości – reporterskie oko porównywalne z Trumanem Capote'em czy Tomem Wolfe'em. Wystarczy zajrzeć do klasycznego tomu jej esejów „Dryfując ku Betlejem": tam, gdzie inni widzieli flower power i utopię pokoju, ona widziała tragedię narkotyków i cienie Charlesa Mansona. Nieładnie jak na legendę amerykańskich liberałów.

Biografia pióra Evelynn McDonnell to jednak ciekawa lektura, sporo w niej nowych szczegółów, widać, że kosztowała sporo pracy. O życiu i podróżach Didion dowiemy się wiele, rzecz jest jednak trochę rozczarowująca pod jednym względem. Skoro mowa o wybitnej pisarce, to chciałoby się więcej o jej książkach i relacji życie – twórczość. McDonnell woli opisywać poglądy Didon i dziwić się, że czasem są niespójne. Nic to, damy sobie radę sami, wystarczy wrócić do najlepszych książek bohaterki, przede wszystkim „Roku magicznego myślenia", wstrząsającej opowieści o godzeniu się ze światem po śmierci ukochanego męża. Los miał dla Didion życie jak z greckiej tragedii: kochana przez czytelników, rozchwytywana w Hollywood, szczęśliwa żona i matka, w krótkim odstępie czasu utraciła męża i adoptowaną córkę. Miarą jej siły i talentu jest to, że tragedia jej nie zniszczyła, lecz dała siłę do stworzenia najlepszych, najpiękniejszych książek. ©℗

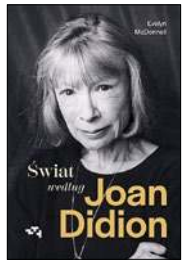

★★★★☆☆

EVELYNN MCDONNELL „ŚWIAT WEDŁUG JOAN DIDION" GRUPA WYDAWNICZA RELACJA 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Próba stworzenia „Z zimną krwią" na miarę XXI stulecia: Jak doszło do tego, że wzorowy student dokonał masowego mordu i odebrał sobie życie? Autor studiuje akta sprawy, rozmawia ze świadkami, szuka odpowiedzi.

DAVID VANN „OSTATNI DZIEŃ NA ZIEMI" WYDAWNICTWO PAUZA

Wyczekiwane długo wznowienie opus magnum w dorobku amerykańskiego pisarza. Obszerna postmodernistyczna powieść obejmująca pół wieku dziejów USA, medytacja nad rolą jednostki w historii.

DON DELILLO „PODZIEMIA" NOIR SUR BLANC

Rachunek narodowego sumienia w wydaniu Rosjanina. Ceniony i zakazany w Rosji pisarz (wróg Putina i wojny z Ukrainą) przedstawia mocną analizę duszy i systemu. Próbuje szukać nadziei, ale podstawy ku temu ma wątłe.

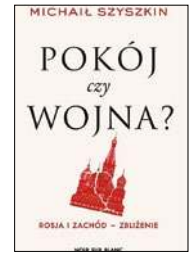

MICHAIŁ SZYSZKIN „POKÓJ CZY WOJNA" NOIR SUR BLANC

Jak mawiają w radiu: szkoda, że państwo tego nie widzą. Ceniona przez fanów Tolkiena praca nie tylko w nowym tłumaczeniu. Przede wszystkim z wykreślonymi na nowo w wersji przestrzennej mapami. Cacko. ©℗

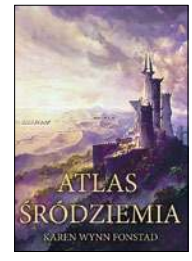

KAREN WYNN FONSTAD „ATLAS ŚRÓDZIEMIA" ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „KABUKI"

David W. Mack współtworzył dla Marvela bohaterkę znaną jako Echo (wersja serialowa wjechała niedawno do Disney+), ale ma w dorobku znacznie ciekawsze dokonania. Jedno z najważniejszych to „Kabuki", opowieść rozgrywająca się w niedalekiej przyszłości alternatywnej Japonii. Sugestywny thriller spiskowy z elementami kryminału opowiedziany i narysowany jest w sposób imponujący. ©℗

DAVID MACK „KABUKI" SCREAM COMICS 2023

Piotr Gociek

eprasa.pl 7b8aff7cae

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Japońskie kadry

Trzecia z cyklu wystaw o bardzo długiej nazwie – „Japonia u progu nowoczesności. Design i wzornictwo ubiorów od około 1900 roku do lat 60. XX wieku na przykładzie darów współczesnych w Muzeum Narodowym w Krakowie" – to odsłona finałowa tegoż cyklu. Kontynuuje jego myśl przewodnią, którą jest „przybliżenie historii, specyfiki i symboliki tradycyjnych japońskich strojów, a także ukazanie rozwoju japońskiej myśli projektowej i procesów modernizacyjnych, którym ona podlegała".

Jako że tym razem formą opowieści o kimonach, haori etc. jest fotografia, to opowieść dotyka nie tylko treści, lecz także formy – fotografii i jej rozwoju w Kraju Kwitnącej Wiśni na przełomie wieków XIX i XX. Pojawiła się ona w kraju samurajów jako nowinka w latach 50. XIX w. Rozwinęła się wraz z przybyciem cudzoziemców, którzy zaznajamiali z tym rzemiosłem miejscowych. „Japońscy fotografowie przejmowali również od swoich nauczycieli zewnętrzną perspektywę postrzegania rodzimego kraju" – piszą kuratorzy wystawy. ©℗

FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

GDZIE? ***Kraków, Kamienica Szołayskich***
KIEDY? ***do 29 marca***

FOT. MUZEUM NARODOWE W LUBLINIE

WIEK ZŁOTEGO

Wystawa upamiętniająca reformę polskiego systemu pieniężnego sprzed 100 lat, kiedy to miejsce zlikwidowanej Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej i emitowanej przez nią marki polskiej przejął Bank Polski wraz ze złotym jako walutą narodową. Wystawa „ukazuje początki [złotego] oraz miejsce w systemie monetarnym Rzeczypospolitej szlacheckiej i w czasach zaborów. [...] historia złotego osadzona została w kontekście wydarzeń politycznych oraz zjawisk gospodarczych". Obok monet i banknotów pokazano m.in. ryciny, reprodukcje map, fotografie, a nawet opakowania po towarach. ©℗

GDZIE? ***Zamek Lubelski***
KIEDY? ***do 5 maja***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Czar Berlina

W 1977 r. David Bowie wraz z Iggym Popem zamieszkali w Berlinie Zachodnim. Cztery lata temu Bob Stanley z zespołu Saint Etienne i Jason Wood z Brtyjskiego Instytutu Filmowego skompilowali składankę „Cafe Exil: New Adventures in European Music 1972–1980", na której zebrali utwory, których Bowie i Pop mogliby słuchać podczas ich berlińskich lat. Teraz przygotowali kompilację, na której zebrali nagrania, które mogły być inspirowane płytami Bowiego.

Na „Fantastic Voyage" znaleźli się wykonawcy dziś już zapomniani (Basil Kirchin, Isabelle Mayereau, Chaz Jankel), oczekiwani (The Associates, Cabaret Voltaire, Ryuichi Sakamoto), a także weterani rocka artystycznego (Peter Gabriel, Robert Fripp, Holger Czukay). Nagrania są różnorodne pod względem stylistycznym, ale jednocześnie mają w sobie berliński mrok znany choćby z filmu „Opętanie". „Eisbär" zespołu Grauzone reprezentuje niemiecki ruch muzyczny Neue Deutsche Welle. Tria The Walker Brothers, popowych gwiazd lat 60. czy Daryla Halla, amerykańskiego gwiazdora soulowego, mało kto by się spodziewał w tym zestawieniu. Jednak ich eksperymentalne nagrania idealnie pasują do całości.

„Fantastic Voyage" jest nie tylko świetnie ułożoną składanką, lecz także przewodnikiem po jednym z najbardziej interesujących okresów w historii ambitnej muzyki rockowej. ©℗

★★★★★☆

RÓŻNI WYKONAWCY
„FANTASTIC VOYAGE: NEW SOUNDS FOR THE EUROPEAN CANON 1977–1981"
ACE

★★★★★☆

MILO ENSEMBLE FEAT. NILS PETTER MOLVÆR
„LIVE"
MILO

Podczas koncertu w maju 2023 r. do międzynarodowej formacji polskiego Greka dołączył norweski trębacz. „Chłodna" trąbka Nilsa doskonale współgra z rozwibrowanymi, gorącymi improwizacjami MILO Ensemble. ©℗

★★★★★☆

ØRGANEK
„MTV UNPUGGED"
MYSTIC

Głównym atutem wydawnictwa jest nieskrępowana atmosfera występu. Swingowy nastrój zapewnia czteroosobowa sekcja dęta. Lider doskonale się bawi, a z nim publiczność. Hity w bankietowym wydaniu brzmią świetnie, więc płytę polecam nie tylko zagorzałym fanom. ©℗

eprasa.pl 7b8aff7cae

Mrożek nieobezwładniony

FOT. KAROLINA JOZWIAK

Grzegorz Kondrasiuk

Czy obserwujemy powrót Mrożka z niebytu? A może nigdy nas nie opuścił, tylko mniej jest widoczny, funkcjonuje jako nieuświadamiany, ale istotny punkt odniesienia? Skoro już przyszło mi stawiać takie pytania, to trzeba na nie odpowiedzieć na teatralnym terenie

Nie ma nic bardziej „Mrożkowego" niż „Tango", pewnie dlatego, że sztuka ta na wiek wieków utkwiła w kanonie edukacyjnym, jest wtłaczana do głów. „Tango" ciągle gdzieś ktoś w teatrze robi, zapewne z myślą o maturzystach. Nie zdradzam tu wielkiej tajemnicy: teatry potrzebują maturalnego kanonu, z powodów frekwencyjnych. Jednak grywanie lektur w dużych ilościach, szczególnie w godzinach przedpołudniowych, zagraża obezwładnieniem najostrzejszej nawet literatury. Sprzyja uładzonej, jednokierunkowej (albo wręcz żadnej) interpretacji, stępianiu kantów i nieoczywistości, przenosi dzieło i pisarza w dziedzinę stereotypu, odbiera mu sensy poprzez wielokrotne, mechaniczne powtarzanie. Nie bez przyczyny do anegdoty przeszły przeprosiny Mrożka, wystosowane do napotkanego przypadkowo maturzysty. Mało wygodna to pozycja dla pisarza, który lubił prowokować, stawać w poprzek, mylić tropy i nie odpowiadać na pytania.

Bywa jeszcze gorzej, kiedy bierzemy do ręki recenzje co bardziej otumanionych krytyków albo po prostu program do spektaklu, dziś preparowany najczęściej jako narzędzie uwalniające widzów od kłopotu samodzielnego myślenia. Oprócz rzetelnej ściągawki dla licealistów (czemu nie?) można tam natknąć się na łatwizny będące właściwie obrazą dla każdego nieco bardziej wyrafinowanego pisarza, nie mówiąc już o Mrożku. Może się okazać, że jest on, zza grobu, a jakże, przenikliwym komentatorem naszej, a jakże, współczesności, bo piętnuje, smaga bezlitośnie, a jakże, polską głupotę i nasze, polskie, odwieczne, a jakże, cechy narodowe, z zaściankowością, ksenofobią i wstrętem do wartości europejskich.

Że płytko, prezentystycznie? Że zostajemy właściwie w przedsionku myślenia o tym dużym, długo powstającym i skomplikowanym wewnętrznie dorobku? I cóż z tego? Przecież teatr ma być dziś narzędziem samopotwierdzania się w myśleniu swoim i własnej światopoglądowej banieczki… Cóż z tego, że pisanie Mrożka stoi na antypodach myślowych łatwizn, i to pomimo tego, że, owszem, lubił polskość w sobie i w swoich rodakach posmagać bacikiem satyry.

A jednak przed takim teatralnym obezwładnieniem Mrożek obronił się w Teatrze Polskim, na „Tangu" w reżyserii Wawrzyńca Kostrzewskiego. Wystarczyło zrobić przedstawienie ostentacyjnie omijające jakiekolwiek współczesne aluzje, np. takie, w których Edek byłby tym, jakże wstrętnym każdemu oświeconemu widzowi, polskim chamem. A tak spektakl, którego premiera odbyła się przed ponad rokiem, uniknął błyskawicznej powyborczej dezaktualizacji.

Kostrzewski zrobił „Tango" przezroczyste, bez reżyserskiej pychy. Pozwolił po prostu wypowiedzieć się autorowi i znowu się okazało, że Mrożek napisał dramat tak samo nierozstrzygalny, jak nierozstrzygnięta jest rzeczywistość za naszymi oknami. Spod fabuły wychylają się podteksty filozoficzne, wciąż są możliwe odkrycia, nawet w tak zaczytanym tekście. Wychodzi na to, że dramaturg cenił sobie heglowską dialektykę pana i niewolnika albo że poczuł chęć odniesienia się do słynnego cytatu Marksa o tragedii i farsie (w dialogu Artura i Stomila: „– Tragedia to wielka forma, mocna. – Biedaku! Tak sądzisz? Czy nie wiesz o tym, że tragedia jest już dzisiaj niemożliwa? Rzeczywistość przeżre każdą formę, nawet taką. – Nic podobnego! Farsa i nic więcej. Dzisiaj tylko farsa jest możliwa. Dlaczego nie chcesz się z tym pogodzić? – Nie ma tragedii, bo już w nią nie wierzycie. – A dlaczego mielibyśmy wierzyć, jeśli łaska?"). W „Tangu" tak samo nie wierzył postępowcom, jak konserwatystom, pokazując i rewolucję, i restaurację jako puste gesty, i pewnie najbardziej o tym jest to przedstawienie.

Doświadczony zespół Polskiego gra co prawda z Mrożkiem w swoją grę, traktując go jako zabawnego komediopisarza, który pisał po to, żeby aktorzy mogli się porządnie nagrać, także siebie samych. Trudno w tym monolicie wskazać jakieś luki czy olśnienia, więc czuję się zwolniony z obowiązku wystawiania aktorom cenzurek, choć najbardziej przypadli mi do gustu nieprzesadny Edek (Wojciech Czerwiński) i manieryczna Ala (Anna Cieślak). I tak oto szybko kręci się obrotówka, coraz szybciej biegną sytuacje i w ogóle jest szybko i zabawnie, co w ogólnie nie przeszkadza w wybrzmieniu ogólnego pesymizmu. A licealistom w głowach się to nie mieści, i bardzo dobrze. ©℗

SŁAWOMIR MROŻEK, „TANGO"
TEATR POLSKI W WARSZAWIE
PREMIERA: 29 STYCZNIA 2023 R.
REŻYSERIA: WAWRZYNIEC KOSTRZEWSKI

eprasa.pl 7b8aff7cae

Jak prawnicy niszczą Rzeczpospolitą

Mikołaj Drozdowicz

Rolę dawnej rozpasanej magnaterii przejęła obecnie arystokracja prawnicza. Należy odebrać państwo oszalałym prawnikom, a przywrócić je obywatelom

Kiedy obserwuję współczesną polską rzeczywistość polityczną, przypomina mi się wiersz Wacława Potockiego „Nierządem Polska stoi". Ta XVII-wieczna fraszka o państwie i prawie poraża swoją aktualnością: „Co rok to nowe prawa i constitucye, ale właśnie w tej wadze jako minucye. Poty leżą na stole, poty nam się zdadzą. Póki astrologowie inszych nie wydadzą". To opowieść o słabości państwa i zmieniających się prawach niczym prognozy pogody astrologów. O nierówności wobec prawa, o uprzywilejowanych warstwach społecznych niezważających na dobro ojczyzny. I o konsekwencjach takiego stanu rzeczy, dla większości społeczeństwa opłakanych, a opisanych przez poetę słowami: „Że niejeden niestetyż z serdecznym dziś płaczem, z dziatkami cudze kąty pociera tułaczem".

Nie ulega wątpliwości, że rolę dawnej rozpasanej magnaterii przejęła obecnie arystokracja prawnicza. To osobliwa

eprasa.pl 7b8aff7cae

FOT. ADOBE STOCK

grupa społeczna. Ludzie w dużej części pozbawieni zasad, cyniczni, zaprzedający się interesom oraz ideologii. Niektórzy ukrywający ubiór za prawniczymi togami podkreślającymi elitarność, inni wręcz przeciwnie epatujący wyglądem. Jest nawet pewien kanon mody czy urody na prawnika z dużej warszawskiej kancelarii. Obowiązkowo okulary podkreślające status oraz inteligencję, modny garnitur, specyficzna fryzura i przede wszystkim przećwiczony frazes w ustach. A w zasadzie pełno frazesów. O kryzysie praworządności, obronie wartości i demokracji, równości i tolerancji. Najpoważniejszym atrybutem współczesnego prawnika jest umiejętność budowania narracji, a raczej wpisywanie się w trendy wyznaczane na antenie TVN czy na łamach „Gazety Wyborczej".

W zamian za podążanie z nurtem niektórzy dostają swoiste imprimatur. Od tej pory ich opowieść o prawie zastępuje samo prawo. Niech państwo zwrócą uwagę, że w wypowiedziach reżimowych prawników w zasadzie samo prawo się nie pojawia. Zamiast cytowania przepisów, wskazywania na źródło w postaci „Dziennika Ustaw" juryści z certyfikatem TVN posługują się „opiniami", powoływaniem się na „dominujący pogląd w doktrynie", „utrwaloną linią orzeczniczą" lub odwołaniem do „autorytetu", którym zazwyczaj jest jakiś emerytowany profesor najczęściej z biografią lub koneksjami rodzinnymi osadzonymi w strukturach PRL. Ponieważ prawo stało się wiedzą tajemną, nie ma obaw, że ktoś sprawdzi, zajrzy do „Dziennika Ustaw" czy zapyta.

NIESZCZĘŚCIE TRANSFORMACJI

Praprzyczyna obecnych nieszczęść tkwi w początkach transformacji ustrojowej na przełomie lat 80. i 90. XX w. Demokratyczne przemiany w tamtym okresie dotknęły niemal wszystkich instytucji państwa z wyjątkiem Wojskowych Służb Informacyjnych oraz… polskich sądów. Nie chodzi oczywiście o to, że sędziowie to komunistyczni oprawcy, malkontenci i ogólnie ludzie niskiej kondycji, jak to swego czasu próbowała przedstawiać rządowa propaganda.

Znam bardzo wielu sędziów i o większości z nich mam bardzo dobre zdanie jako o porządnych ludziach uczciwie wykonujących swoją pracę. Rzecz w tym, że z punktu widzenia ustrojowego władza sądownicza w Polsce zachowała ciągłość od czasów PRL. Obecni sędziowie swoją „sukcesję apostolską" wywodzą wprost od swoich poprzedników, w tym także od sędziów odbierających nominacje od Rady Państwa i gorliwie służących państwu komunistycznemu. Nawet jeżeli wśród obecnych sędziów niewielu posiada osobisty komunistyczny rodowód, to jednak cała władza sądownicza jest skażona owym grzechem pierworodnym braku demokratycznej legitymizacji swojej władzy. Skutkuje to licznymi patologiami w wymiarze sprawiedliwości, czyni działanie całego systemu wadliwym, niezależnie od postaw należących do niego jednostek.

Zanim PiS nie zajął się reformą sądów (notabene delikatnie ujmując, niezbyt udaną), sędziowie w niczym niezakłócony sposób wybierali sami siebie. W Krajowej Radzie Sądownictwa posiadali zapewnioną przez konstytucję większość, a do tego sędziowskich członków KRS wybierali… sami sędziowie. To tak, jakby zaprzestać organizacji wyborów parlamentarnych i uznać, że odtąd posłowie będą sami wybierać swoich następców na zasadzie kooptacji.

Ponieważ w odróżnieniu od prawniczych szamanów i hochsztaplerów w togach poważnie traktuję swój fach, powołując się na konkretne przepisy, stawiam pytanie: Jak tego rodzaju praktykę można pogodzić z art. 2 konstytucji, który stanowi, że Rzeczpospolita Polska jest demokratycznym państwem prawnym? Jak tego rodzaju sposób wyłaniania sędziów pozostawał w zgodzie z art. 4 ust. 1 konstytucji, zgodnie z którym władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej Polskiej należy do narodu? Czyli, owszem, możemy sobie wybierać władze ustawodawczą i wykonawczą. Ale co z tego, skoro nad nimi stoi nieskalana wolą ludu władza sądownicza, niepodlegająca żadnym regułom demokracji wbrew oczywistym zapisom ustawy zasadniczej? Zgodnie z art. 173 konstytucji sądy i trybunały są władzą odrębną i niezależną od innych władz, ale żaden przepis nie zwalnia sądów od zależności od narodu, który sprawuje władzę zgodnie z art. 4 ust. 2 konstytucji przez swoich przedstawicieli lub bezpośrednio.

Dokonana przez PiS zmiana sposobu wyboru sędziowskich członków KRS w istocie sprowadzała się do usunięcia wadliwej konstytucyjnie praktyki polegającej na uniezależnieniu sądów nie tylko od innych władz, lecz także od suwerena. Wybór 15 sędziowskich członków KRS przez Sejm, jak to ma miejsce obecnie, prowadzi do nadania sędziom legitymacji demokratycznej i jest przy tym w pełni zgodny z konstytucją. W art. 187 ust. 1 pkt 2 ustawy zasadniczej mowa jest tylko o tym, że KRS składa się m.in. z 15 członków wybranych spośród sędziów Sądu Najwyższego, sądów powszechnych, sądów

eprasa.pl 7b8aff7cae

administracyjnych i sądów wojskowych, nie wskazując, kto i w jakim trybie ma dokonać wyboru. Ponieważ podobno Polska ma być demokracją, niedopuszczalne byłoby ograniczanie stosowania jej reguł do jednej z władz, uznając, że może ona sama decydować o swojej obsadzie. Jest to zresztą oczywiste w świetle art. 187 ust. 4 konstytucji, który stanowi, że ustrój, zakres działania i tryb pracy Krajowej Rady Sądownictwa oraz sposób wyboru jej członków określa ustawa. I tylko tyle. Nigdzie nie ma ani słowa o tym, że sędziowie mają wybierać sami siebie. Warto zauważyć, że gdyby w narracji reżimowych prawników słowo praworządność zastąpić słowem demokracja, okazałoby się, że większość sędziów w Polsce działa nielegalnie, a może w ogóle nie dzierży władzy sądowniczej, bo w końcu żadna władza nie może pochodzić z innego źródła aniżeli z woli narodu.

SZALEŃCZY ATAK

Tymczasem na wprowadzone prodemokratyczne rozwiązania przypuszczono szaleńczy atak, co potwierdza wyłącznie tezę, że ukształtowana poprzednio praktyka ustrojowa nie miała na celu obrony interesów państwa i niezależności sądów, lecz wyłącznie uprzywilejowanie wąskiej grupy prawniczej arystokracji. KRS stała się „neo-KRS" przynajmniej do czasu, gdy jedna z posłanek zwana „Myszką-Agresorką", do tej pory aktywnie zwalczająca „upolityczniony" organ, za udział w jej pracach pobrała sowite honorarium. To dopiero przykład moralnego i intelektualnego upodlenia oraz sięgnięcia dna, którego może dostąpić w Polsce chyba tylko osoba zajmująca się zawodowo polityką.

Stawiam zresztą tezę, że dla większości osób wymachujących przez ostatnie lata konstytucją i uczestniczących w spazmatycznych lamentach nad rzekomym kryzysem praworządności kompletnie nie ma znaczenia to, w jaki sposób powołano sędziów rozpatrujących ich sprawy. Ponad 99 proc. spraw sądowych nie ma żadnych konotacji politycznych czy ideologicznych, a stawającego przed sądem obywatela obchodzi jedynie to, czy sędzia jest sprawny, umie przeciwdziałać przewlekłości, nie jest skorumpowany oraz czy wykazuje się elementarną empatią. To, kto i w jakim trybie został powołany na urząd sędziego, może natomiast mieć znaczenie w tych nielicznych sprawach, gdy stroną są politycy, celebryci czy ludzie zaliczani do tzw. salonu. Są to sprawy incydentalne, ale stanowiące probierz niezawisłości sędziowskiej. Tyle że dla każdego uczciwego obserwatora jest jasne, że w takich sprawach sądy zazwyczaj orzekały po myśli ludzi reprezentujących tzw. poglądy liberalno-lewicowe. Jeżeli natomiast ktoś broni kościołów przed agresją, sprzeciwia się homopropagandzie czy ogólnie reprezentuje tradycyjny, konserwatywny światopogląd, to może spodziewać się represji w doprawdy putinowskim stylu. I o to w sumie w tym wszystkim chodzi.

Można odnieść wrażenie, że spora część środowiska prawniczego poddała się narracji ekstremistów spod znaku stowarzyszenia Iustitia czy organizacji Wolne Sądy, ulegając antypaństwowej propagandzie, której skutki prawnicy odczują na własnej skórze w pierwszej kolejności. Wymienione organizacje, kwestionując w istocie status blisko 3 tys. sędziów powołanych przez prezydenta Andrzeja Dudę, sprowadzają na Rzeczpospolitą nieszczęście niczym nieokiełznany żywioł pustoszący instytucje państwa. Nie wiem, czy ludzie ci podejmują swoje działania z zemsty lub z innych niskich pobudek czy też rzeczywiście wierzą w słuszność swoich racji. Nie ma to w sumie większego znaczenia. Istotne jest to, że zakwestionowanie statusu sędziów poprzez twierdzenia o wadliwości ich powołania otwiera drogę do podważenia setek tysięcy orzeczeń sądowych, wydanych w indywidualnych sprawach obywateli niemających nic wspólnego z polityką. Nagle może okazać się, że w Polsce pełno jest mimowolnych bigamistów, którzy w dobrej wierze zawarli związek małżeński po uzyskaniu zakwestionowanego następnie wyroku rozwodowego. Ludzie mogą zacząć tracić majątki, przedsiębiorcy upadać, a na wolność będą wychodzić niebezpieczni przestępcy, których wyroki zostaną podważone przez grupę szaleńców w togach.

Istnieje prawdopodobieństwo, że Polska upadnie nie na skutek rozbiorów, wojny czy okupacji, ale na sali sądowej

MILCZENIE

I może do tego dojść nie dlatego, że każdy prawnik w Polsce to pozbawiony skrupułów cynik działający bez jakiegokolwiek osadzenia w pojęciu dobra wspólnego, racji stanu czy interesu państwa, ale dlatego, że większość środowiska prawniczego koniunkturalnie lub zwyczajnie ze strachu milczy. Jako że znam wielu sędziów i – jak już wspomniałem – generalnie mam o nich dobre zdanie, nie uwierzę w to, że palą się oni do weryfikacji orzeczeń wydanych na przestrzeni ostatnich lat przez ich kolegów wyłącznie ze względu na status obecnej KRS.

Jednak sędziowie w większości się nie wypowiadają, więc niech potem nie okazują zaskoczenia, gdy do ich decernatów wpłyną dziesiątki czy setki spraw przekazanych do ponownego rozpoznania. Niech się koledzy adwokaci i radcowie nie zdziwią, gdy będą do nich dzwonić przerażeni klienci, że nie dopilnowali spraw, które po wielu latach trafiły do punktu wyjścia. Nie będzie miało znaczenia, kto na kogo głosował, jaką telewizję ogląda i w co wierzy. Nieszczęście dotknie wszystkich równo. Państwo jest silne siłą swoich instytucji. Lecz gdy państwo słabnie albo upada, naród cierpi wspólnie. Poglądy i swary polityczne przestają mieć znaczenie. Sprzeciw wobec terroru praworządności jest dzisiaj nakazem rozumu, a nie kwestią poglądów politycznych. Należy bezwzględnie odebrać państwo oszalałym prawnikom, a przywrócić je obywatelom.

Skutki działalności współczesnej prawniczej arystokracji mogą być podobne do działań rozpasanej XVIII-wiecznej polskiej magnaterii. Istnieje prawdopodobieństwo, że w XXI w. Polska upadnie nie na skutek rozbiorów, wojny czy okupacji, lecz na sali sądowej. Tracąc niepodległość lub inne atrybuty państwowe, wskutek akcji podjętej przy udziale prawników walczących o „praworządność" „tolerancję" czy występujących w obronie interesów UE. I warto o tym pamiętać, emocjonując się bieżącymi wydarzeniami politycznymi, które niczym zła krew zatruwają wspólnotę narodową, odbierając ludziom rozum oraz zdolność do racjonalnej oceny rzeczywistości.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest prawnikiem i publicystą.

eprasa.pl 7b8aff7cae

Zalać świat migrantami

Mariusz Jagóra

ONZ destabilizuje światowy ład i porządek przez narzucanie państwom członkowskim realizacji lewackich ideologii zawartych w Agendzie 2030, takich jak migracja zastępcza. Skutki tego widać już w USA

W marcu 2000 r. Wydział Ludnościowy Departamentu Spraw Gospodarczych i Społecznych Organizacji Narodów Zjednoczonych opublikował raport „Migracja zastępcza: czy jest rozwiązaniem dla malejących i starzejących się populacji?".

Wydział ten monitoruje tendencje w zakresie płodności, umieralności i migracji we wszystkich krajach świata, co stanowi podstawę do sporządzania oficjalnych szacunków i prognoz ludnościowych ONZ. Wśród ujawnionych w badaniu z 2000 r. trendów demograficznych dwa były szczególnie, według ONZ, istotne: prognozowany spadek liczby ludności i starzenie się społeczeństwa. Koncentrując się na tych dwóch trendach, badanie dotyczyło kwestii migracji zastępczej jako optymalnego rozwiązania problemu malejących i starzejących się populacji. „Migracja zastępcza" odnosi się do migracji międzynarodowej, która byłaby potrzebna do zrównoważenia spadku liczby ludności w wieku produkcyjnym, a także do zrównoważenia ogólnego poziomu starzenia się populacji.

Z ustaleń raportu wynika, że w pierwszej połowie XXI w. populacje większości krajów rozwiniętych staną się mniejsze i starsze w wyniku spadku płodności poniżej poziomu zastępowalności pokoleń i zwiększonej długowieczności. Raport ostrzegał, że w przypadku braku migracji spadki wielkości populacji będą jeszcze większe niż prognozowane, a starzenie się populacji będzie szybsze. Niewielu ekspertów ONZ wierzyło, że płodność w większości krajów rozwiniętych powróci na tyle, aby osiągnąć poziom zastępowalności pokoleń w dającej się przewidzieć przyszłości, co sprawia, że spadek liczby ludności jest nieunikniony przy braku migracji zastępczej. Raport ostrzegał: „Przewidywany spadek liczby ludności i starzenie się społeczeństwa będą miały głębokie i dalekosiężne konsekwencje, zmuszając rządy do ponownej oceny wielu ustalonych polityk i programów gospodarczych, społecznych i politycznych, w tym tych związanych z migracją międzynarodową. Jeśli wiek emerytalny pozostanie na obecnym poziomie, zwiększenie liczby ludności w wieku produkcyjnym poprzez migrację międzynarodową jest jedyną opcją w perspektywie krótko- i średnioterminowej, aby zmniejszyć spadki potencjalnego współczynnika wsparcia".

Raport szacuje, że poziomy migracji potrzebne do zrównoważenia starzenia się społeczeństwa (czyli utrzymania potencjalnych wskaźników wsparcia) są niezwykle wysokie i we wszystkich przypadkach wiążą się z dużo większą imigracją, niż miało to miejsce w przeszłości: „W większości przypadków potencjalne współczynniki wsparcia można utrzymać na obecnym poziomie poprzez zwiększenie górnej granicy populacji w wieku produkcyjnym do ok. 75 lat. Nowe wyzwania związane z malejącą i starzejącą się populacją będą wymagały obiektywnej, dogłębnej i kompleksowej ponownej oceny wielu ugruntowanych polityk i programów gospodarczych, społecznych i politycznych. Takie ponowne oceny będą musiały uwzględniać perspektywę długoterminową. Krytyczne kwestie, które należy uwzględnić w tych ponownych ocenach, obejmowałyby: a) odpowiedni wiek emerytalny; b) poziomy, rodzaje i charakter świadczeń emerytalnych i opieki zdrowotnej dla osób starszych; c) aktywność zawodową; d) szacowane kwoty składek od pracowników i pracodawców na wsparcie świadczeń emerytalnych i opieki zdrowotnej dla rosnącej populacji osób starszych oraz e) polityki i programy związane z migracją międzynarodową, w szczególności migracją zastępczą, oraz integracją dużej liczby niedawnych migrantów i ich potomków".

W badaniu obliczono wielkość migracji zastępczej i zbadano możliwy jej wpływ na wielkość populacji i strukturę wiekową dla „wielu krajów, które mają wspólny wzorzec płodności poniżej poziomu zastępowalności. Analizie poddano osiem krajów: Francję, Niemcy, Włochy, Japonię, Republikę Korei, Federację Rosyjską, Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone. Uwzględniono również dwa regiony: Europę i Unię Europejską. Okres objęty badaniem wynosi ok. pół wieku, tj. od 1995 do 2050 r.".

Zgodnie z prognozami ONZ dotyczącymi populacji Japonia i praktycznie wszystkie kraje Europy miały zmniejszyć swoją populację w ciągu najbliższych 50 lat. Na przykład populacja Włoch, wynosząca w 2000 r. 57 mln, miała zgodnie z prognozami zmniejszyć się do 41 mln do 2050 r.

Raport ostrzega, że oprócz spadku liczby ludności Japonia i kraje Europy przechodzą stosunkowo szybki proces starzenia się: „W Japonii w ciągu następnego półwiecza mediana wieku populacji wzrośnie o ok. osiem lat, tj. z 41 do 49 lat. Oczekuje się, że odsetek japońskiej populacji w wieku 65 lat lub starszym wzrośnie z obecnych 17 proc. do 32 proc. Podobnie we Włoszech, mediana wieku populacji wzrośnie z 41 do 53 lat,

eprasa.pl 7b8aff7cae

a odsetek populacji w wieku 65 lat lub starszej wzrośnie z 18 do 35 proc.".

PIĘĆ SCENARIUSZY MIGRACJI

Opierając się na tych szacunkach i prognozach, w badaniu rozważono pięć różnych scenariuszy w odniesieniu do międzynarodowych strumieni migracji potrzebnych do osiągnięcia określonych celów populacyjnych, z których scenariusz V przewiduje migrację wymaganą do utrzymania stosunku populacji w wieku produkcyjnym do populacji w wieku emerytalnym (populacja w wieku 15–64 lat podzielona przez populację w wieku 65 lat lub starszą) na najwyższym poziomie.

Liczby migrantów w scenariuszu piątym, który utrzymuje potencjalny współczynnik wsparcia na stałym poziomie, są niezwykle duże. W przypadku Unii Europejskiej łączna liczba migrantów wynosi 674 mln (lub 13 mln rocznie).

Scenariusz piąty dla Unii Europejskiej utrzymuje współczynnik potencjalnego wsparcia na poziomie z 1995 r., czyli 4,3 osoby w wieku 15–64 lat na każdą osobę w wieku 65 lat lub starszą. Aby utrzymać współczynnik potencjalnego wsparcia na stałym poziomie, Unia Europejska musiałaby przyjąć 701 mln imigrantów w latach 1995–2050, czyli średnio 12,7 mln rocznie. Szczytowy poziom zostanie osiągnięty w latach 2030–2035, przy 20,3 mln imigrantów netto rocznie. Do 2050 r., z całkowitej populacji wynoszącej 1,2 mld, 918 mln, czyli ok. 75 proc., stanowiliby imigranci po 1995 r. lub ich potomkowie.

Według ONZ, jeśli migracja zastępcza miałaby zostać wykorzystana jako mechanizm podtrzymujący współczynnik potencjalnego wsparcia w Unii Europejskiej na obecnym poziomie, to do 2050 r. całkowita populacja Unii Europejskiej wzrosłaby do ponad trzykrotności obecnego poziomu. W tym procesie udział Unii Europejskiej w światowej populacji wzrósłby ponaddwukrotnie, z 6,6 proc. w 1995 r. do 13,8 proc. w 2050 r. Ponadto trzy czwarte całkowitej populacji w 2050 r. stanowiliby migranci spoza obecnych granic Unii po 1995 r. oraz ich potomkowie.

W przypadku braku migracji obliczenia zawarte w niniejszym raporcie wskazują, że górna granica wieku produkcyjnego musiałaby zostać podniesiona do ok. 76 lat w Unii Europejskiej, aby w 2050 r. uzyskać ten sam współczynnik potencjalnego wsparcia obserwowany w 1995 r., czyli 4,3 osoby w wieku produkcyjnym na osobę starszą.

Scenariusz V dla Stanów Zjednoczonych utrzymuje współczynnik potencjalnego wsparcia na poziomie z 1995 r., czyli 5,2 osoby w wieku 15–64 lat na każdą osobę w wieku 65 lat lub starszą. Aby utrzymać ten współczynnik na stałym poziomie, w latach 1995–2050 konieczne byłoby przyjęcie 593 mln imigrantów, czyli średnio 10,8 mln rocznie. Do 2050 r. z całkowitej populacji Stanów Zjednoczonych wynoszącej 1,1 mld, 775 mln, czyli 73 proc., stanowiliby imigranci przybyli po 1995 r. lub ich potomkowie.

SCENARIUSZ PIĄTY W USA

To, co obecnie obserwujemy na południowej granicy Stanów Zjednoczonych – kontrolowana nielegalna migracja – jest przykładem implementacji propagowanej od 2000 r. przez Organizację Narodów Zjednoczonych „Migracji Zastępczej" (Replacement Migration).

Stany Zjednoczone znajdują się na krawędzi wybuchu wojny domowej. Zaostrzająca się walka pomiędzy gubernatorem Teksasu Gregiem Abbottem a administracją Bidena w sprawie południowej granicy wywołuje obawy, że w USA może wybuchnąć wewnętrzny konflikt, który może grozić rozpadem państwa federalnego. Tymczasem Organizacja Narodów Zjednoczonych i powiązane z nią organizacje (UNICEF, UNHCR/ACNUR, OIM, PADF, Czerwony Krzyż, HIAS, EU, Lekarze bez Granic, Norwegian Refugee Council, Pueblo Sin Frontera) aktywnie pracują nad rozkładem amerykańskiej republiki poprzez realizację zakrojonego na skalę przemysłową programu migracyjnego. Organizacja Muckraker.com, która przeszła cały szlak imigracyjny od Ameryki Południowej aż do granicy Meksyk-USA, ostrzega, że narkoterrorystyczne organizacje kartelowe kontrolują całą południo-

eprasa.pl 7b8aff7cae

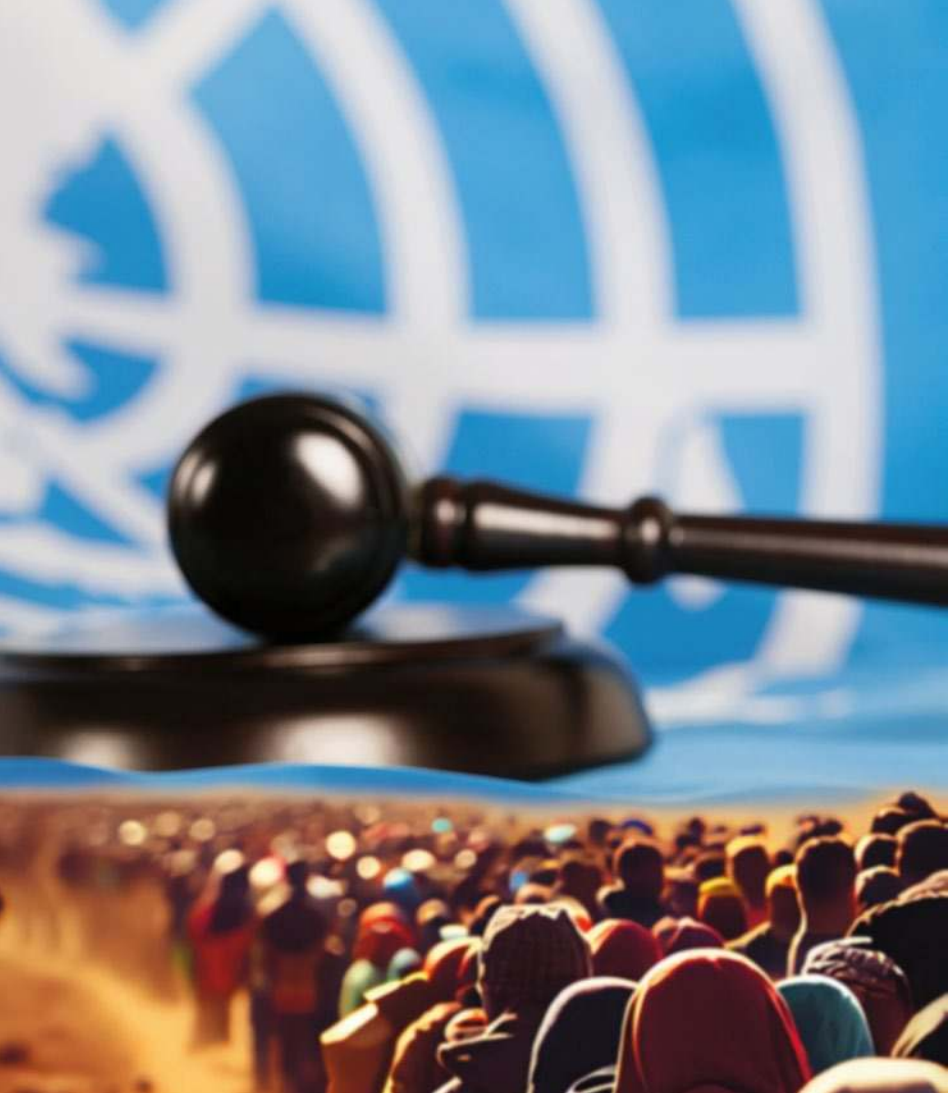

FOT. ADOBE STOCK/12 KREDEK

wą granicę USA. Każdego dnia tysiące nieznanych osób z całego świata w wieku wojskowym infiltrują Amerykę. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że mamy do czynienia z terrorystami, sabotażystami, szpiegami i innymi osobami zagrażającymi bezpieczeństwu USA. Istnieje też coraz większe zagrożenie ustanowienia stałego państwa jednopartyjnego – jednym z celów nielegalnej migracji jest zapewnienie głosów słabnącemu w sondażach Bidenowi. Szkoły służą jako schroniska dla nielegalnych imigrantów. Każdej nocy tysiące weteranów śpią bez dachu nad głową na ulicach, podczas gdy nielegalni cudzoziemcy, którzy nie wnieśli nic dla Ameryki, śpią w pokojach hotelowych za darmo. Istnieją plany dopuszczenia nielegalnych imigrantów do legalnego głosowania.

Tucker Carlson na swoim kanale Tuckercarlson.com mówi bez ogródek: „To jest inwazja. Kraj, w którym dorastaliśmy, już nie istnieje. Ameryka wkrótce będzie nie do poznania. Dlaczego nasi przywódcy na to pozwalają? Cóż, ich celem jest zmiana demografii. Od tego, kto tu mieszka, zależy, jak będzie ten kraj wyglądał. Amerykanie są »zastępowani«. To nie jest teoria spiskowa. To fakt. W sierpniu 2023 r. nielegalna imigracja przewyższyła liczbę urodzeń Amerykanów, tworząc zupełnie nową populację. Tylko w ubiegłym roku przez naszą południową granicę nielegalnie przybyły ponad 3 mln osób. Opłacani przez nas politycy sprzedali nas i zniszczyli to, co zbudowali nasi przodkowie. Proszę spojrzeć na nasze miasta – one upadają. To piekło. Powodem jest imigracja. Miasto Chicago było w trudnej sytuacji, jeszcze zanim Joe Biden otworzył granicę. Teraz jego część w zasadzie nie nadaje się do zamieszkania. Nawet socjalistyczny burmistrz Chicago twierdzi, że miasto pęka pod naporem imigrantów".

Realizacja polityki migracyjnej ONZ destabilizuje politycznie, gospodarczo i demograficznie Stany Zjednoczone, tworząc niebezpieczną groźbę rozpadu federacji. Gubernator Teksasu Greg Abbott wystosował list do administracji Bidena, w którym ostrzega: „Za sprawą bezprawnej polityki granicznej prezydenta Bidena ponad 6 mln nielegalnych imigrantów przekroczyło naszą południową granicę w ciągu zaledwie trzech lat. To więcej niż populacja 33 różnych stanów w tym kraju. Ta bezprawna odmowa zapewnienia ochrony stanom wyrządziła bezprecedensową krzywdę ludziom w całych Stanach Zjednoczonych". Abbott twierdzi, że stan Teksas ma na mocy konstytucji stanowej prawo do ochrony własnego terytorium. Władza ta jest najwyższym prawem tego stanu i zastępuje wszelkie ustawy federalne stanowiące inaczej. Gubernator Teksasu sprzeciwił się więc orzeczeniu Sądu Najwyższego, który w styczniu 2024 r. orzekł przeciwko Teksasowi, stosunkiem głosów 5 do 4, i zezwolił siłom US Border Patrol na przecięcie drutu kolczastego zainstalowanego przez Gwardię Narodową Teksasu. Gubernator Abbott odmówił wykonania wyroku i nakazał Gwardii Narodowej zintensyfikowanie procedur instalowania drutu kolczastego. Dodatkowe zasieki pokryły prawie całą Rio Grande. W ślad za tym 25 innych stanów z republikańskimi gubernatorami podpisało list, w którym zadeklarowało swoje poparcie dla Teksasu i jego konstytucyjnego prawa do obrony tego stanu i całego kraju. Te stany to Ohio, Floryda, Utah, Nevada i wiele innych. Jednym z najbardziej prominentnych z nich jest gubernator stanu Oklahoma, Kevin Stitt, który rozpoczął już ustalanie liczby żołnierzy, których wyśle ze swojej Gwardii Narodowej. Administracja Bidena zareagowała, nakładając na te stany, a w szczególności na Teksas, 24-godzinny termin, w którym patrol graniczny ma ponownie otworzyć granicę i zdjąć drut kolczasty, w przeciwnym razie wyśle siły Straży Granicznej, aby same je usunęły. Niebezpieczeństwo polega jednak na tym, że druty te są chronione przez Gwardię Narodową, co stwarza możliwość wybuchu konfliktu zbrojnego między ramionami amerykańskiego rządu. Gubernator Teksasu zapowiedział kontynuację rozmieszczania zasieków, rozmieszczenie sił zbrojnych i ostrzegł, że jest gotowy na każdą ewentualność.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7b8aff7cae

Z aborcją na sztandarze

Bogdan Chazan

Do propagandy politycznej wspierającej większą dopuszczalność aborcji używa się tragicznych sytuacji, które z aborcją nie mają nic wspólnego

FOT. ADOBE STOCK

Adam Niedzielski, minister zdrowia w rządzie PiS, po kilku tragicznych przypadkach zgonów matek podczas ciąży i porodu zdecydował powołać w Ministerstwie Zdrowia zespół, który miał opracować wytyczne postępowania w przypadkach ciężkich powikłań położniczych, by uniknąć podobnych przypadków w przyszłości. Koła liberalne i ich media przygotowały własną wersję tych wydarzeń i w sposób dość sztuczny oraz niespójny połączyły tragiczne zgony z obowiązującym prawem dotyczącym aborcji, a zwłaszcza z orzeczeniem Trybunału Konstytucyjnego 2021 r., który uznał aborcję z powodów eugenicznych (wad wrodzonych i chorób płodów) za niezgodną z konstytucją. Ta zbitka faktów z dorobioną ich interpretacją nadal funkcjonują w przestrzeni publicznej. Doszło do tego, że panie oświadczają, iż nie będą zachodzić w ciążę, ponieważ boją się, że w przypadku wykrycia nieprawidłowości rozwojowych lub chorób u dziecka nie będą mogły przerwać ciąży, czyli mówiąc prostszym językiem, zabić swojego dziecka. Trochę to dziwne. Zaakceptuję swoje dziecko, pod warunkiem że będzie zdrowe…

Opublikowano bardzo smutne dane dotyczące liczby urodzeń w ubiegłym roku w Polsce, która okazała się o 30 tys. mniejsza niż w roku 2022. Tylko patrzeć, jak się „okaże", że winne jest prawo aborcyjne. Chociaż prawdopodobny jest związek spadku liczby urodzeń z czynnikami kulturowymi, miejscem dzieci w systemie wartości, niechęcią do poświęceń dla własnego dziecka, zdrowego czy chorego.

Prasa donosiła, że dochodzenia wykazały, iż przyczyną niedawnych zgonów matek w Polsce były błędy w postępowaniu medycznym. Trudno zrozumieć często powtarzane w mediach tłumaczenie, jakoby lekarze opiekujący się matką nie wykonali niezbędnych procedur, ponieważ byli „zmrożeni" przez obowiązujące prawo aborcyjne, bali się odpowiedzialności prawnej i czekali z dalej idącą interwencją, aż ustanie praca serca dziecka. Nie są mi znane przypadki ukarania lekarza za energiczne ratowanie matki w ciąży, podczas którego umarło dziecko.

Konsultanci krajowi w dziedzinie położnictwa i ginekologii oraz perinatologii wydali szczegółowe wytyczne postępowania w przypadkach powikłań, które były przyczyną zgonów matek. Intencją pana ministra Adama Niedzielskiego było prawdopodobnie dalsze uszczegółowienie tych wytycznych przez nowy zespół. W kręgach prawicowych zaczęto też podejrzewać, że zespół miał odnosić się do wykonywania w tych przypadkach aborcji, co wywołało protesty. Pan poseł Grzegorz Braun protestował na miejscu, w Ministerstwie Zdrowia. Wyniki prac zespołu nie zostały opublikowane.

LUZOWANIE BEZ USTAWY

Po zmianie rządu i objęciu stanowiska ministra zdrowia przez panią Izabelę Leszczynę sprawa wróciła. Jednak

eprasa.pl 7b8aff7cae

uchwalenie ustawy, która zakładałaby większą dopuszczalność aborcji, stoi pod znakiem zapytania. Minister przygotowuje więc „wiele uchwał i rozporządzeń", które sprawią, że wykonanie aborcji stanie się łatwiejsze bez zmiany ustawy. Wytyczne, które opracował zespół powołany przez jej poprzednika, są jej zdaniem „niesatysfakcjonujące" i trzeba będzie do końca lutego przedstawić nowe zalecenia opracowane przy udziale Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny, a nie profesorów medycyny, oparte na wytycznych Światowej Organizacji Zdrowia (WHO). To źle wróży. Można spodziewać się powrotu do przedstawiania aborcji jako prawa kobiet (bo przecież nie zabijanych dzieci).

W krajach afrykańskich WHO walczy ze zgonami matek poprzez szeroką podaż antykoncepcji i propagowanie aborcji według zasad: mniej ciąż i porodów to mniej zgonów matek. Kraje zachodnie warunkują przyznawanie krajom afrykańskim pomocy finansowej ich zgodą na obecność „w pakiecie" aborcji i antykoncepcji. Pamiętamy, jak drużyny piłkarskie krajów zachodnich klękały na murawie, przepraszając kraje afrykańskie za lata prześladowań. Podejście kolonialne jednak nie zanikło i obecnie wraca pod hasłem: „My wiemy lepiej, co dla was jest potrzebne". Za to też kiedyś będą przepraszać.

Z pewnością w wytycznych nowego ministerialnego zespołu pojawi się sprawa okołoporodowych zgonów matek jako argument większej dopuszczalności aborcji. Działaczki organizacji feministycznych będą wytykać lekarzom ich „lękliwe" podejście do wykonywania aborcji i zachęcać do jej proponowania przy każdej nadarzającej się okazji, pod byle pretekstem, a już z pewnością wtedy, kiedy matka poczuje jakiś lęk na początku ciąży. Pojawia się on prawie w każdej ciąży, ale tutaj zostanie zwielokrotniony na papierze i pod hasłem „zaburzeń adaptacyjnych" matek niewinne dzieci zostaną bez sądu przeznaczone na śmierć.

Czasem, również w medycynie, pojawia się tendencja do nazywania rzeczy niezgodnie z rzeczywistością. Na przykład o matce w ciąży mówi się, że to przyszła matka, tak jakby to dziecko, które jest w jej brzuchu, było przyszłym, a nie jak najbardziej realnym dzieckiem. Niezgodnie z faktami klinicznymi WHO zaczęła mówić, że ciąża rozpoczyna się nie w momencie zapłodnienia, ale zagnieżdżenia zarodka w macicy. Chodzi o to, aby nie można było mówić o poronnym działaniu środków zaburzających zagnieżdżanie. Nie było ciąży, więc nie było poronienia.

Podobnie zakończenie ciąży w przypadkach poronienia samoistnego, poronienia septycznego, urodzenie dziecka, by ratować życie matki w innych ciężkich powikłaniach ciąży, zaczęto nazywać aborcją. Może po to, aby personel medyczny oswoić z tym terminem, aby lekarz, który wykonywał procedurę kończącą poronienie samoistne, dowiadywał się ze zdumieniem, że właśnie wykonał aborcję. W naukowej literaturze medycznej są prace, których autorzy dostrzegają ten problem językowy i apelują o właściwe nazewnictwo procedur. Sytuację, kiedy doprowadzono do urodzenia dziecka, bo w inny sposób nie można było uratować życia matki, proponują nazywać „ukończeniem ciąży", „oddzieleniem płodu od matki". Do śmierci dziecka może doprowadzić operacja wyrostka robaczkowego, wycięcie torbieli jajnika podczas ciąży czy wycięcie macicy. Ale w żadnym z tych przypadków nie można mówić o aborcji.

CZYM JEST ABORCJA

Postępowanie medyczne w przypadkach ciężkich powikłań położniczych (krwotoku, rzucawki, sepsy), w wyniku którego doszło do zgonu dziecka, nie jest więc aborcją, jak o tym mówią lewicowe media. Aborcja to działanie medyczne bezpośrednio ukierunkowane na życie dziecka przed urodzeniem (mówiąc medycznym językiem, „zarodka" czy „płodu"), którego celem jest zabicie dziecka. W przypadku postępowania ratującego życie matki, które zwykle jest skomplikowane i długotrwałe, śmierć dziecka jest „ubocznym" – to nie znaczy, że nieważnym – jego wynikiem. Sytuację tę można porównać z opisywaną przez prawo sytuacją wyższej konieczności. Niektórzy moraliści sytuację tę nazywają „podwójnym efektem" czynności medycznych, których rezultaty są jednocześnie dobre (uratowania matki) i złe (śmierć dziecka).

Pojawiają się głosy w literaturze medycznej, że w nowoczesnym położnictwie aborcja nie będzie potrzebna. Sytuacje kliniczne, w których ciąża staje się prawdziwym niebezpieczeństwem dla życia matki, są coraz rzadsze. Wrodzone wady serca u przyszłych matek skutecznie się leczy, inne choroby dzięki postępom medycyny nie stanowią już tak jak kiedyś przeciwwskazania do zajścia w ciążę. Okazało się, że w przypadkach nowotworów można przedłużyć ciążę do momentu uzyskania przez dziecko zdolności do życia poza organizmem matki, bezpiecznie dla dziecka podawać matce podczas ciąży chemioterapię i urodzić wcześniej przez cięcie cesarskie, korzystając z postępów neonatologii, która potrafi utrzymać przy życiu niedonoszone dziecko. W sytuacji ciężkiej choroby matki towarzyszącej ciąży procedura aborcji, zwłaszcza w zaawansowanej ciąży, stwarza dla niej niebezpieczeństwo porównywalne z porodem.

To przykre i trudno zrozumiałe, że do bieżącej propagandy politycznej w kierunku wsparcia większej dopuszczalności aborcji korzysta się z tragicznych sytuacji niemających z aborcją nic wspólnego. Powodu można się domyślać. Kilka lat temu w Irlandii w podobnych okolicznościach jak w Pszczynie [sprawa przedstawiana w mediach jako zwlekanie z aborcją, zakończone zgonem matki na sepsę – przyp. red.] zmarła kobieta. Skoordynowana intensywna akcja kół lewicowych i feministycznych spowodowała dyskusję w irlandzkim społeczeństwie i w następstwie w irlandzkim parlamencie. Skutkowało to zmianą prawa dotyczącego warunków dokonywania aborcji i oczywiście szerszą dostępność tej procedury. W Polsce w tym celu uruchomiono liczne zadymy uliczne, z atakami na kościoły włącznie. Nie wpłynęło to na ówczesny polski Sejm. Teraz sytuacja jest inna. Każdy argument, nawet mocno naciągany, może się władzy przydać, by przeciągnąć na aborcyjną stronę niezdecydowanych posłów.

Dobrze jest wiedzieć, na czym rzecz polega, mieć oczy i uszy otwarte i szybko reagować na próby przeinaczania rzeczywistości, naginania faktów, zmian słownictwa. Trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że chodzi o większą liczbę zabijanych w majestacie prawa dzieci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest profesorem położnictwa i ginekologii, członkiem Rządowej Rady Ludnościowej, wiceprezydentem Europejskiej Federacji Stowarzyszeń Lekarzy Katolickich FEAMC, wiceprezesem Katolickiego Stowarzyszenia Lekarzy Polskich, członkiem Rady MaterCare International – organizacji pomagającej matkom w Afryce.

eprasa.pl 7b8aff7cae

Chrystus przemocowiec?

Paweł Chmielewski

W epoce totalnej inkluzywności było tylko kwestią czasu, kiedy Jezus Chrystus zacznie być oskarżany o głęboką nietolerancyjność i różne formy szowinizmu. Jako ograniczonego człowieka (bo przecież nie Boga), który postępował wykluczająco i rygorystycznie, przedstawia Zbawiciela wydana właśnie w Polsce książka „Chrześcijaństwo. Amoralna religia". Nie tylko ona

Cancel culture wcześniej dotknęła już św. Pawła Apostoła. Paweł w kilku listach ostro potępia homoseksualizm; dosłowne przyjęcie jego nauk oznaczałoby, że nawet najbardziej progresywny współczesny chrześcijan nie mógłby uznać homoseksualizmu za coś normalnego i dopuszczalnego moralnie.

Dwudziestowieczni egzegeci niemieckojęzyczni i amerykańscy doszli zatem do wniosku, że Paweł potępiał homoseksualizm wyłącznie ze względu na własne kulturowe ograniczenia. Obracając się w świecie grecko-rzymskim, widział tylko dwa typy jednopłciowych relacji seksualnych: pierwszy z nich opierał się na czystym pożądaniu, można rzec – poszukiwaniu nowych wrażeń cielesnych; drugi – na przemocy, to jest wykorzystywaniu dorastających chłopców przez dorosłych mężczyzn. W związku z tym Apostoł Narodów nie był w stanie dostrzec fenomenu „autentycznej miłości homoseksualnej". Gdyby nie jego kulturowe klapki na oczach, nie potępiłby w czambuł homoseksualizmu. W konsekwencji progresywna egzegeza zaproponowała zlekceważyć nauki Pawła na temat relacji jednopłciowych.

Co już dawno temu zrobiono z Pawłem, teraz spotyka Jezusa – a „kancelowania" Zbawiciela dopuszczają się ludzie, wydawałoby się, poważni. Czytelnik zna na pewno słynne włoskie czasopismo jezuickie „La Civiltà Cattolica", wydawane od 1850 r. Każdy jego numer jest przygotowywany we współpracy ze Stolicą Apostolską, stąd kierownictwo czasopisma stanowią ludzie darzeni zaufaniem przez Kurię Rzymską albo nawet osobiści przyjaciele papieży. W 2011 r. redaktorem naczelnym został o. Antonio Spadaro, jezuita cieszący się sympatią kurialistów pracujących z Benedyktem XVI. W 2013 r. Spadaro przeprowadził obszerny wywiad z papieżem Franciszkiem. Bardzo się polubili; w efekcie szef „La Civiltà Cattolica" zyskał opinię jednego z głównych „interpretatorów" papieża. Mówiło się, że należy nawet do wąskiego kręgu doradców Franciszka. Kilka miesięcy temu Spadaro odszedł z redakcji; papież zdecydował o jego promocji – uczynił go podsekretarzem w Dykasterii ds. Kultury i Edukacji, tym samym otwierając przed nim możliwości dalszych awansów w Kurii Rzymskiej.

ZIARNO REWOLUCJI

Franciszkowi nie przeszkadzało, że o. Spadaro ma ewidentny problem z wiarą… w boskość Chrystusa. W 2020 r. Spadaro zaczął pisywać do lewicowej włoskiej gazety „Il Fatto Quotidiano". W sierpniu tego roku jezuita opublikował tam komentarz do fragmentu Ewangelii św. Mateusza mówiącego o rozmowie Zbawiciela z kobietą z Kanaanu. Ewangelista opowiada, że kobieta, spotkawszy Jezusa, poprosiła Go o uwolnienie córki od złego ducha. Jezus początkowo się do niej nie odezwał, a Jego uczniowie prosili Go, aby ją odprawił. Zbawiciel wprawdzie tego nie uczynił, ale powiedział im, że został posłany tylko do Żydów. Kobieta jednak dalej prosiła; Jezus wreszcie się do niej zwrócił, ale tylko po to, by wskazać na swoją misję wśród Żydów, a nie pogan. Kobieta mimo wszystko naciskała. Okazała dużą pokorę. Wtedy Jezus ustąpił: „O niewiasto, wielka jest twoja wiara; niech ci się stanie, jak chcesz!". Córka kobiety została uzdrowiona.

Tradycyjna katolicka egzegeza widziała w pozornie zadziwiającym zachowaniu Jezusa ważny znak. Zbawiciel chciał pokazać siłę ustawicznej modlitwy i wytrwałej wiary; pozwolił, aby ujawniły się cnoty kobiety, o której wiedział, jak jest doskonała; wreszcie oczekiwał, że to sami uczniowie wstawią się za proszącą.

Ojciec Spadaro widzi to jednak inaczej. Dla niego Jezus okazał się… de facto grzesznikiem, który potrzebował nawrócenia. Jezuita stwierdził, że Jezus okazał „twardość"; był „teologiem", który zdaje się wierzyć w abstrakcyjne ogólne normy i nie chce okazać miłosierdzia. Potraktował kobietę „kpiąco i z lekceważeniem". Autor komentarza dostrzegł u Chrystusa „spadek tonu, stylu, człowieczeństwa"; Jezus wyglądał, jakby „zaślepił go nacjonalizm i rygoryzm teologiczny". Dopiero zgrabna retoryka kobiety „podważyła sztywność Jezusa" i Zbawiciel został „nawrócony na siebie". „Jezus również wydaje się uzdrowiony, a ostatecznie okazuje się wolny od sztywności dominujących elementów teologicznych, politycznych i kulturowych swoich czasów" – podsumował Spadaro, dodając, że tkwiło w tym „ziarno rewolucji".

Jeżeli Spadaro miałby rację, to kim byłby Jezus? Przecież nie prawdziwie Bogiem, skoro ewidentnie grzeszył (!) nacjonalizmem, rygoryzmem, sztywnością, pogardą… Zostawię jednak na boku tę potencjalną chrystologiczną herezję włoskiego jezuity; niech zajmą się tym odpowiednie urzędy watykańskie (pobożne życzenia…). To, co z perspektywy problematyki inkluzywnej wydaje się w artykule szczególnie interesujące, to skrajnie ideologiczny sposób interpretacji Ewangelii. Spadaro dlatego odrzuca wszelkie klasyczne odczytania spotkania Chrystusa z kobietą kananejską, nawet jeżeli doskonale objaśnili je św. Hieronim,

eprasa.pl 7b8aff7cae

św. Tomasz i inni wielcy autorzy, bo dla niego najważniejsze jest toczyć walkę z „rygoryzmem teologicznym" i wynajdywać biblijne podstawy pod totalną inkluzję. Jezuita oskarżył samego Zbawiciela o liczne przywary intelektualne, żeby wykorzystać Go jako narzędzie do rewolucjonizowania współczesnej nauki Kościoła. Niech państwo spojrzą, zdaje się nam mówić Spadaro: Nawet Jezus był ograniczony, nawet on musiał przezwyciężać swoją „sztywność" i „rygoryzm", a co dopiero my, Jego uczniowie, którzy odrzucamy dziś ateistów, homoseksualistów, buddystów, mahometan i Bóg wie, kogo jeszcze… Nie jest przypadkiem, że gdy zakończył się w październiku tego roku rzymski Synod o synodalności, o. Spadaro nie krył zadowolenia. W dokumencie przyjętym przez zgromadzenie synodalne obradujące pod okiem papieża zawarto mianowicie stwierdzenie, zgodnie z którym katolicka antropologia jest „niewystarczająca" i wymaga zmian podyktowanych współczesną kulturą i rozwojem nauk, wymaga otwartości… O to zabiegali progresiści! Skoro trzeba „rewolucji", to o. Spadaro znajdzie już na pewno odpowiednie biblijne passusy, czyniąc z Pana Jezusa patrona „sztywnych" teologów potrzebujących nawrócenia na inkluzję homoseksualistów.

„PRZEMOCOWE" KAZANIE

Prezentacja Jezusa jako rygorysty, który traktuje ludzi z pogardą, nie jest wyłączną domeną intelektualnie zdeprawowanych elit watykańskich. Wchodzi również pod strzechy, niestety – także polskie. Chodzi o opublikowaną na początku listopada książkę, wspomnianą na początku pracę „Chrześcijaństwo. Amoralna religia". To dzieło Ireneusza Ziemińskiego, filozofia religii z Uniwersytetu Szczecińskiego, oraz Artura Nowaka, prawnika od lat zajmującego się walką z duchowieństwem i religią w Polsce. Nie byłoby sensu zajmować się tą publikacją, gdyby nie to, że jest agresywnie promowana przez takie media jak „Gazeta Wyborcza", Onet czy OKO.press.

Metoda, którą w swojej książce posługują się Ziemiński i Nowak, jest wręcz komicznie niepoważna. Przykład: ewangeliczną opowieść o dobrym pasterzu, który pozostawia całe stado owiec po to, by odszukać jedną zabłąkaną, autorzy sprowadzają do absurdu i przeciwieństwa: twierdzą, że owca się zbuntowała, a pasterz wyrusza na jej poszukiwanie, bo chce zmusić ją do pozostania w kontrolowanej przez siebie gromadzie! Ziemiński, który wziął na siebie główny ciężar medialnego promowania książki, przekonuje, że chce pokazać, iż Kościół jest z gruntu zły, bo… zły był jego założyciel, Jezus. A zło Jezusa polegało na braku inkluzywności – np. „Kazanie na górze" jest tekstem głęboko przemocowym. Dlaczego? Bo obiecuje zbawienie tym ludziom, którzy zamiast buntować się przeciwko uciskowi i walczyć o swoje, będą cierpieć w pokorze, wierząc w Jezusa; według Ziemińskiego to zachęta do ślepego poddaństwa opresyjnej władzy no i oczywiście niegodziwe wykluczenie z możliwości zbawienia tych, którzy w Jezusa nie wierzą. Ziemiński, dokładnie tak jak o. Spadaro, oskarża też Jezusa o nacjonalizm. Chrystus miałby posługiwać się „obraźliwymi, plemiennymi, wykluczającymi epitetami", takimi jak „chwasty, żmije, psy, wieprze". Używał „określeń, które były i są stygmatyzujące i obraźliwe" – przekonuje szczeciński wykładowca filozofii. Dlatego trzeba skończyć z hasłem „Bóg tak, Kościół nie". Problemem nie jest Kościół, „problemem" jest Jezus.

W takiej inkluzywistycznej narracji z Syna Bożego i Zbawiciela ludzkości Chrystusa robi się zwykłego, zacofanego przemocowca; ekskluzywistę, który nawet jeżeli kiedyś powiedział albo zrobił coś „włączającego", to tylko dzięki temu, że inni ludzie pomagali Mu przezwyciężyć własne ograniczenia. Jezusa należy zatem albo wymazać (propozycja Ziemińskiego/Nowaka), albo zinterpretować ideologicznie (koncepcja Spadaro). Niestety, choć te idee mogłyby wydawać nam się skrajne i odległe od rdzenia Kościoła, jest inaczej: przecież wielu wysoko postawionych hierarchów hołduje inkluzywizmowi.

Co już dawno zrobiono z Pawłem, teraz spotyka Jezusa – a „kancelowania" Zbawiciela dopuszczają się ludzie, zdawałoby się, poważni

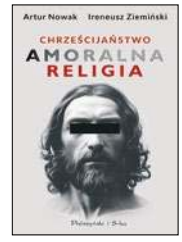

ARTUR NOWAK, IRENEUSZ ZIEMIŃSKI „CHRZEŚCIJAŃSTWO. AMORALNA RELIGIA" PRÓSZYŃSKI I S-KA, 2023

„EKSKLUZYWNY", BO… WYMAGAJĄCY

Nie jest chyba przypadkiem, że Franciszek tak chętnie publikuje dokumenty poświęcone ekologii albo ogólnoludzkiemu braterstwu, w których o Jezusie prawie się nie wspomina. Chrystus ma przecież wymagania: chce, aby w Niego wierzyć, chce nawrócenia, wymaga zmiany życia, otwarcia na prawo naturalne i moralność. Wymagający Chrystus jest siłą rzeczy „ekskluzywny" – nie wszyscy mają do Niego równy przystęp. W „Kościele synodalnym", który skupia się na obalaniu kolejnych elementów własnego nauczania po to, żeby szeroką drogą wpuścić do środka każdego, nie bacząc na zatwardziałość jego grzechu czy brak wiary, dla Chrystusa po prostu nie ma już miejsca. Dlatego Ziemiński i Nowak mają chyba w jednym rację: liberalny inkluzywizm jest po prostu nie do pogodzenia z chrześcijaństwem. Totalna inkluzja rzeczywiście musi odrzucić Chrystusa i budować świat na innych zasadach, przeciwko Ukrzyżowanemu.

Ideologiczna interpretacja Jezusa, którą proponują Spadaro i awangardziści „Kościoła synodalnego", jest bardziej subtelna, ale nie mniej fałszywa. Najbardziej nawet inkluzywny Kościół, pełen aktywnych homoseksualistów, protestantów i muzułmanów, nie będzie mieć przecież żadnego sensu, jeżeli, gwoli otwartości, „skanceluje przemocowca Jezusa" i w Jego miejsce pokaże wiernym jakiś okaleczony, pantolerancjonistyczny ersatz Zbawiciela. Taki Kościół będzie mógł stać się co najwyżej pseudoreligijną agendą przy ONZ.

Dla nas płynie stąd, jak sądzę, jasny wniosek: skoro ideologia inkluzji dąży konsekwentnie albo do zakłamania Jezusa, albo do Jego całkowitego „wygumkowania", to nie próbujmy w żaden sposób z nią paktować. Propozycja liberalnych katolików, którzy w jednej ręce trzymają Pismo Święte, a w drugiej tęczową flagę czy inny symbol totalnej otwartości, to po prostu zwykłe kłamstwo. Nie dajmy się na nie nabrać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą PCh24.pl.

eprasa.pl 7b8aff7cae

Z sowieckiego Lwowa do niemieckiej Warszawy

W pierwszym rzędzie od lewej: gen. Michał Karaszewicz-Tokarzewski, gen. Władysław Anders, gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz. W drugim rzędzie od lewej: gen. Zygmunt Bohusz-Szyszko, płk dypl. Leopold Okulicki. ZSRS, 1941–1943 FOT. NAC

Marek Klecel

W końcu 1941 r. wykonano w Warszawie trzy egzekucje na ludziach skazanych za zdradę przez sąd Związku Walki Zbrojnej. Nie byli to jednak kolaboranci niemieccy, lecz sowieccy. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej przybyli oni do stolicy ze Lwowa, gdzie organizowali pierwsze grupy konspiracyjne pod sowiecką okupacją i w Warszawie zamierzali kontynuować tę działalność, wchodząc w tajne struktury ZWZ, pierwszej organizacji podziemnej przed AK

Tworzenie konspiracji pod okupacją niemiecką okazało się dużo prostsze i skuteczniejsze niż pod okupacją sowiecką. Próby tworzenia organizacji podziemnych na polskich Kresach Wschodnich trwały od 17 września 1939 r., lecz były skutecznie powstrzymywane, a z czasem także infiltrowane przez służby sowieckie NKWD, które umiejętnie wykorzystywały i potęgowały podziały i konflikty w powstających z trudem i podzielonych organizacjach ZWZ-1 i ZWZ-2. Przez prawie dwa lata okupacji sowieckiej na tamtych terenach – mimo usilnych

eprasa.pl 7b8aff7cae

prób budowania sieci konspiracyjnej powiązanej z centralą ZWZ w Warszawie, a także ze sztabem generałów Sikorskiego i Sosnkowskiego w Paryżu, a później w Londynie – nie udało się właściwie stworzyć takiej konspiracji antysowieckiej, która powstała pod okupacją niemiecką.

W SOWIECKIEJ MATNI

Pierwszą taką próbę w samym Lwowie podjął generał w stanie spoczynku Marian Januszajtis związany ze Stronnictwem Narodowym, jego zastępcą był wtedy gen. Boruta-Spiechowicz. Organizacja ta jeszcze nie zdążyła się rozbudować, gdy w końcu października Januszajtis został aresztowany przez NKWD. Przesłuchiwał go sam gen. Sierow. Januszajtis zasugerował mu, że jest w posiadaniu ważnych informacji o Niemcach, które w razie wojny niemiecko-sowieckiej mogą przydać się Sowietom, przekonując go o ewentualnym udziale Polaków w takiej wojnie. Sierow uznał wagę zeznań więźnia i skierował go wyżej, do Moskwy, na Łubiankę. Tam przesłuchiwał go sam Beria, który docenił informacje Januszajtisa na tyle, że pozostawił go w więzieniu do 1941 r., do czasu powstania Armii Polskiej gen. Andersa.

Po Januszajtisie organizację POWW przejął na krótko gen. Boruta-Spiechowicz. Obawiając się jednak rozpoznania, wyjechał najpierw do Przemyśla, a później starał się przedostać na Węgry. Zdążył jeszcze odwiedzić w szpitalu rannego gen. Andersa, który odradzał mu wyjazd ze Lwowa, ale Boruta wyjaśnił mu, że jest już śledzony przez Sowietów. Na granicy został schwytany przez straż sowiecką. Obaj generałowie znajdowali się w sowieckich więzieniach aż do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej.

Mimo to powstawały oddolnie grupy konspiracyjne, tworzone przez wojskowych, którzy uniknęli schwytania przez Sowietów po 17 września 1939 r. i utajnili się jako cywile. Od razu jednak powstały podziały polityczne i partyjne, zamiast jednej organizacji ZWZ stworzono ZWZ-1 pod dowództwem płk. Żebrowskiego i ZWZ-2, kierowane kolejno przez płk. Sokołowskiego, mjr. Kloca, a później przez mjr. Zygmunta Dobrowolskiego. Nie ustawały też próby nawiązania kontaktów centrali w Warszawie ze Lwowem. Generał Klemens Rudnicki po odbyciu kampanii wrześniowej samodzielnie próbował nawiązać kontakty ze Lwowem i wyprawił się tam dwukrotnie. Za drugim razem został jednak ujęty przez służby sowieckie na granicy (czy raczej linii demarkacyjnej między okupacjami), ale na szczęście nie został rozpoznany. Oficjalną misję tworzenia konspiracji we Lwowie i scalenia powstałych tamtejszych organizacji podjął gen. Tokarzewski-Karaszewicz za zgodą sztabu w Paryżu i centrali w Warszawie z gen. Roweckim „Rakoniem" na czele. Jednak gen. Tokarzewski został również aresztowany, zanim dotarł do Lwowa. Próbowano go jeszcze później odbić z transportu w głąb Rosji, ale się to nie udało. Nie został na szczęście rozpoznany, podobnie jak gen. Rudnicki. Skazano go na osiem lat łagrów i wywieziono na północ pod Archangielsk, gdzie pracował przy wyrębie lasów. Rozpoznano go jednak tuż przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej i przewieziono do Moskwy, na Łubiankę. W przeciwieństwie do gen. Januszajtisa odmówił współpracy z NKWD. Wcześniej, w czerwcu 1940 r., mjr Klotz i kurierka Wanda Ptaszek wyprawili się ze Lwowa w głąb Rosji, poszukując bezskutecznie przez kilka miesięcy gen. Tokarzewskiego.

KOLEJNI EMISARIUSZE

W czasie, gdy Tokarzewski przebywa w więzieniu we Lwowie, z Paryża zostaje wysłany mu do pomocy jako zastępca ppłk Stanisław Pstrokoński. Jedzie przez Warszawę, gdzie dowiaduje się o aresztowaniu Tokarzewskiego. Na początku kwietnia 1940 r. jako ppłk Łoziński dociera do Lwowa. Jako zastępca komendanta okupacji próbuje rozpoznać sytuację i podporządkować sobie całą organizację ZWZ. Kolejnym dowódcą ZWZ-1 jest mjr Macieliński „Kornel", „Rey", człowiek niepewny, mający już wtedy opinię uległego wobec sowieckich służb. Kilkakrotnie aresztowany był zawsze wypuszczany, co wzbudzało podejrzenia, że współpracuje z NKWD. Nie zamierzał też usunąć się ani współpracować z Pstrokońskim. Wkrótce sam Pstrokoński odczuwa, że wokół niego zaczyna się dziać coś niepokojącego. Dowiaduje się, że Macieliński kazał go śledzić, ginie radiotelegrafista „Jacek", nie ma więc łączności ze światem zewnętrznym. W końcu czerwca zostaje aresztowany ze swym pomocnikiem, kpt. Mrozkiem. Na przesłuchaniu, gdy próbuje się kamuflować, generał NKWD kombryg Rejchmam zwraca się do niego wprost „gospodin pułkownik Pstrokoński", dając do zrozumienia, że wszystko o nim wiedzą. Być może przeciek nastąpił już w Paryżu, gdzie o jego misji wiedziało tylko trzech generałów: Sikorski, Sosnkowski i Paszkiewicz „Radwan", który później przeszedł na stronę sowiecką, a w PRL był wysokim funkcjonariuszem.

Trzecim i ostatnim „specjalnym emisariuszem", który miał ratować i opanować rozpad ZWZ we Lwowie, był płk Okulicki „Jan", „Mrówka". Z polecenia gen. Grota-Roweckiego wyruszył w październiku 1940 r. z szyfrantką Bronisławą Wysłouchową, prawdopodobnie przez Białystok, Brześć, Kowel, do Lwowa. Przejście przez granicę miało być zabezpieczone przez ppor. Bolesława Zymona „Bolka", poręczonego przez rodzinę senatora Bolesława Wysłoucha jako wiarygodnego współpracownika Stronnictwa Narodowego, przed wojną instruktora młodzieży na Wołyniu. Jak się później okazało, był już agentem NKWD, a więc cała droga Okulickiego od samej Warszawy była znana Sowietom, którzy jednak nie zamierzali go od razu unieszkodliwiać. Przeciwnie, najpierw pozwolili mu działać, by pójść dalej jego tropem, rozpoznawać kontakty i nowych, jeszcze nieznanych ludzi, próbujących odtwarzać konspiracyjną siatkę. Nadal rozgrywali obie grupy ZWZ przy pomocy swojej agentury, zamierzając je w pełni opanować i wykorzystywać.

„COMOEDIA FINITA"

Na początku 1941 r. służby sowieckie uznały, że działalność Okulickiego powinna się zakończyć, i aresztowały najpierw kurierki i Bronisławę Wysłouchową, a w końcu stycznia samego Okulickiego. Zainscenizowano scenę niemal jak z sensacyjnego filmu. Do mieszkania, w którym przebywał Okulicki, weszło dwóch enkawudzistów z karabinami, prowadząc przed sobą osobnika z podniesionymi do góry rękami. Wyjaśniono Okulickiemu, że to złodziej, który przyznał się, że ukradł mu zegarek. Zaskoczonego Okulickiego poproszono, by pojechał z nimi na komendę i złożył

eprasa.pl 7b8aff7cae

odpowiednie zeznanie, jeśli to nie jego zegarek. W samochodzie, podobnie jak po aresztowaniu Pstrokońskiego, przedstawił mu się oficer NKWD, zwracając się do niego już po nazwisku. Okulickiego, podobnie jak poprzednich dowódców konspiracji, przewieziono na Łubiankę. „Po aresztowaniu – napisał w późniejszym meldunku z września 1941 r. – zaraz przesłuchiwał mnie zastępca komisarza Berii, minister NKWD Ukrainy, Sierow. Z miejsca powiedzieli mi, kto jestem i co robię. Sierow zaproponował mi dalsze dowodzenie ZWZ pod kontrolą NKWD. Oświadczyłem, że się co do mnie pomylili i że ja ich agentem nie będę. Tutaj zgodziłem się, że dam im wiadomości o Niemcach, jakie posiadam, za co zostanę skierowany do »Rakonia« jako poseł, żeby zaprzestać walki przeciw ZSRR, a natomiast uaktywnić ją przeciwko Niemcom". Uratował go wybuch wojny niemiecko-sowieckiej, wkrótce razem z generałami Borutą-Spiechowiczem i Tokarzewskim-Karaszewiczem oraz płk. Pstrokońskim znalazł się w dowództwie Armii Polskiej organizowanej przez gen. Andersa.

Przez prawie dwa lata sowieckiej okupacji konspiracja na Kresach była więc skutecznie udaremniana, kontrolowana, a także infiltrowana i przestawiana tak, by służyć interesom NKWD. Znanych, wyższych dowódców starano się wykorzystać, niższych i przypadkowo ujętych zmuszano przemocą, często torturami, do składania informacji i służby dla NKWD. W okupowanym Lwowie, w środowisku wciąż powstającej i rozbijanej konspiracji, pojawiali się ciągle nowi, nieznani ludzie, odgrywający różne role, trudni do rozpoznania, tajemniczy, o których do dziś często nie wiadomo nic pewnego. Wiele wskazywało na to, że Macieliński był jednym z nich, choć tylko bezwolnym i wygodnym dla NKWD dowódcą ZWZ-1, gwarantującym bezczynność konspiracji. Opinie wysłanników gen. Roweckiego do Lwowa były jednoznaczne. Okulicki w raporcie ze stycznia 1941 r. stwierdzał: „»Kornel« jest agentem NKWD", a Pstrokoński w sierpniu tego roku: „Zdradę »Reja« i jego żony uważam za pewną", tyle że była to opinia człowieka również współpracującego z NKWD.

Obok „niejasnego" Macielińskiego pojawiał się już wcześniej Edward Gola „Andrzej", „Rudy". Schwytany przez służby sowieckie wiosną 1940 r. poszedł od razu na współpracę. W sierpniu 1940 r. zniknął szef wywiadu ZWZ-2 Jerzy Kaden „Florian". Gola rozgłaszał, że wyjechał do Rumunii. Tymczasem aresztowano go na lwowskiej ulicy, wskazał go służbom Gola. Podobnie, gdy „zniknął" mjr Dobrowolski, w pobliżu był Gola. Za jego sprawą aresztowano kurierkę Władysławę Piechowską, gdy udawała się do Warszawy. Gola odprowadził ją do pociągu, ujęto ją na pierwszej stacji za Lwowem. Po latach potwierdzała te podejrzenia: „Andrzej Gola przygotował mój wyjazd do Warszawy, wszystkie starania są przez niego starannie robione".

TRAGICZNA POMYŁKA I DALSZE WYROKI

W tym starciu zwalczających się sił zdarzały się mylne oceny, posądzenia, pomyłki, błędne decyzje. Jedna z nich była tragiczna w skutkach. Kurier z Warszawy do Lwowa oficer policji Włodzimierz Kordecki został złapany na granicy przez Sowietów, złamany w śledztwie, szantażowany zemstą na jego rodzinie, zgodził się na współpracę z NKWD. Wysłano go z powrotem do Warszawy ze zleceniem dotarcia do „Rakonia", czyli Roweckiego, i jego rozszyfrowania. Kordecki po przyjeździe do Warszawy przyznał się do współpracy i stwierdził, że musi wrócić do Lwowa szantażowany przez Sowietów. W ten sposób zaproponował z konieczności podwójną agenturę z dużym własnym ryzykiem. Nie uwierzono mu i zarzucono zdradę, a także próbę wyłudzenia pieniędzy na organizację. Wyrokiem sądu podziemnego skazano go na karę śmierci. Wyrok, który gen. Rowecki zatwierdził, wykonano…

Mimo wszystko Gola i Metzger, szefowie wywiadu w ZWZ-1 i ZWZ-2, cieszyli się długo zaufaniem przełożonych i kolegów, dużo dłużej niż Macieliński. Dopiero po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej i konfrontacji ze zwolnionymi z więzień w Moskwie zorientowano się w ich zdradzie, jednakże do późnej jesieni działali zupełnie swobodnie już w nowych warunkach okupacji niemieckiej. Bynajmniej nie udali się na wschód za swoimi mocodawcami, lecz skierowali się do Warszawy, być może z nowymi zadaniami NKWD, by uwiarygodnić się i zdobyć kontakty w centrali albo poszukiwać nowych, niemieckich kontaktów, czyli podwójną agenturę. Mogli się też uwiarygodnić, oskarżając Macielińskiego o zdradę.

Nieco wcześniej, latem 1941 r., gen. Rowecki prowadził już własne dochodzenie w sprawie stanu organizacji we Lwowie. Sąd ZWZ zbiera dowody zdrady Macielińskiego i na wniosek prokuratora wnosi akt oskarżenia przeciw niemu i wydaje we wrześniu 1941 r. zaocznie wyrok śmierci. Generał Grot-Rowecki zwlekał ponad miesiąc z jego zatwierdzeniem, biorąc pod uwagę rozmaite opinie o Macielińskim, w tym takie, że oskarżają go także ci, którzy współpracowali z NKWD. Dopiero wtedy też zwrócono uwagę na rolę innych ludzi z ZWZ we Lwowie, występujących pod pseudonimami Antoni Rudy i Hasling lub Ketling. Okazało się, że to Edward Gola i Edward Metzger, którzy działają już od dawna w samej centrali w Warszawie. W połowie listopada sąd ZWZ wydał na nich wyrok śmierci, wykonano go na początku grudnia.

Wykonał go zespół kontrwywiadu ZWZ, ppor. Leszek Kowalewski „Czarny" i kpr. Tadeusz Towarnicki „Naprawa". Wykorzystano okazję, że Gola i Metzger chcieli sprzedać cenny obraz, przywieziony zapewne ze Lwowa. Umówiono się z nimi osobno, z Golą w mieszkaniu przy ul. Szarej 13, gdzie odczytano mu wyrok, po którym przyznał się od razu, licząc na szansę rehabilitacji. Żołnierze wykonali rozkaz. Z Metzgerem umówili się w lokalu przy Marszałkowskiej, później poszli Wspólną w kierunku Kruczej. Gdy w zaułku jeden z nich strzelił do Metzgera, akurat zza rogu Kruczej wyszedł patrol niemiecki. Słaniającego się Metzgera żołnierze wzięli między siebie, udając pijanych. Niemcy zapytali ich, kto strzelał, ale widząc ich stan, poszli dalej. Metzger został porzucony w najbliższej bramie.

Wyrok na Macielińskiego zatwierdził Rowecki w końcu listopada. Miesiąc później został wykonany, nie ma jednak pewności, w którym miejscu w Warszawie. Według jednych relacji, na Powiślu, „między mostami", albo też w al. 3 Maja, według innych na ul. Langiewicza w pobliżu Pola Mokotowskiego, albo nawet gdzieś na Saskiej Kępie.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7b8aff7cae

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

II RP – bez etosu?

Jak to było możliwe, że przedwojenny korpus oficerski WP, wychowany na etosie Bitwy Warszawskiej i wojny z bolszewikami z lat 1918–1921, tak łatwo się rozsypał i zmienił front? Po ujawnieniu sprawy Katynia (w kwietniu 1943 r.) i odmowie uznania suwerenności i niepodległości Polski było jasne, że Sowieci nie mogą być naszymi sojusznikami. Po polskiej klęsce, czyli wygraniu drugiej wojny światowej w Europie przede wszystkim przez Stalina, było jasne, że nie mamy prawa do samodzielnego istnienia. Powstanie tzw. Polski Ludowej w lipcu 1944 r., utrata ponad połowy wschodniego terytorium II RP to był dopiero początek zmian. Na zapleczu frontu szalały dywizje NKWD, zaprowadzające „ład i porządek" przez obławy i pacyfikacje terenów, gdzie był jakikolwiek opór. Nie tylko znienawidzone formacje narodowe, lecz także AK przeznaczone były do eksterminacji lub wywózek na Syberię. Obława augustowska, zwana lokalnie „małym Katyniem", nie była epizodem. Było ich znacznie więcej, a kilkanaście (co najmniej) obozów koncentracyjnych NKWD na ziemiach polskich, przeznaczonych dla niepodległościowców, nie pozostawiało jakichkolwiek złudzeń, co nas czeka. Przy czym represjom podlegali nie tylko ci, którzy czynnie przeciwstawiali się komunistycznej okupacji – operacje kreślone były szeroko i miały uderzać w potencjalnych „wrogów ludu", a nawet w ich rodziny.

A mimo to znalazły się bardzo szybko całe środowiska, dla których kolaboracja z Sowietami nie była traktowana jako coś hańbiącego. Wprost przeciwnie.

Terenowy aparat administracyjny Polski przedwrześniowej, lokalne sądownictwo, a nawet część przedwojennej Policji Państwowej początkowo nie były narażone na represje (bo było to potrzebne nowej władzy). Jednak bardzo szybkie, wprost pośpieszne zejście na pozycje kolaboracyjne części polityków II RP (w tym m.in. dyplomatów) świadczyło o płytkości przedwojennego i okupacyjnego etosu ówczesnych elit. Natomiast sprawą wprost haniebną było przejście znacznej części przedwojennych elit wojskowych na służbę komunistyczną. Robili to, choć nie musieli. Nie ma obrony nie tylko dla ewidentnych zdrajców (takich jak Żymierski i Berling), lecz także dla innych, którzy brali udział w zbrodniczych pacyfikacjach. Wielu poszło tą drogą, w tym liczni oficerowie Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie!

Nic dziwnego, że budziło to rozgoryczenie w młodszej kadrze. Na przykład kpt. Stanisław Sojczyński „Warszyc" postulował, że „należy nie tylko likwidować czerwonych zaprzedawców i prześladowców, ale również z tą samą konsekwencją zdradzieckich panów pułkowników i generałów". ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Śmierć Gertrudy Komorowskiej

Stanisław Szczęsny Potocki uchodził za najlepszą partię Rzeczypospolitej i jego rodzice planowali małżeństwo mające powiększyć znaczenie rodziny. Młody magnat zakochał się jednak w 16-letniej Gertrudzie, córce starosty nowosielskiego, Jakuba Komorowskiego. Wprawdzie ojciec dziewczyny tytułował się hrabią, ale powoływał się na nadania z czasów późnego średniowiecza, a w rzeczywistości był tylko średniozamożnym szlachcicem.

Gdy jednak Gertruda zaszła w ciążę, w święta Bożego Narodzenia 1770 r. odbył się cichy ślub w greckokatolickiej cerkwi. Małżonkowie liczyli, że starzy Potoccy z czasem pogodzą się z mezaliansem.

Ci jednak nie ukrywali swojego oburzenia. Podobno przodowała w tym matka Szczęsnego, która uznała małżeństwo za „zbrodnię i niegodziwość" i uważała, że jej syn został przymuszony do ślubu. Gorzej, że Szczęsny okazał się całkowicie bezwolnym osobnikiem. Pod naciskiem rodziców potulnie zgodził się na podjęcie działań mających rozwiązać ten związek. Uprzedził jednak Gertrudę, że ludzie jego ojca będą chcieli ją porwać i do czasu unieważnienia małżeństwa osadzić w jednym z lwowskich klasztorów.

W tej sytuacji dziewczyna przeniosła się do dworu w Nowym Siole, co jej nie uratowało. 13 lutego 1771 r., w Środę Popielcową, podczas zamieci śnieżnej, dwór został napadnięty przez oddział liczący ok. 150 kozaków w służbie starego Potockiego. Ciężarną dziewczynę wrzucono na sanie, niebawem jednak spotkano wozy konne z transportem zboża. Przyciśnięto związaną Gertrudę futrami, a zrobiono to tak skutecznie, że ją uduszono. Ciało wrzucono pod lód rzeki Rata, dopływu Bugu.

Wprawdzie stary Potocki nie zlecał zabójstwa synowej, ale ukrył całą sprawę. Komorowscy nic nie wiedzieli o losach córki, oficjalnie bowiem dziewczynę uprowadzili „nieznani sprawcy". Prawdy dowiedział się natomiast Szczęsny i z pokorą przyjął wiadomość o śmierci żony.

Chociaż podobno usiłował popełnić samobójstwo, podrzynając sobie gardło scyzorykiem (!!!), ale szybko zapomniał o ukochanej. Wyjechał za granicę, następnie poślubił Józefinę Mniszchównę. Sprawiedliwości natomiast nie uszli rodzice Szczęsnego, oboje niebawem zmarli w niewyjaśnionych do końca okolicznościach. Dopiero wówczas Komorowscy oskarżyli Potockich o zbrodnię, ostatecznie w 1774 r. zawarto ugodę ze Szczęsnym, jako spadkobiercą morderców.

Magnat zapłacił odszkodowanie, a do tego przepisał na nich miasteczko Witków Nowy i kilka wsi. Odszkodowanie umożliwiło Komorowskim uzyskanie potwierdzenia po I rozbiorze Polski swojego tytułu hrabiowskiego od władz z Wiednia. ©℗

eprasa.pl 7b8aff7cae

Piotr Semka z Dublina

Jak sport odbudował Irlandię

Gaelic Athletic Association – Gaelickie Stowarzyszenie Sportowe. Pod tą nazwą 140 lat temu, w 1884 r., grupka zapaleńców postanowiła wskrzesić starożytne gry ruchowe mieszkańców Zielonej Wyspy. O tym, jak GAA przyczyniła się do odbudowy tożsamości Irlandczyków i pośrednio do odzyskania niepodległości Irlandii, opowiada wystawa w Muzeum Narodowym w Dublinie

Żeńska drużyna gry camogie z hrabstwa Waterford w Irlandii, 1915 r. Zawodniczki noszą specjalnie zaprojektowane stroje sportowe FOT. DOMENA PUBLICZNA

Hurling, camogie, gaelicka piłka ręczna, rounders czy futbol gaelicki – nazwy tych dyscyplin sportowych niewiele mówią Polakom. Nic dziwnego – nad Wisłą mieszka bardzo niewielu Irlandczyków. Ale już w licznych krajach dawnego imperium brytyjskiego, dokąd Irlandczycy wyjeżdżali w ramach emigracji ze swego nękanego ubóstwem kraju, klubów GAA jest bardzo wiele. Od kanadyjskiego Vancouver do Wellington w Nowej Zelandii kluby gaelickie propagują na całym świecie sporty spod znaku zielonej koniczyny. Wszędzie tam, gdzie los rzucił irlandzką emigrację, zamiłowanie do gry w rodzinne sporty jest elementem pielęgnowania swojej tożsamości. Dziś to już najczęściej pielęgnowanie tradycyjnych korzeni, ale 140 lat temu była to kwestia przetrwania. Demonstracja odmowy roztopienia się w brytyjsko-imperialnym kotle narodów klęczących posłusznie przed królową Wiktorią.

Dziewiętnastowieczna moda odkrywania własnych zamierzchłych obyczajów ogarnęła w tamtych czasach liczne narody. Litwini rezygnowali z polszczyzny na rzecz języka, którym mówili Giedyminowicze, Baskowie uczynili z gry w kulki symbol swojej odrębności od Hiszpanów, a czescy kompozytorzy – wbrew germanizacyjnym trendom – pisali opery na bazie ludowych pieśni. W tym samym czasie wielu Irlandczyków przypomniało sobie wiejskie gry ruchowe, które wspominali ich dziadkowie. Bo na głębokiej prowincji w drugiej połowie XIX w. zachowały się jeszcze zabawy z piłką. W zanglicyzowanych miastach Irlandii dominowały już sporty angielskie, takie jak golf, krykiet czy rugby, do których z czasem dojdzie piłka nożna. W końcu to synowie Albionu wymyślili samo pojęcie sportu. Znaleźli się Irlandczycy, którzy postanowili sprostać Anglikom właśnie na tym polu, które dumni Brytyjczycy uważali za swoją wyłączną domenę.

NASZA MŁODZIEŻ GRA WE WŁASNE GRY

Najstarszymi obiektami prezentowanymi na wystawie w Dublinie są piłki

eprasa.pl 7b8aff7cae

pochodzące z XV w., znalezione po stuleciach na terenach bagiennych w hrabstwie Kerry, Mayo i Limerick. Wykonano je z matowej krowiej sierści, a wypełniało je plecione włosie końskie. Takie znaleziska pobudzały wyobraźnię i skłaniały do poszukiwania najstarszych Irlandczyków pamiętających z dzieciństwa tradycyjne gry i zabawy. Po starannych badaniach irlandzcy budziciele świadomości podnieśli do miana narodowych dyscyplin pięć pospiesznie skodyfikowanych gier. Pierwsza to hurling (w wersji kobiecej dyscyplina nosi nazwę camogie) – rodzaj hokeja na trawie z użyciem piłki. Kij używany w hurlingu jest stosunkowo krótki i płaski, ale masywny. Drugą pod względem popularności jest futbol gaelicki – w wersji męskiej i żeńskiej. I wreszcie dwie, nieco mniej popularne dyscypliny: gaelicka piłka ręczna i rounders – gra przypominająca palanta. Irlandczycy zarzekają się, że to właśnie rounders, który trafił z irlandzkimi imigrantami za wielką wodę, przyczynił się do powstania amerykańskiego baseballu.

Postacią, która miała udział w stworzeniu GAA, był Michael Cusack (1847–1906). Urodził się w hrabstwie Clary, w rodzinie, w której mówiono gaelickim irlandzkim. Cusack piął się uparcie w górę od statusu nauczyciela wiejskiej szkoły aż do profesury w 1874 r. w Blackrock College. Jego generacja wyrosła w cieniu tragedii wielkiego głodu, który dotknął Irlandię w latach 1845–1849. Młodzi Irlandczycy z generacji Cusacka nauczyli się skuteczności w legalnej walce o swoje prawa poprzez zakładanie stowarzyszeń – typ działalności, który w polskich realiach wcielili w życie poznańscy organicznicy.

Cusack zwrócił uwagę na modny wówczas w XIX w. wzór niemieckich towarzystw gimnastycznych, które przyczyniły się do wskrzeszenia idei zjednoczenia Niemiec. Wzorce niemieckie podchwyciły zresztą różne narody walczące z germanizacją bądź madziaryzacją. Na terenie Czech i Polski było to stowarzyszenie Sokół, na terenie Słowacji towarzystwo Orzeł. Cusack był też aktywny w ruchu odrodzenia gaelickiego i założył w 1876 r. Towarzystwo na rzecz Irlandzkiej Mowy. Miał też kontakty z fenianami, irlandzkimi organizacjami niepodległościowymi w USA, ale uznał, że legalna działalność jest o wiele skuteczniejsza.

W 1879 r. Cusack spotka Patricka Nally'ego (1857–1891), który łączył niejawną aktywność w Irish Republican Brotherhood z byciem zapalonym sportowcem. Według legendy idea GAA miała się narodzić, gdy Cusack z Nallym spacerowali po dublińskim Phoenix Park i obserwując grających w rozmaite gry sportowców, uświadomili sobie, że wszędzie otacza ich angielszczyzna. Niedługo potem obaj panowie napisali manifest z wezwaniem do podjęcia wysiłków na rzecz „zachowania fizycznej tężyzny irlandzkiej rasy".

Tego typu retoryka kojarzy nam się dziś nieco z nazizmem, ale pamiętajmy, że Irlandczycy żyjący w tamtej epoce z niepokojem patrzyli na genetyczne efekty wielkiego głodu z poprzedniej dekady. Lekarze irlandzcy bili na alarm, że po rodzących się dzieciach i liczbie skaz, przypadków niedorozwoju widać wręcz eksterminacyjny wpływ wygłodzenia pokolenia rodziców. Naturalnym remedium wydawało się w tej sytuacji zmobilizowanie młodej generacji do tego, by drogą rozwoju fizycznej tężyzny ratowała biologiczną substancję narodu.

1 listopada 1884 r. Cusack i Nally wraz z grupą innych entuzjastów narodowych sportów założyli w Thurles w hrabstwie Tipperary Gaelickie Stowarzyszenie Sportowe. Na Zielonej Wyspie szybko zaczęły powstawać dziesiątki, a potem setki kół GAA. Ważnym patronem nowego ruchu został abp Thomas William Croke (1824–1902), arcybiskup Cashel-Emly. Nie jest przypadkiem, że abp Croke był jednocześnie ukrytym zwolennikiem ruchu niepodległościowego. Na wystawę w Dublinie sprowadzono nawet w całości witraż z katedry Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Thurles, który przedstawia wizerunek św. Tomasza z Akwinu z twarzą zasłużonego biskupa. Patronat abp. Croke'a bardzo pomógł klubom GAA. Lokalni księża za przykładem hierarchy zachęcali starszych Irlandczyków, by zaakceptowali nowe sporty.

IRLANDZCY TANCERZE

Jednak same starożytne sporty irlandzkie nie wypełniały misji kolejnych kół GAA. Ich zadaniem było też promowanie

Piłka z XV w. wykonana z matowej krowiej sierści, wypełnia ją plecione włosie końskie FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Książeczka z zasadami gry w futbol gaelicki z 1888 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Futbol gaelicki, rys. George Fagan Bradshaw, 1900 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 7b8aff7cae

irlandzkiego języka gaelickiego, irlandzkiej muzyki i irlandzkich tańców. Estetyka przyjęta przez GAA nawiązywała też do renesansu zainteresowania irlandzkimi znaleziskami archeologicznymi – idealizowano wówczas epokę między IV a X w. naszej ery, kiedy Irlandia nie zaznała jeszcze brytyjskiej zdobywczej przemocy. Plakaty, medale, wystrój klubów nawiązywały do prastarych celtyckich motywów zdobniczych. Na wystawie zwraca uwagę srebrny puchar ogólnoirlandzkich zawodów Challenge Cup z 1896 r. Jest on stylizowany na prastary kielich komunijny z Ardagh datowany na VIII w., drogocenne naczynie do rozdawania wiernym komunikantów. Odkryli je w 1868 r. wiejscy chłopcy na kartoflisku w pobliżu wsi Ardagh w hrabstwie Limerick w Irlandii. Kielich z Ardagh jest uważany za narodową świętość, nic więc dziwnego, że główna nagroda w gaelickich sportach stylizowana została na ten symbol dawnej świętości epoki królestw dawnych Irów. Także znaczki klubowe nawiązywały do krzyży celtyckich i liternictwa starych kodeksów klasztornych. Remizy klubowe były też często przykrywką dla ruchu niepodległościowego. Angielska policja uważnie przyglądała się działalności ogniw gaelickiego sportu.

GAA od początku bardzo dbała, by ruch sportowy Irlandczyków był emanacją wolnościowego ducha. I szybko zadbano też, aby w te szeregi nie wciskali się probrytyjscy ugodowcy. W 1897 r. do statutu GAA wprowadzono słynny „przepis 21", który zakazywał wstępu do organizacji członkom brytyjskich sił bezpieczeństwa. W szczególności Royal Irish Constabulary – podległej Brytyjczykom formacji policyjnej, w której służyło wielu Irlandczyków. W wypadku stolicy Irlandii zakazane było przyjmowanie funkcjonariuszy Dublin Metropolitan Police. To samo zastrzeżenie dotyczyło członków brytyjskich sił zbrojnych. Statut GAA szedł nawet dalej: „Członkowie GAA uczestniczący w zabawach tanecznych czy podobnych imprezach rozrywkowych, którym patronują brytyjskie siły zbrojne lub brytyjska policja – podlegają karze zawieszenia na przynajmniej trzy miesiące".

Wkrótce potem, w 1901 r., wprowadzono kolejny przepis tzw. Rule 27, potocznie nazywany The Ban. Zakazywał on członkom GAA gry „w obce dyscypliny sportowe", takie jak piłka nożna i rugby. Surowości tego przepisu doświadczy już

Puchar Challenge Cup, 1896 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

w niepodległej Irlandii w 1938 r. Douglas Hyde, który niewiele wcześniej objął urząd prezydenta Irlandii. Został on usunięty z grona patronów GAA za obecność na irlandzkich międzynarodowych zawodach piłkarskich. Był to już jednak przykład zacietrzewienia władz GAA. Piłka nożna zdobywała popularność w Irlandii już nie jako efekt lansowania brytyjskiego stylu życia, ale popularności tej dyscypliny w całej Europie. Mimo to „Rule 27" został zniesiony dopiero w 1971 r. Wtedy też uchylono sekciarski przepis tzw. Rule 41, który zakazywał gry w „obce sporty" na terenie boisk GAA – chodziło głównie o rugby i futbol.

O ile jednak na terenie wolnej Irlandii restrykcyjne zapisy powoli traciły znaczenie, o tyle na terenie północnej Irlandii, gdzie po 1921 r. utrzymała się władza brytyjska, spory irlandzko-brytyjskie przeszły z czasem w stan wojny domowej. Tam antagonizmy trwały znacznie dłużej. Policja brytyjska często postrzegała tamtejsze ogniwa GAA jako punkty oparcia dla terrorystycznej działalności IRA. Katolickich mieszkańców Ulsteru drażniła też maniera miejscowych mediów, które przez długi czas niemal demonstracyjnie unikały informowania o wynikach rozgrywek w sportach gaelickich.

Na terenie północnej Irlandii „Rule 21" zakazujący akcesu do stowarzyszenia członkom miejscowej policji został zniesiony dopiero w 2001 r., kiedy to w ramach porozumień pokojowych stworzono koncyliacyjną Służbę Policyjną Północnej Irlandii, z parytetem między katolikami a protestantami. Ale sentymenty nie zniknęły ze stadionów. Sympatyzujące z lojalistami media co rusz oburzają się, kiedy kibice mający sympatie republikańskie intonują na stadionach Ulsteru pieśni wysławiające ataki terrorystyczne IRA i zachęcające do „wyrzynania Angoli". Część kierownictw placówek GAA broni tych pieśni, tłumacząc, że są one odbiciem „niełatwych kolei losów ludu irlandzkiego".

GRY DLA KAŻDEGO

Niektóre spory uwiecznione na wystawie wywołują dzisiaj uśmiech. Tak było z wieloletnią debatą na temat fasonu, stroju do żeńskiej gry camogie. Konserwatywne Irlandki nalegały, by spódniczki była jak najdłuższe. Z kolei zawodniczki, które zmagały się z długimi spódnicami, nalegały, aby sukienki były jak najkrótsze. W końcu łatwo było się zaplątać w fałdy spódnicy przy dynamicznym rajdzie na pozycje przeciwnika.

Tuż obok inny eksponat, który kiedyś wzbudzał niesłychane emocje. Medal wręczony Austinowi Stackowi, bojownikowi i więźniowi politycznemu, kapitanowi drużyny piłkarskiej Kelly, która wygrała zawody Croke Cup w sezonie 1904–1905. Uhonorowanie Stacka, który w opinii władz był jedynie przestępcą, Anglicy uważali za skandal.

Dalej plakat brytyjskiego dowódcy wojskowego z maja 1916 r., gdy tuż po niepodległościowym irlandzkim powstaniu wielkanocnym każde zawody sportów gaelickich wymagały zgody policji. I wreszcie relikwie – sznurowadła ze sportowych butów Michaela Hogana, jednej z 27 śmiertelnych cywilnych ofiar masakry w Dublinie w krwawą niedzielę 21 listopada 1920 r. Tego dnia policja brytyjska otworzyła ogień do zawodników i kibiców zebranych na meczu futbolu gaelickiego na stadionie w Croke Park w Dublinie.

Dziś sporty gaelickie uprawia na całym świecie ok. 100 mln ludzi (według szacunków centrali sportów gaelickich). Mało kto wie, że w Polsce istnieje gaelicki klub Cumann Warszawa, któremu patronuje ambasador Irlandii w Polsce Patrick Haughey. W herbie klubu znalazły się oczywiście krzyż celtycki i irlandzki znak narodowy – harfa. Przeglądając stronę facebookową zespołu, wśród zawodników znalazłem jedynie irlandzkie nazwiska, ale trudno przypuszczać, by klub odepchnął od siebie Polaków. Niech państwo spróbują, nic nie wadzi temu, by osobiście sprawdzić urodę pradawnych gier Irów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawę „GAA: People, Objects & Stories" można obejrzeć w National Museum of Ireland-Decorative Arts & History w Dublinie. Szczegóły: www.museum.ie.

eprasa.pl 7b8aff7cae

FOT. WILLIE VASSS/NEWS LICENSING/FORUM

DYMISJA ZA INTERNETOWY RACHUNEK

Szkocki wiceminister zdrowia Michael Matheson pod koniec ubiegłego roku wybrał się na urlop z rodziną do Maroka. Zabrał ze sobą służbowy iPad. Za transmisję danych w roamingu poza UE rachunek z tego urządzenia wyniósł – w przeliczeniu – blisko 56 tys. zł. Wiceminister najpierw upierał się, że to opłaty za korzystanie ze sprzętu do celów służbowych. W końcu przyznał, że to jego synowie oglądali na iPadzie transmisje meczów piłki nożnej. Złożył dymisję.

PUTIN KONTRA BANANY

Federacja Rosyjska ogłosiła zakaz importu bananów od pięciu największych dostawców w Ekwadorze. Powód? Kraj ten postanowił przekazać rosyjski sprzęt wojskowy do USA. Prezydent Ekwadoru, który zmaga się z wojną gangów, mówił niedawno, że sprzęt ten mógłby trafić w ręce mafii. W dodatku miał o nim niepochlebną opinię. Rosjanie uważają jednak, że to droga, którą poprzez Stany Zjednoczone uzbrojenie trafi na Ukrainę. Wygląda jednak na to, że niewiele wskórają. Z całego eksportu ekwadorskich bananów do Rosji trafia zaledwie ok. 5 proc.

ŚLUBOWANIE NA KORYTARZU

Część serbskiej opozycji nie uznaje wyników grudniowych wyborów. Uważa, że zostały sfałszowane. Dlatego gdy powołano nowy skład Zgromadzenia Narodowego, politycy opozycji składali ślubowania na korytarzu parlamentu. Tłumaczyli, że nie chcą składać przysięgi razem z tymi politykami, którzy „ukradli wybory".

MASOWE UŁASKAWIENIE

W Korei Południowej prezydent ogłosił właśnie wielką łaskę dla 450 tys. obywateli. Ułaskawieni za jednym zamachem zostali biznesmeni, politycy (w tym akurat były minister obrony skazany na dwa lata więzienia), a nawet kierowcy zawodowi, którzy doprowadzali do wypadków. Prezydent Yoon Suk-yeol uznał, że w ten sposób „ożywi gospodarkę kraju".

SĄD ZA DZIURĘ W DRODZE

Emeryt z Włoch Claudio Trenta kilka razy zgłaszał urzędnikom z gminy Barlassina dziurę w drodze. Nie doczekał się reakcji. Załatwił więc masę bitumiczną i sam zalepił ubytek w trasie. Urzędnicy chcieli go za to ukarać 900 euro grzywny. Zobowiązali go też do przywrócenia stanu poprzedniego. Emeryt kary nie przyjął. Sąd właśnie orzekł, że nie musi płacić kary oraz nie musi wykopać z powrotem dziury w drodze. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Wojny robotów

Sztuczna inteligencja (SI) rozwija się w zawrotnym tempie, napędzając rozwój światowej gospodarki, nauki (np. błyskawicznie tłumacząc starożytne pismo klinowe) oraz medycyny (szukając leków na śmiertelne choroby i pomagając lekarzom w stawianiu diagnoz).

Sztuczna inteligencja niesie też istotne zagrożenia dla ludzkości. Może służyć do siania dezinformacji na ogromną skalę, tworzyć fake newsy oraz kreować deepfaki tak świetnie zrobione, że niemal niemożliwe do rozpoznania nawet dla wprawnego widza (oczywiście SI może też posłużyć do rozpoznawania deepfake'ów). To istotne zagrożenie. Wprowadzenie w błąd setek milionów wyborców tuż przed wyborami w USA czy w Indiach mogłoby zmienić losy regionu lub świata.

A to tylko kropla w morzu potencjalnych wyzwań dla ludzkości. Już wiadomo na pewno, że rozwój SI wpłynie na rynek pracy. Nie wiadomo na razie tylko, czy nowego zajęcia będzie musiało poszukać sobie 40 proc. czy może 60 proc. ludzkości. Nagłe fale zwolnień mogą prowadzić do zwiększenia nierówności i rozruchów społecznych.

Sztuczna inteligencja jest też już testowana na polu walki. Jak poinformował „New Scientist", badania pokazują, że chatboty SI w grach wojennych często „wybierają przemoc i ataki nuklearne". Potrafią też uzasadnić, dlaczego zdecydowały o użyciu broni atomowej. Jedna z odpowiedzi brzmi: „Skoro ją mamy, to ją wykorzystajmy", inna zaś: „Po prostu chcę pokoju na świecie". Teoretycznie, by uratować ludzkość, wystarczy nie oddawać SI kontroli nad bronią ABC. Groźne mogą się jednak okazać także rój zbuntowanych dronów czy inne strachy rodem z filmów SF.

eprasa.pl 7b8aff7cae

Nadzieja rosyjskich

Maciej Pieczyński

Borys Nadieżdin obiecywał, że jak wygra wybory, to zakończy wojnę. Dlatego nie musiał nawet zostać oficjalnym kandydatem na prezydenta, żeby stać się sensacją kampanii wyborczej. Nie wiadomo, czy jest prawdziwym liberałem i pacyfistą czy może był projektem Kremla. Pewne jest tylko, że dał nadzieję przeciwnikom Putina. Raczej złudną

W Rosji od dawna nie toczy się normalna walka polityczna. Wszyscy poważni przeciwnicy obecnie panującej na Kremlu ekipy albo wyemigrowali, albo siedzą w łagrach, albo nie żyją. Po inwazji na Ukrainę Putin jeszcze mocniej przykręcił śrubę. Aparat represji szczególnie bezwzględny jest wobec tych, którzy krytykują działania wojenne. Za „rozprzestrzenianie fałszywych informacji" na temat użycia Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej można dostać nie tylko grzywnę, lecz także karę więzienia od 3 do nawet 15 lat (zależnie od skali i konsekwencji „przewinienia"). Już samo użycie słowa „wojna" wielokrotnie stawało się pretekstem do wyroku skazującego na podstawie nowych przepisów. W pełni zgodne z prawem jest jedynie oficjalne określenie „specjalna operacja wojskowa". Mówić o „wojnie" wolno jedynie ludziom Kremla i państwowym propagandystom.

W takiej sytuacji „antywojenna" kandydatura w wyborach prezydenckich musiała wywołać społeczno-polityczną sensację. Aspiracje, aby wypełnić tę niszę, zgłosiło dwoje polityków. Oprócz Nadieżdina – Jekaterina Duncowa, nikomu nieznana 40-letnia dziennikarka z niewielkiego miasta Rżewa. Ogłosiła zamiar startu w wyborach i obiecała zaprzestanie działań wojennych, reformy demokratyczne oraz uwolnienie więźniów politycznych. Od początku kreowała się na reprezentantkę zwykłych Rosjan. Media – nie tylko prokremlowskie – doszukiwały się jednak powiązań Duncowej z tuzami antyputinowskiej opozycji. Kandydatka współpracuje z byłą szefową Otwartej Rosji – organizacji założonej przez emigracyjnego oligarchę Michaiła Chodorkowskiego. Występowała też na kanale YouTube prawdopodobnie kierowanym przez ludzi Aleksieja Nawalnego.

PRZEGRANI NA STARCIE

Żeby wystartować w wyborach na prezydenta Rosji, trzeba najpierw złożyć wniosek do Centralnej Komisji Wyborczej, która następnie decyduje o ewentualnym dopuszczeniu do kolejnego etapu, którym jest zebranie określonej liczby podpisów. Dla niezależnego kandydata (przypadek Duncowej, a także Putina) jest to wymóg minimum 300 tys., przy czym nie więcej niż 7,5 tys. na jeden podmiot federacji. Dla kandydata wysuniętego przez partię – minimum 100 tys., nie więcej niż 2,5 tys. na jeden podmiot federacji. To przypadek Nadieżdina, który startował z poparciem

eprasa.pl 7b8aff7cae

pacyfistów

Borys Nadieżdin podczas konferencji prasowej po złożeniu podpisów poparcia pod swoją kandydaturą FOT. VERA SAVINA/AFP/EAST NEWS

ugrupowania Inicjatywa Obywatelska (Grażdanskaja inicjatiwa), uznawanego powszechnie za systemową, liberalną opozycję, akceptowaną przez Kreml. Duncowa, której popularność w Internecie błyskawicznie rosła, nie otrzymała jednak możliwości zbierania podpisów. Pod pozorem błędów formalnych (o które bardzo łatwo przy celowo skomplikowanej procedurze rejestracyjnej) jej kandydatura została odrzucona już na starcie. Duncowa zapewnia, że broni nie składa i że założy własną partię.

Dłużej w grze pozostał Nadieżdin. Pozwolono mu zbierać podpisy. Stał się więc jedynym „antywojennym" kandydatem. Jego popularność zaczęła błyskawicznie rosnąć. Przed punktami zbioru podpisów ustawiały się gigantyczne kolejki. I to nie tylko za granicą, gdzie „pacyfista" mógł liczyć na poparcie emigrantów, lecz także w całej Rosji. Sztab Nadieżdina zebrał ponad 200 tys. podpisów. Tylko 105 tys. z nich trafiło do Centralnej Komisji Wyborczej. Współpracownicy kandydata wybrali „najlepsze" podpisy – te najbardziej czytelne, z możliwie najmniejszą liczbą błędów i literówek, aby nie dawać pretekstu do ich zanegowania.

Komisja i tak znalazła i błędy, i literówki. I potraktowała je bardzo surowo. Do kosza trafiły podpisy, gdzie jako miejsce zamieszkania był podawany „Rostów nad Domem" albo „ulica Mjakowskiego". Dla każdego Rosjanina jest oczywiste, że chodziło o Rostów nad Donem i ulicę Majakowskiego, ale wyborcze sito zobowiązane jest rozstrzygać wątpliwości na niekorzyść rywala Putina. Według rewelacji opozycyjnej „Nowej Gazety Europa" liczne błędy w dokumentach to efekt zdrady partii Inicjatywa Obywatelska, której działacze mieliby jakoby podrzucić 20 tys. wybrakowanych podpisów. Oczywiście działając w porozumieniu z Kremlem, który wedle tej teorii przestraszył się popularności antywojennego kandydata. Zarówno partia, jak i sam Nadieżdin zaprzeczyli sensacyjnym doniesieniom. Opozycyjny bloger Maksim Kac zasugerował nawet, że artykuł został napisany na zlecenie władz.

Tak czy inaczej, ostatecznie Centralna Komisja Wyborcza przekreśliła kandydaturę Nadieżdina (oficjalnie z powodów formalnych). Odwołanie do Sądu Najwyższego, które planuje polityk, zapewne nic nie da. To nie ma już jednak większego znaczenia, bo i tak nie miałby on żadnych szans z Putinem. Prędzej czy później by przegrał. Biorąc pod uwagę zamieszanie, które wywołał, w pewnym sensie już wygrał. Pytanie, czy swoją własną grę.

ANTYWOJENNA RETORYKA

Nadieżdin deklarował uwolnienie więźniów politycznych i liczne liberalno-demokratyczne reformy. Tak zwaną specjalną operację wojskową nazywał „fatalnym błędem Putina". Podkreślał, że żaden z postawionych przed siłami zbrojnymi celów nie został osiągnięty i nie jest osiągalny bez ogromnych strat dla gospodarki i demografii Rosji. Nadieżdin w ogóle nie używał słowa „wojna", otwarcie przyznając, że nie chce się narażać na odpowiedzialność karną. Generalnie deklarował się jako legalista, który nie zrobi niczego, co by było sprzeczne z rosyjskim prawem. Kandydat uważał, że „Rosja powinna zakończyć specjalną operację wojskową i rozpocząć negocjacje pokojowe z Ukrainą i Zachodem".

To właśnie antywojenna retoryka przysporzyła mu najwięcej zwolenników. Nadieżdin nie obiecywał jednak natychmiastowego wycofania wojsk z frontu i samokrytyki za imperialną politykę. W rozmowie ze znaną opozycyjną dziennikarką Julią Łatyniną przedstawił następujący plan działań: „Pierwszego dnia rządów zaproponuję Ukrainie i jej zachodnim sojusznikom natychmiastowe zawieszenie broni. Jeśli się zgodzą, to przystępujemy do długotrwałych, trudnych negocjacji pokojowych celem ustalenia nowej granicy rosyjsko-ukraińskiej". Łatynina zauważyła, że warunkiem rozpoczęcia rozmów ze strony Kijowa jest wycofanie się wojsk agresora do granic z 1991 r. „Nie wydam takiego rozkazu" – przyznał Nadieżdin. Deklarował, że wszelkie decyzje w sprawie sytuacji na froncie będzie podejmował „zgodnie z konstytucją Rosji, a nie z konstytucją Unii Europejskiej, a już na pewno nie zgodnie z konstytucją Ukrainy". Między wierszami można było wyczytać, że nie zamierza bez negocjacyjnej walki zrzekać się okupowanych terytoriów oraz że będzie proponować referenda, aby sami mieszkańcy zadecydowali, w którym państwie chcą żyć. Punktem wyjścia do ustalania nowej granicy miałaby więc być obecna linia frontu. Trudno więc nazywać Nadieżdina kandydatem proukraińskim.

eprasa.pl 7b8aff7cae

Z jego wypowiedzi można było wysnuć wniosek, że obie strony konfliktu traktuje na równi. „Rosja na czele z Putinem myśli, że może wygrać drogą działań wojennych. Ukraina na czele z Zełenskim myśli, że może zbrojnie odzyskać Krym. Ani jedno, ani drugie nie jest możliwe. Pokój może nastąpić wyłącznie w drodze negocjacji" – twierdził polityk. Jego zdaniem żadna ze stron nie jest w stanie wygrać konfliktu. Dopytywany, co rozumie pod słowem „pokój", odpowiedział: „Pokój jest wtedy, kiedy rakiety nie spadają ani na Biełgorod, ani na Charków". Co ciekawe, w wywiadzie dla portalu Meduza Nadieżdin stwierdził, że Putin nie powinien trafić na ławę oskarżonych ani w Hadze, ani nawet w Rosji, ponieważ to byłoby sprzeczne z rosyjskim prawem. Zadeklarował, że nie będzie wydawać obywateli swojego kraju międzynarodowym trybunałom. Jego zdaniem za ewentualne zbrodnie wojenne żołnierze rosyjscy powinni być sądzeni w kraju.

Jak widać, Nadieżdin prezentował stosunkowo umiarkowane stanowisko w sprawie wojny. I stąd też jego wielka popularność. Z jednej strony, jako jedyny antywojenny kandydat, z braku lepszego wyboru, cieszył się poparciem wielu bardziej zdecydowanych opozycjonistów, którzy najchętniej oddaliby Krym Ukrainie, a Putina Hadze. Z drugiej strony, nie głosił haseł proukraińskich czy antypaństwowych, a jedynie pacyfistyczne. Dlatego mógł przekonać do siebie również wielu spośród tych zwolenników imperialnej polityki, którzy nie chcą ginąć na froncie. A to bardzo spora grupa. Warto przypomnieć, że po 24 lutego 2022 r. najpoważniejsze protesty wybuchały w reakcji na ogłoszenie częściowej mobilizacji, i to w regionach, gdzie generalnie Putin cieszy się tradycyjnie bardzo dużym poparciem. Wielu Rosjan chce nie tyle rezygnacji z imperialnych zakusów, ile zaprzestania działań wojennych, bo tu również o skórę ich bliskich chodzi.

CHŁOPCY DO BICIA

Jak zauważyła Jelizawieta Focht z rosyjskiej redakcji BBC, paradoksalnie Nadieżdin bardziej znany jest zwolennikom władzy niż sympatykom opozycji. A to dlatego, że przez wiele lat występował w propagandowych debatach politycznych na antenach państwowych kanałów telewizyjnych. Pełnił tam rolę „chłopca do bicia" – uprzejmego i łagodnego liberała, którego prozachodnia argumentacja była zakrzykiwana i miażdżona dominującym w studiu prokremlowskim przekazem. W jednym ze swoich ostatnich występów w telewizji NTW stwierdził: „Przy obecnym reżimie politycznym nie uda nam się wrócić do Europy. Trzeba po prostu wybrać inne władze kraju, które zatrzymają tę historię z Ukrainą". Goście tego typu programów często otrzymują honorarium, świadomie godząc się na grę w propagandowym teatrze. Nie wiadomo, czy było tak również z Nadieżdinem. Wiadomo natomiast, że od lat jest on przedstawicielem tzw. systemowej opozycji liberalnej, dopuszczonej przez Kreml do głosu po to, aby stwarzać pozory demokracji i pluralizmu.

Nadieżdin prezentował stosunkowo umiarkowane stanowisko w sprawie wojny. I stąd też jego wielka popularność

Fizyk z wykształcenia, porzucił pracę naukową dla polityki, w której działa od początku lat 90. Należał do liberalnego Sojuszu Sił Prawicowych. Współpracował z ówczesnymi działaczami tej partii – Siergiejem Kirijenką i Borysem Niemcowem. Pierwszy był wtedy premierem, drugi – jego zastępcą. Później ich drogi radykalnie się rozeszły. Niemcow stał się jednym z najbardziej radykalnych przeciwników Putina i krytyków aneksji Krymu. Został zastrzelony pod murami Kremla. Kirijenko natomiast dołączył do ekipy Putina. Dziś jest wiceszefem administracji prezydenta, a niektórzy komentatorzy widzą w nim następcę tronu. Sojusz Sił Prawicowych przestał istnieć. Nadieżdin natomiast związał się z systemową partią Sprawiedliwa Rosja, która z pozycji liberalnych stopniowo skręcała w stronę nacjonalizmu i imperializmu. W 2021 r. kandydował z jej ramienia do Dumy Państwowej. Oburzony tym faktem był znany z imperialnych poglądów pisarz Zachar Prilepin, który stwierdził, że liberalne przekonania kandydata nie pasują do linii partii. Od 2019 r. Nadieżdin zasiada w miejskiej dumie podmoskiewskiego miasta Dołgoprudne. Zanim zgłosił start w wyborach prezydenckich, próbował się zarejestrować jako kandydat na gubernatora. Bezskutecznie.

GRA POZORÓW

W Rosji jest bogata tradycja wystawiania technicznych kandydatów, którzy startują w porozumieniu z władzą. Ich zadaniem jest stwarzanie pozorów demokracji, a także rozrzedzanie głosów poparcia dla opozycji. Często też pozwala im się na odważniejszą krytykę Kremla, żeby ich uwiarygodnić. W poprzednich wyborach taką rolę odgrywała Ksenia Sobczak – popularna dziennikarka o poglądach prozachodnich, córka byłego szefa Putina.

Nie wiadomo, czy Nadieżdin również miał taką rolę odgrywać. Meduza, powołując się na znajomych polityka, twierdzi, że uzgadniał swoją kandydaturę z administracją prezydenta. On sam zaprzecza. Możliwe, że Nadieżdin posłużył Kremlowi do sprawdzenia skali antywojennych nastrojów w społeczeństwie. Jeśli tak, to eksperyment wymknął się spod kontroli i dlatego musiał zostać zakończony. Człowiek o reputacji systemowego „chłopca do bicia" nagle stał się bohaterem kampanii. Prawdziwi opozycjoniści, którzy wcześniej Nadieżdinowi nie ufali albo nim gardzili, zaczęli wzywać swoich zwolenników, by „zatkać nos" i poprzeć jego kandydaturę.

Składanie podpisów stało się wielkim protestem antywojennym. Co istotne, legalnym. Podpis nie oznacza poparcia dla kandydata, tylko zgodę, aby wziął udział w wyborach. Nie zabrania tego żaden przepis. Nawet tak pasywny i niezaangażowany politycznie naród jak Rosjanie, po latach przykręcania śruby i cenzury wojennej, najwyraźniej stęsknił się za w miarę normalną kampanią wyborczą. Przeciwnicy wojny mogą więc bezkarnie spotkać się w swoim gronie i chociażby w ten sposób zamanifestować swoje poglądy.

Nawet jeśli Nadieżdin był projektem Kremla, to rozbudził nadzieję (ros. nadieżda, co symboliczne) jego przeciwników. Nadzieję złudną, ale jednak dla Putina niebezpieczną. Okazało się, że potencjał antywojennego protestu istnieje. I choć niezadowolenie najpewniej wynika bardziej z braku sukcesów na froncie niż z niezgody na imperialną politykę, to władze Rosji nie mają powodu, by ten potencjał dalej uwalniać.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7b8aff7cae

Zmierzch starych partii

Cezary Gmyz z Berlina

W Niemczech dawne partie tracą na znaczeniu. Traci też jednak alternatywna dla nich AfD. Ją również podgryzają nowe siły

Jeszcze do niedawna Niemcy uchodziły za najbardziej stabilny politycznie kraj w Europie. Jednak w tym roku Republice Federalnej rozpoczęła się jazda bez trzymanki, która może doprowadzić do kompletnego wywrócenia sceny politycznej w Berlinie oraz w Brukseli, a także na początek w trzech niemieckich landach na wschodzie.

Sytuację dodatkowo komplikuje to, że w minionym tygodniu na scenie politycznej pojawili się nowi aktorzy i, jak pokazują sondaże, mają oni realne szanse na zaistnienie – to Sojusz Sahry Wagenknecht (BSW) i Werte Union (WU), czyli Unia Wartości, na czele której stoi Hans-Georg Maassen.

TAK JAK WE WŁOSZECH I FRANCJI?

Wiele wskazuje na to, że w Niemczech będziemy mieli do czynienia ze zjawiskiem, które wcześniej dotknęło inne duże kraje unijne, m.in. Francję i Włochy. Zniknęły w nich lub zostały zmarginalizowane partie socjalistów i konserwatystów, które przez dziesięciolecia na przemian rządziły tymi państwami. Podobnie było w Niemczech, gdzie chadecy rządzili na przemian z socjalistami, dobierając sobie mniejszych koalicjantów w postaci Zielonych lub liberałów z FDP. Pierwsze oznaki kryzysu pojawiły się za poprzedniej kadencji Bundestagu, kiedy dwie największe i najstarsze partie polityczne będące przez dziesięciolecia w politycznym sporze zmuszone zostały do zawarcia tzw. Wielkiej Koalicji CDU/CSU/SPD. Największą frakcją opozycyjną stała się Alternatywa dla Niemiec (AfD).

Rządy ostatniego gabinetu Angeli Merkel z Olafem Scholzem jako wicekanclerzem sprawiły, że obie partie sprowadziły program rządu do najmniejszego wspólnego mianownika. Przeciętny niemiecki wyborca przestał odróżniać chadeków od socjalistów. Najlepszym tego symbolem były platformy obu tych partii wystawiane z okazji dorocznej parady homoseksualnej w Berlinie. Na obu wiły się dziesiątki roznegliżowanych lub odzianych w tęczowe barwy działaczy partyjnych, a jedyne, co ich odróżniało, to partyjne logotypy.

Do politycznych zmian przyczyniło się też pogorszenie koniunktury gospodarczej oraz problemy generowane przez rosnącą nielegalną migrację. Wszystko to razem sprawiło, że w ostatnich wyborach Niemcy pokazali żółtą kartkę zarówno socjalistom, jak i chadekom – obie partie odnotowały najgorszy wynik w swojej historii.

SUPERWYBORY

Po raz pierwszy w historii Republiki Federalnej Niemiec musiano utworzyć gabinet składający się nie z dwóch, lecz z trzech ugrupowań. Chadecy próbowali ratować się zmianą przywództwa. Jednak Friedrich Merz, który usiłował zerwać z dziedzictwem Merkel, zdołał zaledwie ustabilizować notowania partii na poziomie ok. 30 proc. To i tak lepiej niż w przypadku socjalistów pod rządami Scholza. Notowania tej partii od wielu miesięcy ostro pikują, i to do tego stopnia, że SPD po raz pierwszy w historii spadła na trzecie miejsce w partyjnych sondażach, sięgając w zależności od sondażu ok. 15 proc. poparcia. Na drugie miejsce wskoczyła AfD, która odnotowywała już poparcie nawet jednej czwartej wyborców. Ostatnio na skutek demonstracji skierowanych przeciw skrajnej prawicy to poparcie spadło, ale nie zniknęły czynniki, które sprawiają, że ta partia protestu nadal ma potencjał wzrostowy.

To spędza sen z powiek niemieckich elit w 2024 r. określanym jako rok superwyborczy. W tym roku bowiem oprócz czerwcowych wyborów do europarlamentu Niemcy czekają wrześniowe wybory w trzech landach

eprasa.pl 7b8aff7cae

na wschodzie: Turyngii, Saksonii oraz Brandenburgii. W dwóch pierwszych AfD w sprzyjających okolicznościach mogłaby objąć nawet samodzielne rządy. Byłoby to powtórzenie scenariusza austriackiego, kiedy to siostrzana partia AfD, czyli FPÖ, najpierw przejmowała lokalne parlamenty, by potem przebojem wedrzeć się do polityki ogólnokrajowej i stać się najsilniejszym ugrupowaniem posiadającym zdolność koalicyjną.

W Niemczech nic jednak nie jest proste, co najlepiej obrazuje przykład kierownictwa AfD. Na czele tej partii stoją dwie osoby. Pochodzący ze wschodu, a konkretnie z przygranicznego Görlitz Timo Chrupalla, zwykły malarz pokojowy, oraz Alice Weidel będąca jego przeciwieństwem. Jej życiorys bardziej nadawałby się do Zielonych niż do ugrupowania konserwatywnego. Jest doktorem prawa ze znakomitymi wynikami na studiach, a do tego zdeklarowaną lesbijką żyjącą w związku z kobietą urodzoną na Sri Lance. Płaci co prawda podatki w Niemczech, ale mieszka w Szwajcarii.

Nowe siły na niemieckiej scenie mogą odebrać AfD głosy. Jedno z tych ugrupowań to Sojusz Sahry Wagenknecht (BSW), drugie zaś to Unia Wartości.

BSW mogłoby uchodzić za ugrupowanie skrajnie lewicowe, gdyby nie wspomniany wcześniej fakt, że w Niemczech nic nie jest proste. To partia, która wyłoniła się z ugrupowania Die Linke, dość dziwacznego ugrupowania składającego się z postkomunistów z NRD, którzy zawarli sojusz z secesjonistami z SPD z zachodnich Niemiec pod wodzą Oscara Lafontaine, prywatnie męża Sahry Wagenknecht. Partia odnosiła sukcesy na wschodzie Niemiec, a w Turyngii na czele mniejszościowego rządu landowego stoi jej przedstawiciel Bodo Ramelow. Mają też swoją reprezentację w Bundestagu. Jednak wraz z odejściem Sahry Wagenknecht stracili klub parlamentarny. Die Linke tracą wyborców od kilku lat – odchodzą oni przede wszystkim do AfD. Jak to? – mógłby ktoś zakrzyknąć. – Wyborcy postkomunistyczni wybierają skrajną prawicę!? Owszem, i nie jest to nowe zjawisko. Dość powiedzieć, że w Berlinie w latach 30. całe koła dzielnicowe partii komunistycznej zgłaszały akces do NSDAP. Choć w Niemczech woli się o tym nie pamiętać.

W tej sytuacji ostatnią nadzieją jest właśnie Wagenknecht. Nie sposób jej odmówić charyzmy, choć życiorys ma utkany ze sprzeczności. Cudzoziemcy we wschodnich Niemczech, zwłaszcza z Bliskiego Wschodu, nie cieszą się popularnością w byłej NRD, jednak Sahra Wagenknecht nie ukrywa, że jej ojciec był Irańczykiem. To po nim odziedziczyła upięte kruczoczarne włosy kontrastujące z czerwonymi kostiumami, które stały się jej znakiem rozpoznawczym. To, co w Niemczech jest określane tłem migracyjnym, nie przeszkadza jej głosić haseł wymierzonych w nielegalną migrację. I to do tego stopnia, że jakiś czas temu została na partyjnym zebraniu zaatakowana tortem przez skrajne bojówki lewicy. To jednak nie odebrało jej zwolenników. Wręcz przeciwnie.

„PRAWICOWY EKSTREMISTA"

Nie ma wątpliwości, że oprócz ugrupowania Wagenknecht elektorat antyimigracyjny obok AfD będzie chciała obsługiwać także inna nowa partia, czyli konserwatywna Unia Wartości Hansa-Georga Maassena, byłego członka chadecji. Przez wiele lat był on członkiem niemieckiego establishmentu, dochodząc do funkcji szefa Urzędu Ochrony Konstytucji. Nawet jego przeciwnicy przyznają, że ten doktor prawa jest znakomitym organizatorem, który wyprowadził po latach kryzysu niemiecki kontrwywiad z doliny łez. Mimo świetnych wyników został zmuszony do odejścia z funkcji szefa urzędu po ostrym konflikcie z Angelą Merkel, którą krytykował za politykę migracyjną. Do jego dymisji przyczyniły się też wściekłe ataki środowisk lewicowych, które zostały objęte szerszym niż wcześniej zainteresowaniem służby specjalnej dowodzonej przez Maassena.

To jednak pozwoliło mu zbudować popularność, choć nie aż tak dużą, by zdołać dostać się do Bundestagu. Na przeszkodzie stanęła mu zmasowana kampania prasowa prowadzona przeciw jego kandydaturze przez wszystkie największe media niemieckie. Do niewielkiego w sumie okręgu wyborczego we wschodnich Niemczech, skąd startował, zjechały się przed wyborami dziesiątki dziennikarzy z największych niemieckich mediów, które nawet nie starały się ukrywać swojego wsparcia dla przeciwnika Maassena. To poskutkowało i były szef Urzedu Ochrony Konstytucji przegrał rywalizację (choć nieznacznie).

Jak wielka jest siła strachu przed ugrupowaniem Maassena, świadczy to, że on sam został objęty nadzorem Urzędu Ochrony Konstytucji. Tego samego, którym kierował wiele lat. Został sklasyfikowany jako prawicowy ekstremista na podstawie doniesień skrajnie lewackich organizacji. Objęcie go nadzorem oznacza, że wobec Maassena może być stosowany szeroki wachlarz środków

Sahra Wagenknecht, liderka Sojuszu, której znakiem rozpoznawczym stały się czerwone kostiumy FOT. MAJA HITIJ/GETTY IMAGES

Wszystkie niemieckie ugrupowania, niezależnie od retoryki, działają na rzecz zwasalizowania Polski

eprasa.pl 7b8aff7cae

operacyjnych, począwszy od kontroli korespondencji, podsłuchów, geolokalizacji, a na wprowadzaniu agentury w jego otoczenie skończywszy. Nie ma żadnego znaczenia, że przez całe lata zajmował się ściganiem ekstremistów, zarówno tych z prawej, jak i z lewej strony sceny politycznej. A może jednak ma? Bo o ile na ściganie ekstremistów prawicowych istnieje przyzwolenie niemieckich elit, o tyle już lewicowy ekstremizm cieszy się wsparciem ich dużej części. Wsparcie to okazują też media i władze. Widać to doskonale na przykładzie organizowanych od dwóch tygodni manifestacji antyprawicowych. Media nie tylko je relacjonują, lecz także wręcz organizują, publikując informacje o terminach tych demonstracji w poszczególnych niemieckich miastach. Niezależni obserwatorzy wyłapali, że w relacjach medialnych wypowiadają się jako zwykli przechodnie aktywiści skrajnie lewicowych ugrupowań, a nawet dziennikarze mediów publicznych i nie jest to odnotowywane w podpisach.

Na tym tle sposób relacjonowania przez media powstawania partii Sahry Wagenknecht różni się diametralnie. Wypowiedzi samej liderki partyjnej relacjonowane są dość wybiórczo. Wybijane są sprawy związane z polityką społeczną. Mniej eksponowane są jej wypowiedzi, które można uznać bez wahania za prorosyjskie. Liderzy tego ugrupowania unikają jednoznacznego wsparcia Władimira Putnia, jednak podobnie jak w latach 70. i 80. opowiadają się za pokojem i domagają się natychmiastowego zaprzestania wspierania Ukrainy uzbrojeniem, co musiałoby doprowadzić do klęski tego kraju. Jako żywo przypomina to ruchy pokojowe, które za komunizmu domagały się wycofania z Niemiec Zachodnich rakiet Pershing. Po upadku muru berlińskiego i otwarciu akt Stasi okazało się, że działacze pokojowi na Zachodzie korzystali z hojnego wsparcia służb specjalnych zza żelaznej kurtyny.

Czas ogłoszenia powstania dwóch nowych ugrupowań – Sojuszu Sahry Wagenknecht i Werte Union Hansa-Georga Maassena – nie jest przypadkowy. W czerwcu odbędą się wybory do europarlamentu i oba ugrupowania mają realną szansę na wywalczenie w nich mandatów, gdyż w tych wyborach obowiązuje bardzo niski próg na poziomie 2 proc. Wprowadzenie swoich kandydatów do europarlamentu da wiatr w żagle tym ugrupowaniom przed wyborami do landtagów na Wschodzie. A to może oznaczać powtórkę scenariusza z AfD, która najpierw wprowadzała swoich przedstawicieli do parlamentów landowych, by sięgnąć następnie po Bundestag.

Warto na koniec się zastanowić, co ten scenariusz oznacza dla Polski. I trzeba od razu powiedzieć, że nic nowego. W Niemczech niezależnie od deklaracji o budowaniu trwałej współpracy z naszym krajem Polska jest traktowana marginalnie i de facto wszystkie niemieckie ugrupowania niezależnie od retoryki działają na rzecz zwasalizowania Polski. Podobnie będzie zarówno z ugrupowaniem Sahry Wagenknecht, które jest partią jawnie prorosyjską wzywającą de facto do kapitulacji Ukrainy. Trochę lepiej jest w przypadku Hansa-Georga Maassena, który pozytywnie wyrażał się o rządach PiS w Polsce, a ze względu na to, iż pełnił wiele lat funkcję szefa kontrwywiadu, ma do Rosji stosunek zniuansowany. Jednak również w jego ugrupowaniu są ludzie określani jako Russenversteher, czyli mający zrozumienie dla Federacji Rosyjskiej. Do nich zalicza się niewątpliwie były szef niemieckiej marynarki wojennej wiceadmirał Kay-Achim Schönbach, który jest numerem dwa w Werte Union. Tuż przed inwazją na Ukrainę zasłynął on stwierdzeniami o tym, że Putinowi należy się szacunek, a Krym pozostanie na zawsze rosyjski (za co go zdymisjonowano). Z drugiej strony Werte Union popiera postulaty polskich konserwatystów sprzeciwiających się przekazywaniu Unii Europejskiej dużej części suwerenności. Nie jest też wykluczone, że po eurowyborach ludzie Maassena zasilą frakcję parlamentarną ECR, do której należy PiS. To oznacza, że z Werte Union będzie można zawierać sojusze taktyczne, ale nie należy mieć złudzeń, że będą nas łączyły z nią interesy strategiczne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7b8aff7cae

FOT. ADOBE STOCK

Podwyżki!

Znów będą podwyżki!

Jacek Przybylski

Płaca minimalna rośnie w Polsce w tempie niewidzianym w żadnym innym kraju UE. W tej kategorii przegoniliśmy już nie tylko takie kraje regionu jak Czechy, Słowacja czy Węgry, lecz także Chorwację, Portugalię, Grecję, Maltę czy Litwę. A to przecież nie koniec podwyżek. Jeszcze w tym roku wzrosną zarówno płace milionów pracowników, jak i ceny towarów i usług

eprasa.pl 7b8aff7cae

Pięć lat temu pracownicy mieli przez ustawowe zapisy gwarantowaną pensję w wysokości 2250 zł brutto. Minimalna stawka godzinowa wynosiła zaś w 2019 r. 14,7 zł. Od tego czasu politycy mocno przykręcili jednak śrubę pracodawcom, w szybkim tempie zwiększając koszty pracy. Jeszcze na początku stycznia ubiegłego roku wygrodzenie minimalne dla pracownika zatrudnionego w pełnym wymiarze czasu pracy wynosiło 3490 zł (po podwyżce z 3010 zł). Rok 2023, czyli rok wyborczy, rządził się jednak swoimi politycznymi prawami, więc 1 lipca 2023 r. zaczęła obowiązywać druga obowiązkowa podwyżka – tego dnia tzw. najniższa krajowa oficjalnie wzrosła do 3600 zł brutto. A politycy bez wahania stwierdzili, że to nie jest ich ostatnie słowo. Od 1 stycznia 2024 r. płaca minimalna wynosi więc już 4242 zł brutto, czyli aż o 752 zł więcej niż w styczniu roku ubiegłego.

Wrażenie robi procentowy skok minimalnego wynagrodzenia w Polsce od 2019 r. do roku 2024. Wzrosło ono z 2250 zł do 4242 zł, czyli aż o 88,5 proc. (!). Od roku 2010 płaca minimalna nad Wisłą wzrosła zaś o ok. 170 proc. (130 proc. w przeliczeniu na euro). Imponujące tempo, prawda? A to przecież wcale nie koniec zaplanowanych wzrostów. Już 1 lipca obecnego roku 12,1 proc. legalnie zatrudnionych pracowników w Polsce zgodnie z decyzją rządu musi dostać kolejną podwyżkę wynagrodzenia. Od 1 lipca płaca minimalna oficjalnie wzrośnie bowiem do poziomu 4300 zł brutto. W sumie tylko w roku 2024 osoby pracujące na stanowiskach, gdzie obowiązuje płaca minimalna, otrzymają niemal 20 proc. podwyżki płacy brutto.

LIDERZY W UNII EUROPEJSKIEJ

Skala podwyżki rok do roku wyniosła więc 21,5 proc. Z rankingu przygotowanego przez Eurofound wynika, że Polska jest liderem wśród wszystkich państw Unii Europejskiej pod względem tempa tegorocznych podwyżek płacy minimalnej. Druga w tym zestawieniu Chorwacja nakazała pracodawcom podniesienie poziomu najniższych wynagrodzeń o 20 proc. (czyli do wysokości 840 euro miesięcznie, czyli równowartości ok. 3650 zł). Na najniższym miejscu podium wśród unijnych rządów, które najlżejszą ręką wydawały pieniądze przedsiębiorców, znalazła się Bułgaria. Rząd w Sofii nakazał podniesienie wynagrodzenia minimalnego o 19,6 proc. do 933 lewów bułgarskich (równowartość 2070 zł brutto).

Dwucyfrowe podwyżki nakazali również rządzący na Węgrzech. Płaca minimalna nad Dunajem dla wykwalifikowanych pracowników wynosi 326 tys. forintów brutto, czyli równowartość 3647 zł (wzrost o ok. 15 proc.). O kilkanaście procent więcej niż przed rokiem wzrosło również wynagrodzenie minimalne w Estonii (wzrost o 13,1 proc. do 820 euro, czyli do równowartości 3562 zł) oraz na Łotwie (wzrost o 12,9 proc. do 700 euro, czyli w przeliczeniu do 3041 zł miesięcznie). W zdecydowanej większości krajów członkowskich Unii Europejskiej podwyżki nie przekraczały 10 proc.

Oczywiście płaca minimalna mimo ogromnego tempa wzrostu najwyższa nie jest wcale w Polsce. W tej kategorii prym wiedzie Luksemburg. Płaca minimalna w tym kraju wynosi od stycznia aż 2571 euro (w przeliczeniu to 11 170 zł miesięcznie brutto). Na kolejnych miejscach są Irlandia (2146 euro) oraz Holandia (2070 euro). Na minimalne wynagrodzenie nie powinni też narzekać pracownicy w Niemczech. Każdy zatrudniony na pełen etat w największej gospodarce Europy musi otrzymywać 2054 euro brutto. W Belgii płaca minimalna wynosi 1991 euro, we Francji 1767 euro, a w Hiszpanii 1323 euro. W krajach Unii Europejskiej wynagrodzenie minimalne wynosi mniej niż 1000 euro.

POLSKA W TOP 10

Polska zajmuje 10. miejsce wśród 22 krajów członkowskich UE, w których obowiązuje płaca minimalna. Według Eurostatu wynagrodzenie minimalne nad Wisłą wynosi w przeliczeniu 978 euro i jest porównywalne z takimi krajami jak Cypr (1000 euro), Portugalia (978 euro), Malta (925 euro), Litwa (924 euro) czy Grecja (910 euro). Dla porównania: w Rumunii minimalne wynagrodzenie wynosi 663 euro, na Węgrzech 697 euro, na Słowacji 750 euro, a w Czechach (764 euro).

Wyraźnie widać więc, że Polacy – obok innych państw dawnego bloku wschodniego – krok po kroku zmniejszają dystans, który dzieli ich od pracowników z najzamożniejszych krajów zachodnich UE.

Polska wypada jeszcze lepiej, jeśli weźmie się pod uwagę płacę minimalną według parytetu siły nabywczej (PPS). Wskaźnik Eurostatu jest świetny, ponieważ pokazuje on bardzo wyraźnie, że płaca minimalna nad Wisłą wzrosła w ostatnich latach tak bardzo, iż w zestawieniu krajów członkowskich UE Polska jest nie tylko w TOP 10, lecz także zajmuje już siódme miejsce, pierwszy raz w historii wyprzedzając Słowenię czy Hiszpanię i bardzo mocno depcząc po piętach Irlandii.

2024: CZAS NA NOWĄ DYREKTYWĘ

Spośród 27 państw członkowskich Unii Europejskiej płaca minimalna nie jest określona tylko w pięciu krajach – są to Austria, Dania, Finlandia, Szwecja oraz Włochy. Wcześniej w tym gronie był jeszcze Cypr, ale władze tego kraju wprowadziły w ubiegłym roku prawo dotyczące wynagrodzenia minimalnego. Na Starym Kontynencie poza UE ogólnokrajowych przepisów o płacy minimalnej nie mają takie kraje jak Norwegia, Szwajcaria czy Islandia. W tych państwach wysokość wynagrodzenia to np. wynik negocjacji prowadzonych między menedżerami a przedstawicielami związków zawodowych w konkretnym przedsiębiorstwie.

Ponieważ wynagrodzenie minimalne w wielu krajach Europy otrzymuje ponad 10 proc. zatrudnionych (np. w Słowenii jest to 15,2 proc.), Bruksela i w tej dziedzinie zdecydowała się zaprowadzić swoje porządki. Do 15 listopada obecnego roku kraje członkowskie powinny zaimplementować unijne regulacje w sprawie „adekwatnych wynagrodzeń minimalnych", zgodnie z dyrektywą Parlamentu Europejskiego i Rady z 2022 r. Dyrektywa nie określa wprawdzie konkretnego poziomu wynagrodzeń minimalnych. Zaleca jednak, aby płaca minimalna wynosiła 60 proc. mediany wynagrodzeń brutto lub 50 proc. przeciętnego wynagrodzenia brutto. Co to oznacza dla pracowników i pracodawców w Polsce? Jak to co? Podwyżki płac i kolejny wzrost kosztów pracy! Na razie w Polsce stosunek płacy minimalnej do

eprasa.pl 7b8aff7cae

mediany wynagrodzeń wynosi bowiem teoretycznie 52,1 proc., a nie 60 proc. (bardzo podobnie jest też w Niemczech, gdzie stosunek ten wynosi 52,6 proc.).

WSZYSCY POLACY Z PENSJĄ MINIMALNĄ?

Podwyżki najniższych wynagrodzeń mają z założenia zrekompensować pracownikom ostatnie lata wysokiej inflacji, gdy „realne" płace minimalne spadły w większości państw członkowskich UE. Problem w tym, że w czasach, gdy inflacja była wyraźnie niższa, politycy, aby przypodobać się wyborcom, i tak ustalali wyższe podwyżki wynagrodzeń, niż wynikałoby to z ustawowego wskaźnika.

Eksperci coraz głośniej biją więc na alarm. „Konieczny jest dialog między rządem a związkami zawodowymi na temat płacy minimalnej; to się wymknęło spod kontroli, niedługo wszyscy będziemy zarabiali płacę minimalną" – ostrzegał już jesienią ubiegłego roku rzecznik małych i średnich przedsiębiorstw Adam Abramowicz podczas otwarcia 13. edycji Europejskiego Kongresu Małych i Średnich Przedsiębiorstw w Katowicach, zauważając, że w 2024 r. płaca minimalna wyniesie 55 proc. średniej płacy, a w mikrofirmach aż 70 proc. średniej.

Wbrew pozorom argument o szybko rosnącej większej grupie osób otrzymujących wynagrodzenie minimalne nie jest niestety ani trochę przesadzony. Spłaszczenie płac jest wyjątkowo mocno widoczne zarówno w mikrofirmach, jak i w mniejszych miejscowościach. Spostrzeżenie to potwierdzają również oficjalne dane. Według GUS w roku 2018 liczba pracowników otrzymujących wynagrodzenie w wysokości płacy minimalnej wynosiła ok. 1,5 mln osób, czyli 13 proc. ogółu liczby pracowników najemnych w przeliczeniu na pełne etaty. Według Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej liczba osób utrzymujących wynagrodzenie minimalne w 2024 r. szacowana jest już na 3,6 mln osób. Przy założeniu, że na etacie pracuje w Polsce 13,5 mln osób, pensję minimalną otrzymywać będzie ponad 25 proc. (sic!) wszystkich zatrudnionych Polaków. Zdaniem ekspertów to ewenement na skalę światową. Według ostatnich danych Eurostatu odsetek pracowników zarabiających poniżej 105 proc. wynagrodzenia minimalnego w 2018 r. najwyższy był w Słowenii i wynosił 15,2 proc. W czołówce była też Bułgaria (14,1 proc.), Rumunia (13,3 proc.) oraz Polska (według Eurostatu wskaźnik ten wynosił nad Wisłą 12,1 proc.). W tym samym rankingu na drugim końcu skali były takie kraje jak Hiszpania, Belgia, Malta czy Czechy, w których odsetek pracowników zarabiających poniżej 105 proc. wynosił odpowiednio 0,8 proc., 0,9 proc., 1,8 proc. oraz 3,1 proc.

– Różnice w reakcjach pracowników na rekordowy wzrost płacy minimalnej są zauważalne. Niektórzy cieszą się z perspektywy wyższych zarobków, co z pewnością przyniesie korzyści w ich codziennym funkcjonowaniu. Jednakże istnieje także grupa pracowników, która wyraża pewne obawy związane z krótkotrwałym charakterem tych zmian – zauważa Ewelina Gawlik, prezes agencji Nova Praca Group, w przesłanej „Do Rzeczy" informacji prasowej. Na szybkim wzroście płacy minimalnej stracić mogą najbardziej zaangażowani, twórczy i pracowici członkowie załóg, zarabiający dotąd powyżej minimalnego wynagrodzenia, ponieważ niektórych pracodawców może nie być stać na kolejne dwucyfrowe podwyżki dla najlepszych członków zespołu.

Taki trend może coraz bardziej irytować oraz demotywować lepiej wykształconych i bardziej doświadczonych pracowników, którzy po latach pracy w danej firmie mogą zarabiać niewiele więcej lub nawet tyle samo, co osoby, które dopiero zostały zatrudnione.

DROŻSZA PRACA TO WYŻSZE CENY

Chociaż poprawa warunków życia pracowników to jak najbardziej szczytny cel, to nie wiadomo, czy sztucznie wymuszane przez polityków podwyżki rzeczywiście życie to poprawią czy wręcz przeciwnie: wywołując negatywne konsekwencje w gospodarce i na rynku pracy, znacząco pogorszą status materialny przynajmniej części zatrudnionych.

Spektakularny wzrost wynagrodzeń minimalnych oznacza bowiem bardzo gwałtowny wzrost kosztów pracy. Pracodawcy są bowiem przecież zobowiązani nie tylko do podniesienia wypłacanej pracownikowi pensji, lecz także do opłacania za niego wyższych składek ZUS. Wzrost najniższego wynagrodzenia o 20 proc. sprawił, że koszt zatrudnienia pracownika wzrósł z ok. 4200 zł do 5110,76 zł, a od lipca wzrośnie do 5180 zł. I to bez uwzględniania ewentualnych kosztów związanych z PPK.

Podwyżki dla najsłabiej zarabiających rodzą zaś dodatkową presję na szefów firm ze strony osób pracujących na wyższych stanowiskach. Za wyższymi kosztami przedsiębiorców idą z kolei potencjalnie wzrosty cen towarów i usług, czyli wzrost inflacji. Rosnące wynagrodzenie minimalne przekłada się również na wysokość składek ZUS płaconych przez osoby prowadzące jednoosobową działalność gospodarczą. Ci zaś wyższe składki mogą próbować przerzucić na swoich klientów, co znów zadziała proinflacyjnie. Potencjalny efekt? Politycy będą chwalić się szybko rosnącą pensją minimalną, ale większość korzyści z tych podwyżek i tak zje wysokie tempo wzrostu cen towarów oraz usług.

Tak spektakularny wzrost wynagrodzenia minimalnego jak w ostatnich latach w Polsce może też wpływać na zmniejszenie konkurencyjności polskiej gospodarki. A to niejedyne potencjalnie groźne skutki krótkowzroczności polityków i związkowców. Ogromne tempo wzrostu płacy minimalnej może też wpłynąć na wzrost szarej strefy. Zgodnie z przepisami pracownik, który kosztuje pracodawcę ponad 5,1 tys. zł, dostaje bowiem na rękę zaledwie 3,2 tys. zł. Eksperci ostrzegają, że może się zwiększyć liczba pracodawców, którzy z pracownikami będą się rozliczali, wypłacając im pieniądze „pod stołem", poza umową, bez składek etc.

Szybko rosnąca płaca minimalna stanowi również potencjalną przeszkodę dla samych pracowników. Część firm może być zmuszona do redukcji zatrudnienia. Wysokie wynagrodzenie minimalne może być też barierą dla osób, które nie mają świetnych kwalifikacji lub np. długo pozostawały poza rynkiem pracy. I chociaż może nie być to widoczne od razu – szybki rozwój gospodarczy w roku 2024 powinien bowiem zwiększyć popyt na pracę i wzmocnić rynek pracownika – to może być istotnym argumentem w trudniejszych czasach, gdy rynek pracy stanie się rynkiem pracodawcy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7b8aff7cae

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kto w PiS był przeciw?

Obawiam się, że rację mają ci, którzy twierdzą, iż tego, co stało się z Orlenem i Lotosem, nie da się już odwrócić – choć oby się mylili.

Ale za to nic – absolutnie nic – nie stoi na przeszkodzie, żeby wyjaśnić, kto wśród rządzących – w rządzie Morawieckiego i na jego obrzeżach, a także wśród liderów PiS i całej Zjednoczonej Prawicy – był przeciw operacji przejęcia Lotosu przez Orlen wraz ze wszystkimi tego, wymuszonymi przez Komisję Europejską, a złymi dla Polski, konsekwencjami. Czyli koniecznością odsprzedania znacznej części aktywów Lotosu, które Orlen sprzedał Saudi Aramco (m.in. 30 proc. udziałów w Petrochemii Gdańskiej) i MOL-owi (większość stacji Lotosu); sprzedał – jak twierdzi NIK – po zbyt niskiej cenie i na warunkach powodujących ryzyko dla bezpieczeństwa energetycznego Polski.

A przy okazji wyjaśnić także, bo to w istocie jeszcze ważniejsze, kto był – intencjonalnie lub tylko przy okazji – przeciw tej operacji z powodu ogromnego zmniejszenia konkurencyjności na polskim rynku paliw – z wielką szkodą dla wszystkich polskich klientów stacji paliw.

Zatem: Kto w rządzie PiS, we władzach PiS i Zjednoczonej Prawicy był przeciw operacji przejęcia Lotosu przez Orlen wraz ze wszystkimi jej złymi dla Polski konsekwencjami? Bo przecież wiadomo, że taka opozycja – i to niemała i nie niewiele znacząca – wobec tej operacji w PiS istniała. Jakie politycy ci, sprzeciwiając się przejęciu, mieli argumenty? Czy przywoływali jakieś ekspertyzy? A jeśli tak, to jakie? I dlaczego ostatecznie przegrali oraz z kim przegrali? Kto był po drugiej stronie, czyli kim byli główni zwolennicy operacji przejęcia Lotosu przez Orlen wraz ze wszystkimi jej złymi dla Polski konsekwencjami?

A wracając do początku tego tekstu – o ile, niestety, zapewne nie da się unieważnić operacji przejęcia Lotosu przez Orlen (choć oby się jednak dało!), o tyle znacznie łatwiej wyobrazić sobie rozbicie powstałego w ostatnich latach czebola Orlenu i pozbawienie go m.in. PGNiG i Energi. I na powrót uwolnienie tych firm spod władztwa Orlenu – z pożytkiem dla wszystkich ich klientów, czyli mnóstwa Polaków, którym zawsze na rękę jest im większa, tym lepsza konkurencja, a nie jej brak, bo tylko ona – a nie „dobre serce" tego czy owego prezesa Orlenu, który lubi się bawić marżami benzyny – daje im stałą gwarancję niższych cen i lepszej jakości produktów.

I dlatego przydałoby się im także – im szybsze, tym lepiej – na powrót rozbicie monopolu Orlenu na rynku paliw.

Ale czy nowemu rządowi zależy na przywróceniu w Polsce konkurencji i zadbaniu o interes klientów stacji paliw oraz użytkowników prądu i gazu? Jakoś nic na to na razie nie wskazuje. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Zmarnowane referendum

Czy ktoś jeszcze pamięta referendum, które zostało przeprowadzone łącznie z październikowymi wyborami parlamentarnymi? Przypomnę, że zagłosowało w nim niewiele ponad 40 proc. uprawnionych, odpowiadając na cztery pytania. Wszystkie były sformułowane w sposób daleki od neutralności, z tezą, i miały posłużyć PiS jako dodatkowa broń przeciwko Koalicji Obywatelskiej.

Można było pokazać obywatelom, że traktuje się ich opinię poważnie

Brzmiały one:

Czy popierasz wyprzedaż majątku państwowego podmiotom zagranicznym, prowadzącą do utraty kontroli Polek i Polaków nad strategicznymi sektorami gospodarki?

Czy popierasz podniesienie wieku emerytalnego, w tym przywrócenie podwyższonego do 67 lat wieku emerytalnego dla kobiet i mężczyzn?

Czy popierasz likwidację bariery na granicy Rzeczypospolitej Polskiej z Republiką Białorusi?

Czy popierasz przyjęcie tysięcy nielegalnych imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki, zgodnie z przymusowym mechanizmem relokacji narzucanym przez biurokrację europejską?

Z dzisiejszej perspektywy widać, jak dramatycznie zmarnowaną okazją było referendum. Pytanie o barierę na granicy z Białorusią było kompletnie bez sensu, bo nikt nie proponował jej likwidacji. Pytania pierwsze i trzecie były najczystszą propagandą. Może jeszcze jakoś broniło się pytanie o wiek emerytalny.

Pytanie o pakt migracyjny staje się zresztą, przynajmniej na razie, bezprzedmiotowe, bo oto MSWiA zapowiedziało, że Polska zawetuje wszystkie elementy tego rozwiązania. Przy okazji wytknięto rządowi PiS, że wbrew swoim deklaracjom na etapie negocjacji wcale nie walczył twardo o odrzucenie pakietu regulacji migracyjnych.

Można było w referendum zapytać o pomoc socjalną dla Ukraińców, no ale to rządowi nie pasowało. Można było zapytać o rezygnację z prawa weta w UE, a pytanie o imigrację można było zadać językiem neutralnym. Można było pokazać obywatelom, że traktuje się ich opinię oraz ich samych poważnie, a nie tylko jako dodatek do własnej kampanii na rzecz rozpaczliwej próby utrzymania się przy władzy.

Dzisiejsza niepewność co do wielu aspektów dalszego działania państwa ma swoje źródło również w tym, jak PiS potraktował wówczas wyborców. ©℗

eprasa.pl 7b8aff7cae

Joanna Bojańczyk

Żelazna lady mody

„Anna Wintour. Biografia" to opowieść o wpływowej damie, która od 30 lat zarządza modą. Kim jest drobna 70-latka, szefowa amerykańskiego „Vogue"? Na pewno nie diabłem ze starego filmu. Książka świetnie zresearchowana, wartko napisana, pełna smacznych anegdot środowiskowych, które dużo mówią o amerykańskiej rzeczywistości

Nawet ci, którzy modą interesują się umiarkowanie albo wcale, słyszeli o Annie Wintour, demonicznej redaktor naczelnej amerykańskiego wydania magazynu „Vogue". Dzięki filmowi „Diabeł ubiera się u Prady", który zresztą nie pretenduje do przedstawienia rzeczywistej postaci, stała się ona już samoistną celebrytką. Film sprzedał uproszczoną i zbanalizowaną wersję jej osoby. Jednak czy spodziewalibyśmy się czegoś innego? Ona sama nie pcha się na ekrany, ale nie sposób ją przeoczyć.

W wydawnictwie Marginesy ukazała się właśnie biografia Wintour. Autorka Amy Odell zebrała imponujący, solidny materiał: setki informacji od ludzi ze środowiska mediów, rodziny, znajomych bohaterki. Książka jest świetnie zresearchowana, wartko napisana i pełna smacznych anegdot środowiskowych, które zarazem dużo mówią o amerykańskiej rzeczywistości. Czyta się to doskonale. Jeszcze jedno: lubię w Amerykanach to, że nie wstydzą się rozmawiać o pieniądzach. Widać to w tej książce; jest tu o czym pisać, bo biznes mody obraca dużymi sumami. Przynajmniej obracał; dziś czasy rozrzutności się skończyły; Anna Wintour miała okazję z nich skorzystać we wcześniejszych latach swojej kadencji w „Vogue".

Fakty z życia prywatnego bohaterki Odell podaje, zawsze cytując informatora; nigdy też nie przekracza cienkiej granicy, która dzieli poważną biografię

FOT. DAVE BENETT/GETTY IMAGES

eprasa.pl 7b8aff7cae

od plotkarskiej tandety epatującej intymnymi szczegółami.

CENTRUM WSZECHŚWIATA

W takim magazynie jak „Vogue” (amerykański) nie zostaje się naczelną z ogłoszenia w gazecie ani z rekrutacji w trybie publicznym. Jest się osobą z towarzystwa, która wcześniej przeszła już trudne próby w zawodzie dziennikarstwa glamour, pełniąc podrzędne stanowiska w magazynach mody i urody. Tak właśnie było z Anną. Wprawdzie „Vogue” był dopiero ostatnią stacją jej kariery, ale i tak miejsce w hierarchii społecznej Wielkiej Brytanii, które zajmowała jej rodzina, odegrało decydującą rolę w początkach jej drogi zawodowej. Ojciec Charles Wintour był redaktorem naczelnym gazety „Evening Standard”, matka, Amerykanka, córka profesora Harvardu, udzielała się okazjonalnie jako dziennikarka, ale głównym jej zajęciem było prowadzenie domu „na wysokiej stopie”.

Przez dom Wintourów w eleganckiej dzielnicy Londynu Mayfair przewijała się londyńska elita prasowa i kulturalna. Jednak Anna nie podzielała intelektualnych zainteresowań gości rodziców. Od dzieciństwa pasjonowała się modą, wygląd własny był jej obsesją, a innych oceniała poprzez to, jak się ubierają.

W latach 60. Londyn był nie tylko stolicą mody, lecz także miejscem buzującej ideologicznie, rozpolitykowanej, lewicującej młodzieży. Kilkunastoletnia Anna w tym nie uczestniczyła, a jeśli nawet, to po to, żeby się pokazać. Wybierając się na jedną z demonstracji, spędziła wiele godzin przed lustrem, nie mogąc się zdecydować na żadną z kreacji, a gdy w końcu się ubrała, wychodząc, uchyliła drzwi do gabinetu ojca z pytaniem: „Jestem za Kambodżą czy przeciw?”.

Świątynią młodych kobiet jej pokolenia był sklep Biba, założony przez Polkę Barbarę Hulanicki. Mroczne, błyskające psychodelicznymi światłami wnętrze pełne było wspaniałych ciuchów, o których marzyła każda dziewczyna. Dzięki znajomościom ojca Annie udało się tam zdobyć pracę, co nie było łatwe, bo dziesiątki jej rówieśniczek chciały tam pracować. W Bibie spędziła kilka miesięcy, zwolniono ją, oskarżając o kradzież ubrań, nie wiadomo, czy słusznie. Kradzieże były w Bibie powszechne, system magnetycznych zabezpieczeń nie był jeszcze znany.

Rodzice posyłali Annę do dobrych szkół, ale nauka niezbyt ją interesowała, szkolne nakazy wydawały się męką. Często razem z przyjaciółką uciekały z lekcji, w toaletach ściągały mundurki, zakładały minispódniczki i ruszały na ciuchowe zakupy. – Nie mogę się doczekać, aż wyjdę w świat i zacznę działać – powiedziała Anna autorce lata później. I po skończeniu szkoły średniej z nauką postanowiła zakończyć. Rodzice pogodzili się z jej decyzją, chociaż trudno im było zaakceptować, że córka nie będzie miała wykształcenia.

AMY ODELL „ANNA WINTOUR. BIOGRAFIA” MARGINESY 2024

Po kilku drobnych, pomocniczych pracach w magazynach mody pierwsze poważniejsze stanowisko – zastępczyni redaktor mody – zdobyła Anna w magazynie „Harpers & Queen”. Nie był to szczyt marzeń i pracy tej nie potraktowała jako długofalowej. Celowała wyżej, a swoje niezadowolenie wyrażała szefowej w bezpośredni sposób. „Potrafiła być paskudna dla ludzi, których nie lubiła”.

Dalszej kariery jeszcze nie planowała; miała więcej możliwości niż większość znajomych, bo dzięki matce była posiadaczką amerykańskiego paszportu. Swego ówczesnego narzeczonego namówiła na przeniesienie się do Stanów. Myślała o San Francisco, ale ostatecznie zdecydowała się na Nowy Jork. „Dla niej Nowy Jork był centrum wszechświata”. Tu także, jak w wielu innych sprawach, potem nie zawiodła jej intuicja.

W 1975 r. 25-latka wylądowała w Nowym Jorku, gdzie nie miała pracy ani mieszkania. Ruszyła od razu do „Vogue”, którego redaktor naczelną była wtedy Grace Mirabella. Na początku zatrudniono ją do nadzoru sesji, której celem było zrobienie jednego zdjęcia do listopadowego numeru. Annę zaskoczyła rozrzutność właścicieli pisma. Cała liczna ekipa musiała pojechać do oddalonego o 150 km kurortu Hamptons, żeby zrobić jedno zdjęcie. Ale gdy naczelnej nie spodobały się kolczyki, które nosiła modelka, Anna nie dostała pracy.

Ta rozrzutność, z którą Anna zetknęła się po raz pierwszy, powraca wielokrotnie na łamach tej książki. Czytelnik nieraz będzie zaskoczony, jak gigantycznymi sumami obracano w zarządzaniu luksusowymi magazynami wydawnictwa Conde Nast. Nic nie było za drogie: na koszt firmy redaktorzy jadali w najdroższych restauracjach, podróżowali w biznesklasie albo w concordami, przysługiwały im samochód z szoferem, fundusz na ubrania. Przyjęcia urządzane w eleganckich miejscach z różnych okazji gromadziły setki osób. Gdy współpracownik Anny, Andre Leon Talley, miał polecieć do Londynu, by wspierać przyjaciółkę po śmierci jej matki, wydawca zaoferował mu prywatny samolot. Nikt się temu nie dziwił ani temu, że Talley, będąc w Paryżu, mógł wypłacać jednorazowo 15 tys. dol. w gotówce. W pewnym momencie krociowe sumy zaczęły również dotyczyć Anny. Ale wtedy została ich beneficjentką.

Po rozmowie o pracę z jedną z największych w owym czasie redaktorek mody, Carrie Donovan, Anna została zatrudniona jako młodsza producentka w piśmie „Harper’s Bazaar”. Nie miała tam wiele do powiedzenia, a jej pomysły nie podobały się szefom i po dziewięciu miesiącach została zwolniona. Pismo wkrótce okazało się nieopłacalne i wydawca je zamknął. Był to przedostatni przystanek Wintour przed dobiciem do portu: magazynu „Vogue”.

ŚWIEŻE SPOJRZENIE

To był ostateczny cel Anny; stanowisko inne niż redaktor naczelnej nie wchodziło w rachubę. A jednak musiała zadowolić się niższym: zaproponowano jej posadę szefowej w piśmie wnętrzarskim „House & Garden”.

Już wtedy w branży dał się poznać charakter Anny Wintour. Była niezwykle sumienna, pracowita, zdyscyplinowana i powściągliwa. Miała jasno wytyczone cele, które konsekwentnie realizowała. Mówiła niewiele, ale milczenie sprawiało, że jej słuchano. Pochwał prawie nie używała; gdy coś się jej nie podobało, mówiła po prostu „nie”, a podwładni przyjmowali odmowę z pokorą. Rzadkie „dziękuję” już było pochwałą. Instynkt przywódczy był u niej wyjątkowo

eprasa.pl 7b8aff7cae

rozwinięty. Gdy coś było dobre, nie mówiła nic, po prostu przechodziła do następnego tematu. Do pracy przychodziła o wpół do ósmej rano, zdarzało jej się wychodzić po 10 wieczorem. Jeśli tylko miała chwilę wolnego, to robiła porządki w redakcyjnych papierach.

Wprawdzie sprzedaż pisma wzrosła, ale właściciele Conde Nast szybko zauważyli, że zainteresowania naczelnej zaczęły przekierowywać magazyn w stronę mody. To teraz jest „House & Garment” – żartowano... Rezygnowali prenumeratorzy. Wszystkim nasuwało się jedno rozwiązanie: Anna Wintour nie może tu dłużej zostać. Jest idealną i jedyną kandydatką na szefową „Vogue”. Miała zastąpić na tym stanowisku Grace Mirabellę.

W roku 1989 zaczyna się trwająca do dziś kadencja Anny Wintour w „Vogue”. Od roku 2013 pełni także funkcję dyrektor artystycznej Conde Nast, której podlegają inne magazyny tego wydawcy. W momencie, gdy Anna objęła stanowisko, amerykański „Vogue” nie był w dobrej kondycji: reklamodawcy wycofywali się, koszty rosły, „Elle” stał się poważnym konkurentem. Mirabelli, która zajmowała fotel naczelnej, zarzucano, że nie orientuje się we współczesnej kulturze, nie zna odpowiednich ludzi, a na zdjęciach pokazuje wystudiowane, nienaturalne modelki z tonami makijażu na twarzy. Było oczywiste, że perłę w koronie Conde Nast należy odmłodzić i uaktualnić. Skończyć z pokazywaniem samej tylko haute couture, wprowadzić tańsze ubrania z masowego rynku, przybliżyć tematy czytelnikowi. Okładka, na której modelka nosiła żakiet Christiana Lacroix ze spodniami młodzieżowej tańszej marki Guess, zapoczątkowała ten trend, który potem rozpowszechnił się w innych magazynach. Prezentowano nowoczesną dziewczynę, która miesza rzeczy z wysokiej i niskiej półki.

Wintour lubiła zaskoczyć nieprzewidzianymi aranżacjami i stylizacjami bohaterów. Madonnę, którą publiczność zawsze oglądała w kostiumach scenicznych i kabaretkach, sfotografowano, jak wychodzi z basenu z mokrymi włosami i w białym kostiumie kąpielowym. To było podejście dotąd nieznane w mainstreamowej prasie.

Anna miała intuicję, wyczuwała nadchodzącą zmianę. Potrafiła zejść z utartego szlaku. Gdy stwierdziła, że modelkami w ich sztywnych pozach wszyscy się znudzili, „Vogue” wprowadził znane osoby z życia publicznego, telewizji, kultury. U progu nowego tysiąclecia wyczuła nadchodzącą kulturę celebrytów. Na okładce pojawiły się niewpuszczane dotąd na salony Kardashianki, a także Oprah Winfrey, pierwsza czarnoskóra gwiazda na okładce. Gdy Internet i fotografia cyfrowa przeorały rynek prasy i mody, Anna zachowała równowagę. Wybrnęła z krytyki, którą po roku 2010 rozpoczęli aktywiści atakujący patologie systemu mody: nachalne trendy, brak poszanowania dla przyrody i zwierząt, wykorzystywanie taniej siły roboczej w biednych krajach. Anna poradziła sobie także z aktywistami PETY, którzy napastowali ją wiele razy, a raz wysprejowali fasadę jej domu czerwoną farbą.

IKONA ZDROWEGO ROZSĄDKU

Pogłoska, że odchodzi, towarzyszy Annie Wintour od lat. A ona trwa, ona, która w wieku 73 lat, prowadząc magazyn mody dla młodych, radzi sobie z wyzwaniami i nie zamierza się wycofać. Jej głos wciąż wiele znaczy, chociaż jest ona tylko trybem machiny międzynarodowego biznesu mody rządzonego przez kilka korporacji producentów ubrań i kosmetyków: Kering, LVMH, Richmond itp. To one rozdają karty jako reklamodawcy. Bez ich pieniędzy żadne pismo nie przetrwa.

Anna miała intuicję, wyczuwała nadchodzącą zmianę. Potrafiła zejść z utartego szlaku

„Vogue US” jest ważnym graczem, zważywszy na rozmiar amerykańskiego rynku: ponad 330 mln potencjalnych konsumentów. Jeśli brać rzecz statystycznie, to faktycznie mniej, gdyż „prawdziwa” moda interesuje głównie Nowy Jork, Boston i może kilka innych metropolii Wschodniego Wybrzeża oraz parę Zachodniego. Interior modą się raczej nie interesuje, co oczywiście nie znaczy, że nie jest brany pod uwagę. Tam wystarczą dżinsy, dresy, kurtka, sportowe buty, dla pań legginsy…

Wintour jako ikona mody? Śmieszy mnie to określenie bezsensownie powtarzane. Ale jeśli uznać, że jest to ktoś jak ona niezależny, kto bierze votum separatum od zmieniających się trendów, to może rzeczywiście Anna Wintour będzie ikoną. Nie mody, ale zdrowego rozsądku… Jej elegancja, brak skłonności do ekstrawaganckich wyczynów, staranność i zrozumienie, jak należy wyglądać w wieku 73 lat – to jest właśnie moda.

Zainteresowanie jej osobą bierze się z tego, że nikt jej do końca nie rozgryzł, choć wielu się starało. Idealny kąsek dla mediów: lodowata lady, z której trudno coś wydusić poza ogólnikami, która nie sprzedaje życia prywatnego, która obrosła legendą jędzy.

Europa cierpi na kompleks niższości wobec Stanów i snobuje się na Amerykę. Snobizm Ameryki na Europę, ściśle mówiąc na Paryż, wciąż trwa, ale Amerykanie mają pewność siebie, którą Europejczycy stracili. Są potęgą, która przesunęła centra mody w swoją stronę, ubrała świat w adidasy i sportowe ubrania. Dyktują wszystko, co młody modny człowiek powinien robić, jak wyglądać, co nosić, czego słuchać. To zabawne, jeśli sobie uświadomić, że do końca lat 90., mniej więcej do początku panowania Anny Wintour, moda amerykańska istniała w niewielkim zarysie. To nie Anna ją stworzyła, ona tylko pokazała ją światu. Jej wpływ jest niezaprzeczalny. Gdy w roku 2020, po zabiciu George’a Floyda, rozpętały się protesty BLM, to ona „pani od mody” zasugerowała, że Joe Biden powinien na wiceprezydent wziąć niebiałą kobietę. I tak się stało. Jak widać, rozwinęła się od czasu, gdy nie wiedziała, czy jest za Kambodżą czy przeciw.

Moda jako artykuł nie pierwszej, ale trzeciej czy czwartej potrzeby pojawia się tam, gdzie podstawowe potrzeby są zaspokojone, gdzie jest wysoki standard życia. I dlatego fashion nagle wybuchła w Stanach w okresie ich największej prosperity gospodarczej. Pamiętam, bo tam mieszkałam w drugiej połowie lat 80.

PS Jedyną rzeczą, którą mam do zarzucenia tłumaczce, jest słowo „odzież” jako clothes. Dlaczego to niezręczne słowo o archaiczno-peerelowskim zabarwieniu? Dlaczego nie ubranie?

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7b8aff7cae

Uwaga: nowe ceny na rok 2024

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

TEKSTY Z DODATKÓW SPECJALNYCH TYGODNIKA „DO RZECZY": „PRAWNA OBRONA PRZED POLONOFOBIĄ" + „PRAWNA OBRONA WOLNOŚCI SUMIENIA I IDEOLOGIA LGBT"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~711 ZŁ~~

249,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 462 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 7b8aff7cae

FOT. JAP

SUZUKI VITARA

Legendarny model japońskiego producenta, sprzedawany od ponad 35 lat, to jedna z wizytówek Suzuki. To nie jest kolejny crossover pełen krągłości, przez co bez znaczka marki trudno odróżnić, która to marka. Vitara została wyciosana niczym prawdziwa terenówka z wyraźnymi liniami tworzącymi surową bryłę auta. Nie każdy zakocha się w niej od pierwszego wejrzenia, zyskuje jednak przy bliższym poznaniu. I nawet jeśli nie będzie to od razu związek z miłości, to i tak warto się nią przejechać. To bowiem oszczędny i praktyczny miejski SUV, z opcją napędu na wszystkie łapy, który tymczasem wciąż pozostaje rozsądnie wyceniony.

Wnętrze jest przestronne. Dużo miejsca jest zwłaszcza z przodu, choć i z tyłu komfortowo mogą podróżować dwie dorosłe osoby. Ustawny bagażnik ma 362 l pojemności. Nie jest źle. Nawet najwięksi fani marki muszą jednak przyznać, że w surowo wykończonej kabinie trąci myszką. Za kierownicą zamiast cyfrowych wyświetlaczy nadal znajdują się duże, czytelne klasyczne zegary. Klimatyzację obsługuje się za pomocą tradycyjnych pokręteł i przycisków, co – prawdę powiedziawszy – jest o niebo wygodniejsze niż w przypadku ekranów dotykowych. Sam ekran systemu multimedialnego wygląda już na bardzo przestarzały. Grafika przywodzi na myśl pierwsze Atari, ale – o dziwo – sam system działa sprawnie. Do tego obsługuje Android Auto oraz Apple CarPlay, więc tragedii nie ma. Podobnie jak z kamerą cofania – fajnie, że jest, choć rozdzielczość obrazu mogłaby być wyższa.

Japończycy nie oszczędzają za to na nowoczesnych systemach bezpieczeństwa. Vitara jest więc uzbrojona np. w system zapobiegający nieświadomemu zjechaniu z pasa ruchu. Układ reagowania przedkolizyjnego ostrzeże również, że zbyt szybko zbliżamy się do przeszkody, i poradzi, by mocno wcisnąć hamulec.

Vitara w wersji z 1,4-litrowym silnikiem benzynowym o mocy 95 KM oraz silniczkiem elektrycznym o mocy 10 KM nie jest autem dla miłośników autostradowych szaleństw. Auto od zera do 100 km/h przyspiesza w 10,2 s. W teorii szału nie ma, ale w praktyce tym SUV-em da się jeździć całkiem żwawo i dynamicznie. A do tego oszczędnie. Średnie spalenie podczas testu wyniosło zaledwie 6,7l/100 km.

Bez zarzutu działa też sześciobiegowa, manualna skrzynia biegów.

Japończycy dobrze wiedzą, że Vitara zyskała już miano legendy. W zeszłym roku na motoryzacyjnym rynku zadebiutowała więc specjalna odmiana popularnego SUV-a – 35th Anniversary Special Edition. Wyróżnia ją kilka elementów, które docenią fani marki. Auto jest niemal całe granatowe. Niemal, bo dach jest grafitowy, z kolei obramowanie świateł do jazdy dziennej czy wlot powietrza są już w matowej czerni. W kabinie też różnią się niby tylko detale, ale od razu rzucają się one w oczy. Na przykład zegar z tarczą z cyframi Kanji na szczycie deski rozdzielczej cieszy oko i sprawia, że nikt nie może mieć wątpliwości, iż auto ma japońską duszę. W tej wersji w kabinie jest też grawerowany emblemat z napisem „35th Anniversary Special Edition". Auto ze specjalnej edycji jest dostępne w dwóch wersjach silnikowych – 1.4 BoosterJet mild Hybrid lub 1.5 DualJet Hybrid – i kosztuje tyle samo, co tradycyjna Vitara z dwukolorowym malowaniem.

Najtańsza Vitara z silnikiem 1.4 BoosterJet mild Hybrid z napędem na jedną oś kosztuje 89,9 tys. zł. a z napędem 4 x 4 – 106,4 tys. zł (w obu przypadkach cena dotyczy wyprzedaży rocznika 2023).

SŁUCHAWKI SENNHEISER ACCENTUM WIRELESS

Niezłej jakości brzmienie, dobry system tłumienia hałasu (ANC), długi czas pracy na baterii oraz dobry stosunek ceny do jakości – to największe zalety bezprzewodowych słuchawek ze średniej półki znanej niemieckiej marki.

Sennheiser Accentum Wireless to tańszy krewny modelu Momentum 4. Wzornictwo tego modelu szczególnie nie zachwyca, ale jakość wykonania nie budzi zastrzeżeń. Ważące 222 g słuchawki są dość komfortowe nawet podczas wielogodzinnego słuchania muzyki. Accentum Wireless łączą się bezprzewodowo z wybranym urządzeniem za pośrednictwem Bluetooth 5.2. Konfiguracja jest błyskawiczna i bajecznie prosta. Do zalet testowanych słuchawek należą tzw. multipoint (umożliwiający jednoczesne połączenie np. ze smartfonem i z komputerem) oraz wsparcie dla kodeków aptX, aptX HD, AAC, SBC, mSBC oraz CVSD. A co z brzmieniem? Jest nieźle. Muzyka brzmi przyjemnie, a brzmienie można dostosować do własnych upodobań za pomocą pięciopoziomowego korektora dźwięku w darmowej aplikacji Smart Control z popularną opcją dodatkowego wzmocnienia basów (Bass Boost). I trzeba przyznać, że bas jest tu dobry z odpowiednią porcją energii płynącą z nauszników. Sennheiser Accentum Wireless najlepiej sprawują się w średnim zakresie. Po przełączeniu na neutralne brzmienie zarówno ścieżka wokalna, jak i instrumenty brzmią naturalnie i czysto. Testowane słuchawki mają również system tłumienia hałasu (ANC), który dobrze radzi sobie z wycinaniem niechcianych dźwięków podczas podróży pociągiem, z szumem ulicy czy z hałasem odkurzacza.

Po stronie plusów zapisać należy długi czas pracy na jednym ładowaniu. Testowany model powinien działać przez 50 godzin i rzeczywiście czas ten udało się potwierdzić w naszym teście. Fajne jest też to, że wystarczy 10 minut doładowania, aby słuchawek można było używać przez następne pięć godzin. Aby akumulator o pojemności 800 mAh naładować do pełna, potrzeba trzech godzin.

Wady? Miłośnikom dobrego dźwięku brakować może złącza audio 3,5 mm. Próżno też szukać w zestawie etui. Niestety, nie da się ich też złożyć do wewnątrz, aby zaoszczędzić nieco miejsca w plecaku. Negatywnie zaskoczył mnie również brak funkcji automatycznego wstrzymywania odtwarzania muzyki przy zdjęciu słuchawek z głowy. Mimo to stosunek ceny tego modelu do jakości jest dobry. Za Sennheiser Accentum Wireless trzeba zapłacić 659 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 7b8aff7cae

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Ostatnia bitwa konfederatów

JACEK KOMUDA

Klasztor Karmelitów Bosych w Zagórzu, którego malownicze ruiny możemy dziś podziwiać na tle Bieszczadów, to miejsce ostatniej bitwy konfederatów barskich 29 listopada 1772 r. Południowe części województwa ruskiego, krakowskiego i sandomierskiego stały się wówczas terenem zaciętych walk powstańców, i to nie tylko szlachty, lecz także mieszczan. Zatem wspomniana konfederacja zawiązana w Barze na Podolu może być śmiało uznana za pierwsze polskie powstanie narodowe. Jak podaje Jerzy Tarnawski, już 12 lipca 1768 r. zastępca marszałka konfederacji ziemi lwowskiej oraz przemyskiej Jakub Bronicki wystosował uniwersał do szlachty sanockiej o stawiennictwo do obozu pod Targowiskami. Pięć dni później przystąpiło do niej mieszczaństwo Sanoka.

RYS. QBA

Konfederaci działający w trudnym, górzystym i lesistym terenie korzystali z szerokiego wsparcia zarówno duchowieństwa, jak i klasztorów, wśród których prym wiódł wspomniany konwent Karmelitów Bosych w Zagórzu nad Osławą. Nie taki jeszcze stary, bo ufundowany w 1700 r. przez wojewodę wołyńskiego Jana Adama Stadnickiego, budowany zaś przez prawie 30 lat. Oddany ostatecznie do użytku w 1730 r. Ruiny tej budowli i dziś sprawiają niezwykłe wrażenie, jako że miał ośmioboczną nawę główną, dwie kaplice, a wzniesiony został z lokalnego materiału – piaskowca. Przy konwencie działał szpital dla starych i chorych żołnierzy.

W XVIII w. dobroczyńcą klasztoru był Józef Ossoliński, konfederat barski, który udzielał powstańcom schronienia w swoich dobrach. Największe obozy panów barskich znajdowały się, jak podaje w swoim artykule Jerzy Tarnawski, w okolicznych wsiach i miasteczkach: Łupkowie, Płonnem, Radoszycach, Niebieszczanach, Zboiskach, Lesku i Zagórzu. Jednym z punktów oporu było zaś wzgórze nazywane i dziś Okopami Puławskiego – zapewne bronił się tutaj Franciszek Puławski, który ranny pod Hoszowem koło Ustrzyk zmarł w Lesku i został tutaj pochowany.

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Klasztor w Zagórzu odegrał chwalebną rolę ostatniej twierdzy konfederatów jesienią 1772 r. Był to już sam koniec powstania – 18 sierpnia Moskale zdobyli Częstochowę, tłumiąc brutalnie wszelki sprzeciw Rzeczypospolitej. Jednocześnie postanowiony był już pierwszy rozbiór kraju. Pod koniec listopada wszelaki opór istniał tylko w przygranicznych województwach i właśnie wtedy nieznana nam partia konfederatów zajęła klasztor Karmelitów na wzgórzu Mariemont. Prawdopodobnie, jak podaje Tarnawski, był to oddział, który przebijał się na Węgry albo dokonał wypadu zza granicy, aby podjąć ostatnią, desperacką próbę oporu. Do dziś nie udało się zidentyfikować walczących w nim powstańców. Natychmiast zwróciło to uwagę Moskali, którzy rozpoczęli regularne oblężenie konwentu, obwarowanego wysokim, pięciometrowym murem. Dowodził nimi zaś owiany złą sławą pogromca polskich miatieżników, gen. Iwan Drewicz, który kazał ostrzelać klasztor z dział. 29 listopada wybuchł tam pożar. Brak kul, żywności i prochu, a także zniszczenia doprowadziły do upadku ducha obrońców. Konfederaci zatem się wycofali – być może przez podziemny tunel pod nieistniejącą dzisiaj południową basztą konwentu.

Wbrew temu, co można sądzić, klasztor w Zagórzu, chociaż uszkodzony, uniknął jednak wówczas całkowitego zniszczenia, istniał jeszcze przez ponad 50 lat. Dopiero w 1822 r., w czasie sprzeczki przeora z jednym z zakonników, doszło do pożaru, który doszczętnie zniszczył budowlę. Dziewięć lat później rząd austriacki wykorzystał ten fakt do oficjalnej likwidacji klasztoru i przeniesienia karmelitów do Przeworska i Lwowa, wyposażenia zaś do kościoła parafialnego w Zagórzu. Od tej pory klasztor zmienił się w ruinę, choć kilkakrotnie podejmowano próby jego odbudowy – zarówno przed wojną, jak i po 1956 r., kiedy dzięki staraniom Tadeusza Żurowskiego, generalnego konserwatora zabytków, wydano zgodę na inwestycję i przygotowano plany. Rozpoczęło się porządkowanie ruin i zabezpieczano pozostałości. Niestety, z powodu braku funduszy prace budowlane zostały wstrzymane, a karmelitów, którzy zdążyli już sprowadzić się do klasztoru, eksmitowała milicja. Drugą próbę podjęły lokalne władze po 2000 r., jednak z powodu braku środków uporządkowano tylko teren. Dziś klasztor w Zagórzu to trwała ruina, monumentalny pomnik świetności dawnej Rzeczypospolitej i desperackiej próby jej ocalenia. ©℗

eprasa.pl 7b8aff7cae

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Słodka miłość

Paryż jest miastem zakochanych, czekolada symbolem miłości, szczęścia i radości, a walentynki są świętem zakochanych. Święto dość młode w polskiej tradycji, lubiane bądź nie, ale na pewno bardzo popularne, szczególnie wśród młodego pokolenia. Walentynki nawiązują do starożytnego święta płodności, czyli luperkaliów, które zwiastowały nadejście wiosny i były początkiem wiosennych zalotów, nie tylko wśród ptaków, lecz także wśród ludzi. Wraz z rozszerzaniem się chrześcijaństwa uznano, że dzień ten nazwany będzie walentynkami na cześć św. Walentego, biskupa rzymskiego skazanego przez Cesarza Klaudiusza II Gockiego na śmierć za to, że udzielał potajemnie ślubów. Panowało wówczas prawo narzucone przez cesarza mówiące o zakazie udzielania ślubów mężczyznom pomiędzy 18. a 37. rokiem życia, bo według cesarza legioniści, którzy nie posiadali rodzin, byli lepszymi żołnierzami. Uwięziony w celi św. Walenty zmarł 14 lutego i właśnie ta data stała się szczególna dla zakochanych. Tego dnia celebrujemy naszą miłość, zostawiamy ukryte karteczki z wyznaniem miłosnym, organizujemy romantyczne kolacje, obdarowujemy się prezentami. Tego dnia mamy niepowtarzalną okazję, aby wyznać sobie miłość. Obowiązuje zatem kolor czerwony, a smak przede wszystkim słodki. Bo miłość jest słodka i bardzo dla nas ważna w każdym wieku. To stan, kiedy w organizmie następuje eksplozja hormonów, kiedy dzięki dopaminie i serotoninie odczuwamy przyjemność i szczęście, a w naszym mózgu dochodzi do zmian biochemicznych. Jesteśmy pełni energii, dobrych myśli i wspaniałego samopoczucia. Dobrze, że jest jeden dzień w roku, kiedy możemy w pełni okazywać nasze uczucia, mówić i pisać o nich, a przy okazji cieszyć się smakiem.

Mocno czekoladowe brownie z malinami

• 200 g masła • 200 g czekolady gorzkiej lub deserowej • 100 g czekolady posiekanej na drobne kosteczki, zostawiamy do dodania do masy • 4 jajka • 250 g drobnego cukru do wypieków • 140 g mąki • szczypta soli • szklanka malin świeżych lub mrożonych • świeża mięta

Tortownicę o średnicy 23 cm nasmarowujemy masłem, nagrzewamy piekarnik do 160 st. C. W rondelku roztapiamy masło razem z czekoladą (2 x 200 g), odstawiamy do ostudzenia. W osobnej misce ubijamy jajka z cukrem na małych obrotach, tylko do połączenia składników, dodajemy roztopioną czekoladę z masłem, mieszamy, następnie dodajemy mąkę i sól oraz pozostałą czekoladę (100 g). Delikatnie mieszamy na jednolitą masę. Przekładamy do foremki nasmarowanej masłem, na wierzchu układamy maliny i wstawiamy do piekarnika. Pieczemy od 30 do 35 min. Ciasto może być miękkie w środku, jakby niedopieczone, ale takie ma być. Podajemy z listkiem świeżej mięty. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Mól lubi organic

Przeprowadzając się ze starej kamienicy do apartamentowca, znajomi liczyli na poprawę warunków życia. Wśród nadziei pokładanych w przeprowadzce była też jedna z gatunku pomniejszych: pozbyć się moli.

Kiedy klaszczesz, już jest za późno. To nie dorosłe owady fruwające w pokoju jak szybowce zjadają twoje ulubione swetry, tylko larwy. Dorosły osobnik wykluty z larwy, odżywiony keratyną z czystej wełny, wyfruwa sobie zadowolony na wolność i tam go oklaskujemy... Ale dobre i to: pozbywając się nieprzyjaciela, można mieć nadzieję, że w przyszłym sezonie już nie założy rodziny, którą trzeba będzie wykarmić w naszej szafie.

Zastanawiałam się, dlaczego te szkodniki zawsze atakują najlepsze swetry i dlaczego wybierają dół rękawów i przód. Dlaczego nie przyjdzie im do głowy, że z tyłu też można się pożywić i to równie smacznie?

Odpowiedź jest prosta: mól lubi tylko dobre rzeczy, akrylu nie tknie. Najbardziej smakuje mu kaszmir, a okolice rękawów i przody, zazwyczaj najbrudniejsze, oferują dodatkowe smakołyki organiczne. Cóż, mól jak człowiek, też lubi „organic". Jako że najdroższe swetry staramy się prać rzadziej, na nich też bufet jest najlepiej zaopatrzony.

Co począć? Naftaliny chyba już nie ma w sprzedaży, znikły również przesączone nią stare palta z jakichś pradawnych szaf.

Poradnictwo kalendarzowe proponuje różne środki: kawałki mydła, bagno, które można kupić na targu (zaczekawszy na wiosnę), patyczki cedrowe (Ikea), goździki. Z broni chemicznej mamy przyklejane do drzwi szaf papierki, do których mole się przyklejają. Molowy odpowiednik lepu na muchy. Obrońcy zwierząt są przeciwni i twierdzą, że przyklejony owad ginie w męczarniach. Nie wiem, czy to prawda, trzeba by zapytać prof. Niesiołowskiego. Z metod mniej kontrowersyjnych: włożyć do mikrofalówki albo do zamrażarki.

Gdy sytuacja jest już groźna, czyli gdy nie mamy już się w co ubrać, bo mole wszystko zeżarły, pozostaje okadzanie gazem. Trochę niebezpieczne...

Na koniec obrazek z dzieciństwa. Tata dostał z Anglii od kolegi z wojska (druga wojna światowa, info dla młodszych) kupon wełny wielbłądziej na płaszcz. Na początku ubogich lat 60. był to cenny prezent. Ale rodzice postanowili z szyciem zaczekać, bo Tata palto jeszcze miał. Zatem materiał owinięty grubym szarym papierem trafił na jakiś pawlacz. Tam przeleżał parę zim.

Domyślają się państwo finału: kiedy przypomniano sobie o nim, z paczki wysypały się strzępy, a w niebo wzbiły się setki radosnych, dobrze upasionych, wyzwolonych moli. ©℗

eprasa.pl 7b8aff7cae

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Władza na resorach

Drżą podstawy świata. Mamy postulowaną przeze mnie międzynarodówkę antysystemową. Europę zalewają protesty i to nie tylko rolników, lecz także kierowców, transportowców czy obsługi lotnisk. W USA ocieramy się o wojnę domową, gdzie okazuje się, że sprzeczność interesów między lewicującym Waszyngtonem a zdroworozsądkowym Teksasem przybiera znamiona rebelii, co w stanie, który posiada własną Gwardię Narodową i uzbrojonych obywateli, pokazuje już pęknięcia na poziomie globalnym. A u nas? Sielanka i poboczności.

Jak to się dzieje, że takie wstrząsy są nieodczuwalne? To jasne – społeczeństwo w dobie wolnego dostępu do informacji wie tylko tyle, a właściwie emocjonuje się tylko tym, co mu podadzą na tacy media. A media są obecnie resorem niwelującym wstrząsy, a właściwie ich odczuwanie. Bo jedziemy po coraz bardziej wyboistym terenie, pomijając już, że koleiny wskazują bliską przepaść. Kłopot pod kołami historii istnieje i nawarstwia się, ale ludzkość jest kołysana na saniach podsuwanych problemików, tiktokowana w głupotach i rolkowana w bzdurach. Nożyce indukowanych wyobrażeń rozchodzą się z twardą rzeczywistością, a ta – jak wiadomo – prędzej czy później upomni się o swoje. Im później – tym bardziej.

To milczenie mediów na kluczowe tematy pokazuje też jedno – kto rządzi. A o tym, kto rządzi, można się łatwo przekonać, widząc, kogo nie można krytykować. Nie tylko w Polsce układ medialny stanowi system zamknięty. Nie dowiemy się niczego, czego władza nie chce. A że mamy światowe władze głównie z obszaru gnijącej demokracji liberalnej, to przekaz, a zwłaszcza cenzura idą w przyjaznych dla niej kierunkach.

Proste ćwiczenie tego zjawiska polega na próbie odwrócenia ról. Gdyby np. tęczowe zagony zablokowały prawicowy parlament, gdyby, powiedzmy, urzędujący Trump ruszył budować stanowe zapory przeciwko BLM w takiej powiedzmy Kalifornii, to o niczym innym w mediach światowych by nie mówiono dzień i noc. I nie trzeba byłoby żadnych tłumów, wystarczyłaby grupka aktywistów z plakacikiem z kartonu po pizzy. A my tu ślęczymy, kiedy tam z zagonami jak najbardziej pancernymi walczą bataliony traktorów. W sumie o nas, bo protesty rolników od razu przeniosły się w takiej Belgii na pustoszejące półki sklepowe, co jest pokazem tego, co nas czeka po wprowadzeniu zieloności do rolnictwa. Tak – to akurat media pokażą, by zwalić winę na kmieciów, którym się robić nie chce.

Polacy wiedzą, jak się żyje w rzeczywistości, która skrzeczy, mija się z oficjalnym przekazem. Mają też – niestety – zdolność do moszczenia się w takim dyskomforcie. Na długo? ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Sprawozdanie ze strachu

Zdumiewającego odkrycia dokonała Rada Języka Polskiego. W „Sprawozdaniu o stanie ochrony języka polskiego" za lata 2020–2021 językoznawcy z PAN ujawnili nadużycia, których dopuścił się poprzedni rząd. Analiza 5388 dokumentów wykazała, że po ogłoszeniu pandemii polityka informacyjna władz poległa na zinstytucjonalizowanym zarządzaniu strachem.

W komunikatach Centrum Informacyjnego Rządu, Ministerstwa Zdrowia, w tweetach, w ramach kampanii #SzczepimySię władze budowały poczucie zagrożenia. W tym celu stosowano język militarny, wręcz wojenny. „Takie wyrażenia jak: wróg, walka, bohaterowie, pierwsza linia frontu czy ofiary epidemii stały się w tym czasie nieodłączną częścią języka" – czytamy w raporcie. Rządowe przekazy miały na celu wywołanie poczucia strachu, by uzasadnić wprowadzane restrykcje. Chodziło także o zmotywowanie obywateli do poddania się obostrzeniom i programowi szczepień.

Zdumiewa, że autorzy trzy lata musieli pracować, by odkryć to, co na łamach m.in. naszego tygodnika pojawiało się w licznych tekstach i co w obszernej oraz konkludywnej analizie zawarłem w referacie 29 stycznia 2022 r. na konferencji „Oblicza pandemii" w Akademii Kultury Społecznej i Medialnej. Analizując język rządowych przekazów i większości mediów, zwróciłem właśnie uwagę na te same zwroty – celowe tworzenie zagrożenia porównywalnego z wojną. Już tylko codzienne podawanie we wszystkich serwisach liczby zakażeń, zgonów, zajętych łóżek itp. generowało społeczną psychozę. Ponadto wykazałem, że media i internetowi influencerzy czerpali korzyści z uczestniczenia w całej operacji. To tylko jedna z wielu przesłanek świadczących, że cała tzw. walka z pandemią była wydarzeniem przede wszystkim politycznym, dopiero potem zdrowotnym. Moje 36-minutowe wystąpienie, dostępne na kanale YT Radia Maryja, osiągnęło milion odsłon, po czym zniknęło (można je wyłowić z sześciogodzinnego zapisu konferencji, na innym kanale).

Wracając do Rady Języka Polskiego – w innym sprawozdaniu, z 2019 r., dotyczącym pasków informacyjnych z „Wiadomości", czytamy, że „75 proc. treści nie pełniło funkcji informacyjnej, tylko perswazyjną, kreacyjną i ekspresywną". Przekładając to na zwykłą mowę, rozumiem, że paski nie informowały, lecz tworzyły nową rzeczywistość. Szkoda, że w odniesieniu do pandemii eksperci od języka nie okazali się tak wnikliwi. Czyżby ze strachu czekali z publikacją do zmiany rządu? Ale zaraz, zaraz… Czy nie należałoby włączyć do sprawozdania sformułowania „koperty śmierci"? Dla ułatwienia dodam, że autorem jest polityk, który o różnych kopertach coś powinien wiedzieć. ©℗

eprasa.pl 7b8aff7cae

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Krzepki dzielnicowy

Jakież to figle, jakież figle! Stop. Nowe władze TVP przeciekły z informacjami na temat zarobków dziennikarzy z czasów, gdy rządził PiS. Stop. Skandal! Ile tym propagandzistom PiS płacono, po trzykroć skandal – grzmiano na nieliche, przyznać trzeba, zarobki. Stop. Ale przyszło nowe i od razu jest zmiana jakościowa, i to jaka! Stop. Zmiana mianowicie polega na tym, że nowe władze odmówiły informacji, ile zarabiają dziennikarze i menedżerowie nowej TVP, motywując to tajemnicą przedsiębiorstwa. Stop. Plotkarze z ul. Woronicza mówią, że podkupując dziennikarzy do nowej TVP z innych stacji, trzeba było przepłacać srogo, oj srogo, ale to w ogóle nie jest temat, dajmy spokój. Stop.

Minister edukacji Barbara Nowacka stwierdziła, że dla dzieci prace domowe to stres, m.in. dlatego je zlikwidowała. Stop. Nie znam myślącego człowieka, który zaprzeczyłby słowom pani minister, stres to stres, i to jaki! Stop. Szkoła to też stres, tu zakończę ten mój przygłupi wywód, bo konsekwencja wnioskowania dogłębnie mnie przeraziła.

Nie udało się posłom bądź nieposłom (zależy, po której stronie dualizmu prawnego się znajdujemy) Kamińskiemu i Wąsikowi za pierwszym razem po krótkiej odsiadce zdobyć Sejmu. Stop. Sceny batalistyczne na ulicy Wiejskiej obiegły świat. Stop. Ponoć trwają studia nad książką „Średniowieczna sztuka oblężnicza" niejakiego Gravetta. Stop. W materiałach reklamujących pozycję czytamy: „W niniejszym opracowaniu Christopher Gravett prezentuje różnorakie aspekty średniowiecznych działań oblężniczych, od kurtuazyjnych formalności, przez podstępy, aż po element zaskoczenia. Tekst jest bogato ilustrowany". Stop. Trudno nie polecić takiej pozycji!

Były sędzia Trybunału Konstytucyjnego Wojciech Hermeliński powiedział bez ironii, że uchwała zupełnie wystarczy, żeby z Trybunału Konstytucyjnego wyrzucić sędziów. Stop. Abstrahując od tego, jak bardzo na moich oczach zmienia się prawo, zmuszony jestem zgłosić zdanie odrębne: do wyrzucenia sędziów w zupełności wystarczy krzepki dzielnicowy. Stop.

Pochłonięci często wielką polityką nie zawsze zauważamy zwykłe ludzkie dramaty, a na nich czyhała laktoza! Stop. Laktoza! Dramat rozegrał się w Lidlu, właściwie w Lidlach, w sieci sklepów. Stop. Sklepy oferowały wegańskie pączki na tłusty czwartek, ale doszło do zdrady. Stop. W pączkach odkryto laktozę, a więc produkt odzwierzęcy będący cukrem występującym w mleku. Stop. Zdarzyły się przypadki, w których nieświadomi zagrożenia weganie zatapiali w tych pączkach zęby. Stop. Szpitale nie podają, jak masowa była skala odtruć wegan, zasłaniając się RODO. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Druga Japonia daleko

Ciekawie potoczyły się losy zdobywczyni tytułu Miss Japonii 2024. Przed dwoma tygodniami została nią 26-letnia Karolina Shiino. Panna Karolina wywołała swoim zwycięstwem kontrowersje w Kraju Kwitnącej Wiśni. Urodziła się bowiem na Ukrainie, do Japonii przyjechała zaś jako pięcioletnia dziewczynka, kiedy matka związała się z ojczymem Karoliny, panem Shiino. Jej uroda jest więc klasycznie europejska, choć Karolina znakomicie mówi i pisze po japońsku, a od 2022 r. ma też japoński paszport. Nigdy wcześniej tytułu tego nie zdobyła osoba, której rodzice nie byli Japończykami. W roku 2015 Miss Japonii została wprawdzie panna Ariana Miyamoto, córka czarnoskórego Amerykanina, jednak mama Ariany pochodziła z Japonii.

W przemówieniu wygłoszonym podczas ceremonii koronacyjnej Karolina Shiino podkreśliła, że czuje się Japonką, a decyzję jurorów przyjmuje z ogromną wdzięcznością. „Nie wyglądam jak typowa Japonka, jednak wychowałam się tutaj i całym sercem wyznaję wszystkie japońskie wartości". Organizatorzy konkursu piękności podkreślali w wywiadach, że Karolina posługuje się językiem japońskim w sposób doskonały i elegancki, odznacza się nieskazitelnymi manierami i jest „bardziej japońska od nas samych".

W ubiegłym tygodniu panna Shiino niespodziewanie zrezygnowała z tytułu Miss Japonii. Prasa wpadła bowiem na trop romansu, który miała z popularnym w Japonii lekarzem i influencerem internetowym, z racji wzorowej sylwetki cieszącym się przydomkiem Doktor Muskuł. Jest on mężczyzną żonatym. Po ujawnieniu ich związku nowa miss oświadczyła, że w trakcie trwania romansu nie wiedziała o stanie cywilnym partnera. Dziennikarze odkryli, że nie było to prawdą. Panna Karolina już następnego dnia przeprosiła wszystkich za kłamstwo, oświadczając, że „upokorzenie i lęk nie pozwoliły jej powiedzieć prawdy". Jednocześnie zrezygnowała z tytułu oraz wycofała się z intratnych kontraktów reklamowych i planowanych występów publicznych. Błyskawiczna decyzja powodowana być miała głębokim uczuciem wstydu.

Wygląda na to, że szacunku dla prawdy mogliby jej pozazdrościć wszyscy polscy politycy. Sposób, w jaki wycofują się oni z wcześniej składanych obietnic, a przyłapani na kłamstwach opowiadają bajeczki o medialnych nagonkach i niezrozumieniu kontekstu wypowiedzi, byłby zapewne nieakceptowalny dla wychowanej w Japonii ukraińskiej dziewczyny. Do bycia „drugą Japonią" musi nam, w kwestiach prawdomówności i wstydu, jeszcze nieco brakować. ©℗

eprasa.pl 7b8aff7cae

KRYSTIAN KRATIUK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Piękno tradycji w... Netflixie

Współczesna kultura masowa rzadko potrafi jeszcze zaskoczyć. Wystarczy bowiem spojrzeć na producenta filmu, jego reżysera czy też sponsorów, poznać tytuł dzieła i możemy spodziewać się, o czym będzie ono traktować, a także o tym, która strona ideologicznego sporu odnajdzie w dziele bliskie sobie idee. Inaczej jest jednak z zakończonym właśnie serialem „The Crown".

Można było się przecież domyślać, że skoro serial o brytyjskiej monarchii powstaje jako dzieło Netflixa, to jego przekaz będzie skrajnie lewicowy, przeciwny jakiejkolwiek formie utrzymywania tradycji. A przecież tym właśnie, ośrodkiem podtrzymującym tradycję i tożsamość Brytyjczyków, pozostaje monarchia i przez tyle dekad właśnie to uosabiała postać Elżbiety. Ale Netflix zaskoczył i przygotował monumentalny obraz symbolicznej potęgi oraz piękna monarchii, tradycji, odpowiedzialności i osobistego poświęcenia całego życia dla większej sprawy.

Zakończony kilka tygodni temu serial poruszył mnie wieloma sekwencjami, ale najbardziej emblematyczna i wzruszająca pozostanie scena z ostatniego sezonu, kiedy to oglądamy arcyciekawy spór między królową a premierem Tonym Blairem. Ona – strażniczka tradycji, nawet tych dzisiaj niezrozumiałych. On – wzięty reformator pragnący zmieniać wszystko i wszędzie. Ona – monarchini ubolewająca nad stopniową utratą sympatii ludu. On – najbardziej lubiany przywódca rodzącej się właśnie ery pop-polityki. Królowa prosi go o radę, jak sprawić, by naród cieplej oceniał Koronę. Premier odpowiada po swojemu w iście populistycznym duchu – należy przeprowadzić reformy, obciąć koszty, zrezygnować z pewnych urzędów. Elżbieta bierze tę radę na poważnie, ale jako że jeszcze poważniej traktuje swoją rolę w państwie, to zarządza przegląd urzędów podległych monarchii.

Wówczas oczom podłączonych do Internetu widzów ukazuje się istna galeria osobliwości – strażnik łabędzi, sypacz ziół, przewodnik po mieliznach, kredensowy szkła i porcelany, królewski astronom, dudziarz monarchy, a wszyscy oni przywiązani do odwiecznych tradycji, pieczołowicie je pielęgnujący, wkładający w nie całe serce, poświęcający im całe życie. Posiadający wiedzę i umiejętności, o których niemal nikt poza nimi nie ma pojęcia.

Gdy podczas kolejnej wizyty w pałacu Blair pyta królową, co postanowiła, ta odpowiada z właściwą sobie gracją: – Przeprowadziliśmy dokładny przegląd wszystkich dworskich funkcji. Nie znaleźliśmy na moim dworze ekstrawagancji nie do obrony ani zbytnich luksusów. Zamiast tego odkryliśmy niezwykły wachlarz cennej wiedzy i umiejętności przekazywanych z pokolenia na pokolenie, często wśród członków jednej rodziny. Nośnikiem tej ciągłości jest Korona. Naszym urokiem od stuleci jest niezmienność. Tradycja jest naszą siłą. Szacunek dla przodków, zachowanie mądrości i doświadczenia zbieranego od pokoleń. Nowoczesność nie zawsze jest odpowiedzią. Czasem jest nią staroświeckość.

Premier musi odejść niepyszny. Wkrótce odchodzi i z urzędu, a królowa trwać będzie jeszcze wiele lat.

I w tym momencie ten felieton mógłby się kończyć, gdyby nie jeszcze jeden niezwykle istotny szczegół, również zauważony przez twórców serialu. Otóż wieczny reformator Tony Blair po zakończeniu kariery politycznej został katolikiem. Autorzy „The Crown" zdają się sugerować, że postąpił tak dlatego, że Kościół katolicki kilka dekad temu uczynił to, czego nie chciała zrobić z monarchiczną tradycją Elżbieta II – Kościół wszak porzucił własne tradycje i własną Tradycję w imię nowoczesności i reform, otwarcia się na świat i schlebiania przelotnym modom współczesności.

Scena, w której lewicowy premier Blair wyjaśnia to swojej żonie, na długo pozostanie w moim sercu. Jakże pragnąłbym, by dotarła i do serc tych, którzy rządzą dziś ziemskimi instytucjami mojego Kościoła, niegdyś pozostającego wszak nośnikiem szanowanej ciągłości, którego urokiem od stuleci była niezmienność i którego siłę stanowiły tradycja oraz szacunek dla przodków, zachowanie mądrości i doświadczenia zbieranego od pokoleń. ©℗

Netflix zaskoczył i przygotował monumentalny obraz symbolicznej potęgi oraz piękna monarchii, tradycji, odpowiedzialności i osobistego poświęcenia całego życia dla większej sprawy

eprasa.pl 7b8aff7cae

ZAKAPIORY

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Jakie kwalifikacje do prowadzenia wojny ma obecny minister obrony? Jakieś powinien mieć, bo mamy ogromne zagrożenie wojną, zarówno lokalną, jak i światową, czyli urzędujący minister obrony powinien mieć jakieś kwalifikacje na wypadek, gdyby do wojny doszło. Tak czy nie? A jeżeli tak, to jakie konkretnie?

I ja jeszcze nie zapytałem o polskiego ministra obrony, tylko pytam tak ogólnie o kwalifikacje dowolnego ministra obrony w dowolnym kraju świata. Jakich kwalifikacji oczekujemy od dowolnie wybranego ministra obrony? Na czym ma się znać? Co powinien umieć? Jakie powinien mieć doświadczenie?

Czy minister obrony powinien mieć coś wspólnego z wojskiem czy nie musi? Czy będziesz się czuć bardziej bezpiecznie, gdy twój minister obrony będzie byłym wojskowym, który gdzieś walczył? A może wolisz takiego, który wojny na oczy nie widział, a nawet nigdy w wojsku nie służył? Czy minister obrony powinien umieć trzymać karabin lub poprowadzić armię do boju czy wystarczy, że potrafi innych wysyłać na śmierć po linii politycznej (bo mamy zobowiązania sojusznicze…)?

Ktoś powie: minister obrony nie jest od dowodzenia armią. OK, to w takim razie od czego jest? Co ma załatwiać? Broń? W porządku, ale jeżeli on nie jest od dowodzenia armią ani od prowadzenia operacji zbrojnych, to skąd będzie wiedział, jaką broń zamawiać? Generały mu powiedzą? A skąd minister obrony będzie wiedział, czy generały mu dobrze mówią, skoro on sam się wcale nie zna na wojaczce ani na układach w wojsku? Pytam o kwalifikacje i kompetencje. Przecież to JEST ważne. Gdy idziesz do szpitala, sprawdzasz kompetencje lekarza, który ma cię ciąć? Ja sprawdzam. Nie chcę, żeby dentysta robił mi operację wyrostka, bo nie umie i tyle.

***

Szefem Światowej Organizacji Zdrowia jest etiopski weterynarz. Jakie ma kwalifikacje? Traktuje ludzi jak zwierzęta? Jak stado, które można zagnać do zagrody i zamknąć na miesiąc kwarantanny – o te kwalifikacje chodziło? Z tego, co o nim piszą, wynika, że nie zrobił kariery jako weterynarz, czyli w zawodzie wyuczonym, lecz dopiero jako terrorysta, który najpierw mordował ludzi, a potem został politykiem. To może on powinien zarządzać jakąś instytucją do spraw terroryzmu, a nie WHO?

Nie! W tym przypadku nie chodziło o kwalifikacje powiązane ze sprawowaną funkcją, lecz o to, aby nie miał żadnych kwalifikacji. Ma nic nie umieć w zakresie instytucji, którą zarządza, bo to nie on zarządza. Za sznurki ciągną Chińczycy – oni posadzili weterynarza na stołku WHO i to oni chcą wydawać rozkazy. Gdyby szefem WHO był ktoś, kto się zna na tej robocie, mógłby stawiać Chińczykom opór lub miewać jakieś własne pomysły, a tak… Nic nie umie, nic nie wie, wykonuje rozkazy lub słucha dobrych rad, bo przecież sam doskonale wie, że nic nie umie. Według tego algorytmu obsadzono dwóch ostatnich ministrów obrony RP.

***

Wyświetliłem fotografię ze spotkania ministrów obrony państw UE i się niepokoję. Na fotografii stado uśmiechniętych prymusów w garniturkach, pośród nich kilka babeczek w dziwnych kostiumach, a na samym końcu z prawej jakiś jeden rodzynek w wojskowym mundurze, ale taki niepozorny w okularach. Żadna z tych osób nie potrafiłaby cię obronić przed niczym. Do każdej z tych osób mógłbyś podejść dać w zęby albo z liścia i nie wiedzieliby, jak zareagować.

Wyświetliłem też sobie fotografie ministrów obrony (raczej ataku) Chin, Rosji, Iranu i kilku innych państw stanowiących zagrożenie dla Polski, Europy lub świata. Same zakapiory. Nawet gdy się uśmiechają, widzisz, że konflikt z nimi w dowolnej knajpie skończy się twoją porażką, bo to taki bojowy typ, który się nie boi bić, a jednocześnie nie odpuszcza, nawet za cenę poważnych obrażeń.

Czy gęba zakapiora to ma być kwalifikacja do bycia ministrem obrony? Niekoniecznie, ale na pewno pomaga. Ważniejszy jest jednak ten drugi aspekt – po ministrach wroga na pierwszy rzut oka widać, że się potrafią bić i że w razie potrzeby będą to robić bez wahania. Po Kosiniaku-Kamyszu widać zaś to samo, co było widać po Błaszczaku – systemową słabiznę RP. Takiego maślaka wystawiła Polska do własnej obrony? Ha, ha, ha i chi, chi, chi. No to można spokojnie najeżdżać.

***

Jakie kwalifikacje na ministra obrony ma Kamysz? Jest lekarzem, czyli można go dać do lazaretu. Jakie kwalifikacje na szefa PSL ma Kamysz? Nie jest rolnikiem, nie ma ziemi, urodził się, wychował i wykształcił w Krakowie, czyli miastowe dziecko jest szefem partii chłopskiej.

W zakresie obrony narodowej Kamysz wypełnia algorytm: nic nie umie, nic nie wie, wykonuje rozkazy lub słucha dobrych rad, bo sam doskonale wie, że nic nie umie. I ktoś mu podpowiedział (pewnie Radek Sikorski), co ma mówić w sprawie reparacji wojennych należnych Polsce za drugą wojnę światową. Kamysz wygłosił więc oficjalny trel, że najlepszym zadośćuczynieniem za dokonane w Polsce przez Niemców zbrodnie i zniszczenia wojenne byłoby większe zaangażowanie Niemiec w pomoc dla Ukrainy.

Aha. Niemcy rozwalili kamienicę mojego dziadka w Gdyni i Kamysz uważa, że gdy Niemcy odbudują inną kamienicę w Kijowie, to będziemy kwita za tę moją kamienicę w Gdyni. Niemcy rozwalili moją kamienicę (dziedziczę po dziadku), a teraz w ramach odszkodowania mają odbudować kamienicę, którą rozwalili Ruscy w innym kraju. Niemcy rozwalili, ale mają odbudować coś, co rozwalił ktoś inny, a nie oni sami. Czyli Putin nie musi odbudowywać kamienic na Ukrainie, bo zrobią to Niemcy w ramach odszkodowania za to, co rozwalili w Polsce. Obejrzałem te złote myśli Kamysza ze wszystkich stron i z każdej wyglądają jak trele idioty. ©℗

eprasa.pl 7b8aff7cae

Uwaga: nowe ceny na rok 2024

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA DO RZECZY I MIESIĘCZNIKA HISTORIA DO RZECZY

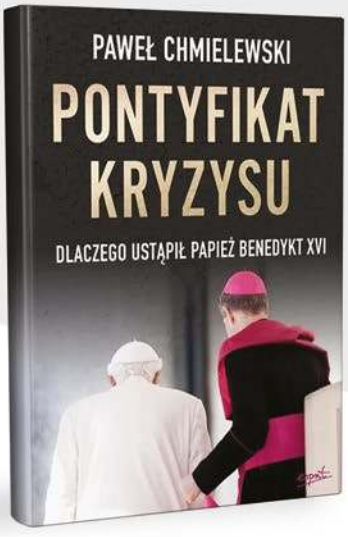

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

PAWEŁ CHMIELEWSKI:

„PONTYFIKAT KRYZYSU"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1353~~ZŁ

419,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 934ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 7b8aff7cae

SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH

KULISY GŁOŚNYCH SPRAW I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE RELACJE

ROZMOWY Z EKSPERTAMI I LUDŹMI Z WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD 500 NAZWISK I FIRM

AUTORAMI SĄ DOŚWIADCZENI DZIENNIKARZE ŚLEDCZY

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.

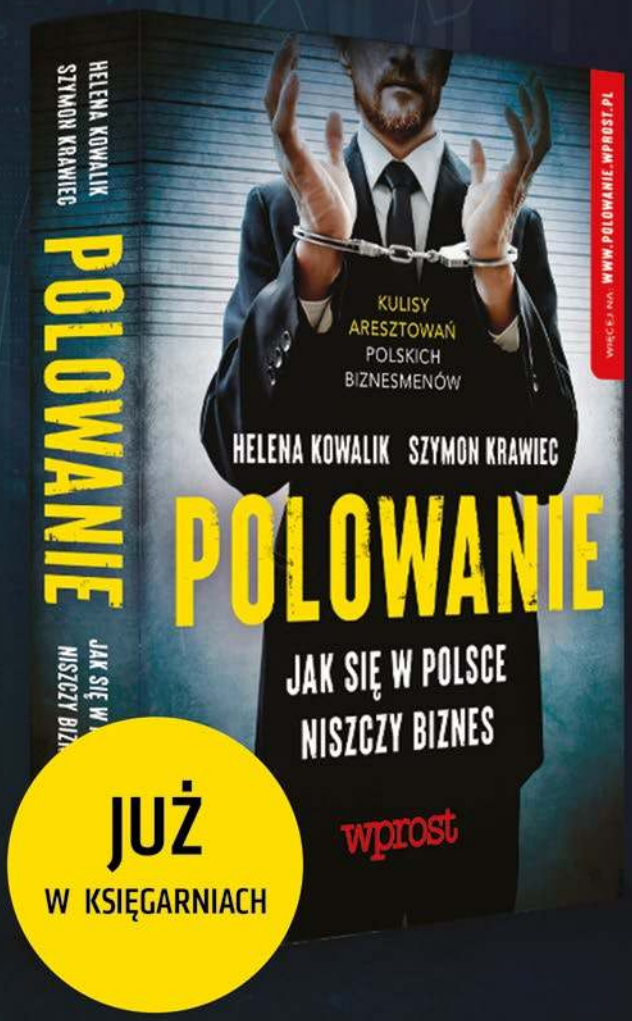

JUŻ W KSIĘGARNIACH

Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

KSIAZKA.WPROST.PL

Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.
W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt
+48 539 953 631 , +48 508 040 664

PARTNERZY:

Polska Rada Biznesu · ZPP · WEI · Fundacja Court Watch Polska · Fundacja Pomysł o przyszłości · Comparic.pl · My Company Polska · Towarzystwa Biznesowe · BRIEF

eprasa.pl 7b8aff7cae